

For Laminating 1711 08

X. ALEKSANDER JEŁOWICKI

szkła

MOJE WSPOMNIENIA

(Z PORTRETEM AUTORA)

II-4756



WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA

1904

II-4756

MOJE WSPOMNIENIA

X. ALEKSANDER JEŁOWICKI

32232

MOJE WSPOMNIENIA

(Z PORTRETEM AUTORA)

II-4756



WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA

1904



41207

Дозволено Цензурою.
Варшава 9 Декабря 1903 г.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0268409

II-4756

DO MOJEJ MATKI.

Gdzie Ty, o! Matko nasza? Co z Tobą się dzieje?
Czy los, co Ci wziął szczęście, zostawił nadzieję?
Czy masz które z swych dzieci przed swemi oczyma,
Coby nas zastąpiło? — bo nas dawno niema,
Coby nas wyręczając staraniem, usługą,
Zmniejszyło Ci za nami tęsknotę tak długą.
Czy marząc sobie często o naszej przyszłości,
Przeglądasz w niej oczami matczynej miłości,
Jak my już u nóg Twoich, a rodzina w chwale.
Czy wznosząc myśl do Boga, słodzisz gorzkie żale.

O! Matko nasza, Matko! w tęsknocie za Tobą,
Co świat zowie weselem, nam zda się żałobą;
Jeno w myślach o Tobie znajdujem pociechę.
Jakże radzi wracamy pod domową strzechę,
Bawić się wspomnieniami matczynej pieczy,
Wśród której nas uczyłaś modlitwy i cnoty.
O! jak nam miło wspomnieć na te błogie lata,
Cośmy z Tobą spędzili; brat wyścigał brata,
By się Tobie umilić, by Cię uweselić,
By między nas Twą miłość zarówno podzielić:
A Ty o Matko! patrząc na Twych dzieć zgołą,
W ich złocie szczęścia miałaś Twych trudów ochłodę.
Szybko przemknął wiek szczęścia i zniknął w oddali;
Przyszła młodość bujając, jakoby na fali,

Na żywej wyobraźni, co uczuciem miota.
Lecz bezpiecznie nam było, bo sternikiem cnota,
Której Ty nauczyłaś, Matko! ucząc Wiary,
Nadziei i Miłości. Te trzy święte dary
Strzegły rozum od dumy, a serce od zguby,
I dały ducha mocy na nieszczęścia próby.

Nieszczęściami nie znali, gdyśmy byli z Tobą,
Bo wszystko wtedy było pociechą, ozdobą
Życia, co się tak snuło jak jedwabiu przedza,
Błyszcząco, miękko, równo; póki nieszczęść jęz
Nie przerwała tej nici, którą tylko wiąza
Wspomnienia żywe, lube; co po myśli krąży,
Jak gwiazdy po niebiosach, złociste, iskrzące,
Piękne, różne, tysiączne, ale łzami drżące.
I czemuż całe niebo zasiane gwiazdami?
I czemuż całe życie tkane wspomnieniami?
Oto nocą bezsenną, przeciągłą, bez końca,
Dopóki Bóg litośny nie użyczy słońca.
W takiej nocy my dzisiaj — o Matko kochana!
Prośmy Boga o słońce, padłszy na kolana!

Aleksander Jełowicki.

Paryż, 15 maja 1838 r.

ROZDZIAŁ I.

Pierwszy lat dziesiątek.

Wiosna mojego życia już za mną, przede mną droga;
a zamiast przenikać, co tam na końcu tej drogi los mi
zgotował, wolę poza siebie potoczyć wzrokiem, i na west-
chnieniach jak na skrzydłach pobujać po tym raju życia,
w którym się rodzi i rozkwita cudowną barwą i wonią
pierwsze uczucie, w którym troska jest tylko przelotną
chmurką, a szczęście zda się być stałą pogodą.

Urodziłem się dnia 18 grudnia 1804 r. we wsi Hu-
bniku nad Bohem, w powiecie hajsyńskim, w dawnym wo-
jewództwie braclawskim, na pograniczu Podola i Ukrainy.
Rodzice moi byli majątni i poważani. Dostatek, który mię
od urodzenia otaczał, wdzięki wsi naszej, czułość i przy-
wiązanie rodziców, towarzystwo nieodstępne dwóch braci,
Edwarda i Eustachego, z którymi dzieliłem wszelkie ucie-
chy, to wszystko składało się obficie i bezprzestannie na
szczęście dzieciennego wieku mojego. Ale czemuż jest szczę-
ście dzieciinne? Snem miłym, czuciem nie zupełnem. Szczę-
śliwe dziecię jest w pewnym stanie upojenia; nie wie kiedy
się jego szczęście zaczęło, nie myśli żeby się kiedy skoń-
czyć mogło. Czucie dziecięce nie wystarcza na ocenienie
rozkoszy tego upojenia, jak zmysły jego nie wystarczają
na objęcie otaczających przedmiotów. Wzrastając, dziecię
pogardza szczęściem dzieciennego wieku, radeby się wy-

mknąć ze swego ogródka na pole, na świat cały; dopiero gdy drzwi do tego ogródka zamknięte na zawsze, oczami pamięci zagląda do niego przez szpary zapomnienia, i źródłości tego szczęścia, któremu się dopiero co z całej siły wydzieriał — a jakby za karę, tyle tylko ze szczęścia swego pamięta, jak gdyby je prześnił.

I ja też pamiętam tylko kilka silniejszych wrażeń wieku dziecinnego, co mi już tylko szmerem odległym, dźwiękiem, którego ucho nie odgadnie, pięknnością, której oko nie dogoni. Pamiętam, że będąc dzieckiem było mi bardzo dobrze; nie pamiętam żeby mię w pierwszych latach co kiedy zabolalo, nie pamiętam dziecinnego płaczu: pamiętam, że zawsze u nas było pięknie, huczno, wesoło, dużo gości, owoców, kwiatów, koni, psów, strzelania, zabawek; nie pamiętam żeby kiedy było nudno, pusto w naszym domu; nie pamiętam nawet żeby mi kiedy było zimno, chociaż często lataliśmy po śniegu w trzewikach, i nieraz próbując czy szron mocny wpadło się w śnieg po uszy.

Pierwsze lata moje przebrzmiały rozkoszną pieśnią, której już pamięć dokładnie schwycić nie może; w tej niepamięci utonęły nawet pierwsze pieszczoty matki! Najdawniejszą rzeczą, którą z dzieciństwa zapamiętam, była to uczta wielka u mojej babki; a z tej uczty pamiętam tylko jasność wielką, szum i hałas huczny, i to, że nasza matka była tam ubrana w aksamitną amarantową suknię z ogonem, na którym siadaliśmy, a matka bawiła się z nami, ciągnąc nas po posadzce jak po lodzie: musiałem mieć wtedy lat ze dwa.

Ojciec wychowywał nas po staropolsku. Od dzieciństwa hartował na zimno i gorąco; zimą i latem lataliśmy po podwórzu bez czapek, bez chustek na szyi, w trzewikach — uczyliśmy się strzelać z krucicy, z wiatrówki, a potem ze strzelby, biliśmy się w palcaty, jeździliśmy konno, a owe harce odbywaliśmy codzień po śniadaniu i po obiedzie wobec zgromadzonych gości, i jak najuroczyściej.

Przyprowadzano dwa kucyki kasztanowate, z których jeden był mój, drugi mego brata Edwarda. Sadzano nas na te kucyki oklep, dano cugle w ręce, pozamykano bramy od dziedzińca, żeby kuce do stajni nie uciekały, i dopiero pouczano nas, i dopiero wkoło dziedzińca jeden za drugim uwijaliśmy, a charty wybrykując i platając się pomiędzy konie, im ochoty a nam strachu dodawały. Więc ja groziłem wrzeszcząc że spadnę, a ojciec odpowiadał — »trzymaj się malcze za grzywę«. — Wypociwszy się z godzinę, więcej od strachu jak od zmęczenia, zsiadłem z wielką radością, albowiem w dzieciństwie byłem wielki tchórz do konia. Nieraz przychodzi siadać na kuce, kuce dawno przed gankiem, goście dawno na ganku; wołają po wszystkich pokojach, po całym ogrodzie: Olesiu, Olesiu! aż po długiem szukaniu wyciągają Olesia z agrestu, prowadzą jak zbiega; Oleś płacze ze wstydu i ze strachu, zaręcza że spadnie; nic nie pomaga, wyśmiewają go, wyłają, i dalej na kuca. Aż wkrótce mój kuc zdycha. Donoszą mi ostrożnie o tem nieszczęściu, i za to że kuc zdechł, dostałem w podarunku nożyk. Cieszę się nożykiem, ale więcej jeszcze cieszę się tem, że kucyk zdechł, i myślę sobie, aha! już nie będę jeździł. Nie długo używałem tej podwójnej uciechy. Próbuje otworzyć nożyk, nie mogę, więc zębami — otwieram — nożyk wymyka się i łapie mnie za wargę — więc naturalnie z płaczem wielkim latam w strachu wielkim, dopóki mię z tego nożyka nie wypuszczono; ile razy zdarzyło mi się widzieć Flet czarnoksięski Mozarta, zawsze Papageno z ustami zamkniętymi na kłódkę, przypominał mi mój nożyk — odebrano nożyk, a co gorsza powiedziano mi nazajutrz, że przyprowadzili nowego kucyka srokatego, że ten nowy kucyk będzie Edwarda, a Edwarda kucyk będzie mój. Było tedy znowu dwa kucyki, mój leniwy, Edwarda bardzo żwawy, a że był bardzo mały, więc każdemu słusznemu jeźdźcowi wymykał się, tak że mało kto mógł na nim dosiedzieć. Bałem go się okrutnie. Pewnego razu ojciec powiada — »dziś

będziesz jeździć na srokatym« — oczywiście podług starego zwyczaju zmykam do ogrodu, przypadam po krzakach jak zając; ale wytropili, wyciągają, prowadzą; idę jak na ścięcie; daremnie obiecują cukierków i krucicę, daremnie rozpowiadają mi coś o Aleksandrze Wielkim i o Bucefale; ja odpowiadam, że ja nie wielki ale mały — »to też i Bucefal mały, siadaj malcze«. Sadzają, wydieram się, posadzili; ślizko mi jakby kto kuca namydlil; ja chcę stępą, koń w klus, a potem w cwał leci za drugim kucem wkoło dziedzińca; dziwię się, że nie spadam, nie rozumiem, że nie spadam, zaczynam się bać, że nie spadam; więc myślę sobie: spadnę przed gankiem, to rozczulę pape, i już nie będę więcej jeździł; krzyczę: padam! padam! i spadłem — kuc pobiegł — leżę — podnoszą mię; patrzę, aż mnie nic nie boli i cały jestem. Ojciec mówi — »wiesz żeś nie szklany« — przyprowadzają kuca drugi raz. — »Siadaj malcze« — musiałem — znowu jadę, i myślę sobie, kiedy to nie boli spadać, to jeszcze raz spadnę — spadam znowu przed gankiem. Nic nie pomaga, sadzają raz trzeci — widzę, że źle, jak zacznę się trzymać a uganiać wkoło dziedzińca, jak się rozzuchwałę na koniu, tak odtąd nigdy już nie spadłem; odtąd jeździłem śmiało, potem wyszedłem na tegiego jeźdźca, a tego dnia dostałem mnóstwo cukierków, krucicę i nowy łuk.

Odtąd już raz tylko koń mi napędził strachu, ale jakiego strachu! Już wyjeżdżałem był i za bramę i za wieś. Otóż raz mój ojciec wyjeżdżał konno, oglądać stado pasące się na obszernym rozlogu nad Bohem; ja z papą pojadę, ja pojadę z papą; zacząłem się napierać — »zlecisz, daleko na ciebie« — nic nie pomagało, napieram się znowu — »no pojedziesz, ale się dobrze trzymaj« — dopóki przez wieś szło doskonale, męczę kuca — »nie męcz go, bo się rozbryka« — nic nie pomaga, męczę; aż przybliżamy się do stada; konie stadne zaczynają wokół nas hulać; ach! jak zacznie mój kuc brykać! stado rozbiegło się, kuc za końmi jak zacznie latać po całym rozlogu;

a tu z jednej strony rzeka ze skalistym wysokim brzegiem, z drugiej strony las; już widzę że mnie zabije albo utopi; oto krzyczałem! a kuc coraz mocniej sadzi, i pędzi ponad samą rzekę; spojrzę na dół, a tam woda po skalach kipi; spojrzę na prawo czy na lewo, a tu góry i lasy uciekają, a kuc pędzi; ręce mi omdlały, puściłem cugle, cugle spłynęły po karku; kuc jeszcze bardziej pędzi, a takiego pędu już nigdy w życiu nie czulem, ani na najlepszych biegunach, ani na żelaznej drodze; pęd zamknął mi piersi, strach oczy przewrócił, wszystko mi się widzi do góry nogami, na koniec nic nie widzę a tylko słyszę głos mego ojca — »trzymaj się za grzywę!« — gdzie tu się trzymać — rozkrzyżowałem ręce, zacząłem mówić *Zdrowaś Marya*, i już już miałem omdleć zupełnie, kiedy nasz pocziwy rządcą Krasicki kuca schwycił i zatrzymał. Dopieroż ja z konia na ziemię i w nogi. Złapali mię łatwiej jak kuca; ojciec dodał odwagi mówiąc, żem się tego trzymał, i że kiedy teraz nie spadłem, to już nigdy nie spadnę; nauczył, że kiedy koń ponosi, trzeba mu trzęzłą pysk pilować i zwracać na jedną stronę; ośmielony siadam na kuca, zaczynam mu pysk pilować, kuc widzi że nie żarty, więc stępą aż do domu zawiózł. Miałemże co rozpowiadać i mamie i braciom i gościom.

Do strzelania, biegania, grania w piłkę, byłem zuch wielki; a że przytem wszystkiem byłem bardzo powolny, lubilem towarzystwo starszych i książki, nazywano mnie filozofem; ale filozof lubił czasem psie figle. Eustachy, mój brat młodszy, bał się gdzie ciemno, a ja gasiłem świece i straszylem go wilkami; raz zakradłszy się do sypialnego pokoju mego ojca dorwałem się strzelby nabitej, zsypuję proch z panewki, i z panem Eustachym nuż klapać; aż tu jak huknie strzelba, jak mnie trąci — strach dopomógł, wywracam się, walę Eustachego — wpadają wszyscy; my leżymy, kotara pali się, a ja krzyczę że strzelba sama wystrzelila i nas zabiła — nuż nas trzeźwić, nuż kotarę

gasić — wszystko szczęśliwie się ukończyło, nas wskrzeszono, kotarę zgaszono, różgą nie dostałem.

Wkrótce potem gdy się wybierano na wielkie jakieś polowanie, zajrzałem na stole w pierwszym pokoju parę kordelasów, więc chap za kordelasy i na dziedziniec do braci strzelających z łuku; dobywam kordelasów, próbuję, ostre aż strach; a że zawsze było między nami współubieganie się, kto lepiej strzela, kto dalej rzuci kamyczkiem, i nieraz stąd dostało się oknom, kto nową sztukę albo lepszego figla wymyśli; więc ja mówię do braci, kto głębiej a od razu kordelas w ziemię wbije? wzywanie moje utrzymało się jednomyślnie; ten dobrze, ten jeszcze lepiej — ten dobrze, ten jeszcze lepiej; aż nakoniec jak dobędę wszystkich sił moich, jak podniosę kordelas oburącz, jak palnę się w nogę wyżej palców; przybiłem się do ziemi tak, że ani rusz; bólu nie pamiętam, ale ze strachu skamieniałem, stoję jak posąg; bracia w płacz, krzyczą: mamó, Oleś zabił się! — Co też tam było płaczu! a co się krwi mojej wylało — obwinęli nogę, zgoiła się, ale znak dziecinnej mądrości pozostał na zawsze.

Tyle było główniejszych przypadków i niebezpieczeństw w dzieciństwie mojem.

Kto mię uczył czytać i pisać, kto paplać po francusku, nie pamiętam. Pierwszy nauczyciel, którego pamiętam, był zacny ksiądz Skiba Bazylianin, człowiek poważny i miły; bardzo się z nami obchodził słodko; uczył nas bardzo dobrze; nauka religii nie ostatnie też miała miejsce.

Nigdy tego nie zapomnę, że pierwsze lzy rozrzewnienia wzbudziła we mnie męka Chrystusowa. Ksiądz Skiba nam ją opowiadał, z nim rozpamiętywaliśmy zawsze ten święty przedmiot w ciągu wielkiego tygodnia, i zawsze płakałem jak bóbr. Szczęśliwy kto pierwszą łzę swoją zaofiaruje Panu Bogu, łaska boska wspierać go będzie, i byle tylko potem nie pogardził tą łaską, szczęśliwy będzie na całe życie i na wieki. O! gdyby to można zachować na zawsze dziecinną czułość i cnotę.

Ksiądz Skiba wyuczył nas służyć do mszy; ofiara mszy świętej wzbudza tajemnicze poszanowanie i w tych nawet co jej dobrze nie rozumieją: pierwszy raz służąc do mszy, byłem mocno wzruszony, uczestnictwo do tej świętej ofiary przejmowało mię niepojętem uczuciem, które mię nad dziecko wynosiło; była to jedna ze stanowczych chwil w życiu mojem.

Po mszy Józef Borzęcki, mieszkający wówczas w domu moich rodziców, dał mi w nagrodę bardzo piękne i doskonałe jabłko, a tak pamiętam urodę i smak tego jabłka, jakbym jadł je w tej chwili. Ten pan Józef Borzęcki był wujem młodych Lipkowskich, sąsiadów, rówieśników, później towarzyszy szkolnych i przyjaciół naszych; poważny już wiekiem, był siły i czerstwości niesłychanej, miły w towarzystwie, doskonały myśliwy, wesół zawsze i krotofilny, uprzyjemniał nam bardzo rozmaitymi figlami wiek dzieciństwa naszego, a później młodości naszej. — On nas sadzał na konie, on sam nabijał krucice, on nas uczył skakać i biegać, on nas na rękę często wszystkich trzech przynosił śpiących od znużenia długą przechadzką po górach i skalach, on mi otworzył nożyk, który mi usta przymknął, on mi wyjął kindżał, którym się do ziemi przybiłem.

Do lat dziesięciu życie mi upływało w dziecinnych rozkoszach; zdawało się, że nic go nie zachmurzy a nawet nie zmieni, że zawsze będę z rodzicami, z braćmi i małą siostrzyczką, że zawsze pracą moją będzie nietrudna nauka, a powołaniem wesola zabawa i figle niewinne. Aż raptem zrobiło się pusto w domu, tęskno na sercu; przyszedł płacz zasmucenia i podobno już aż do grobu nawiedzać będzie. Ojca w domu nie było, matka wyjeżdżała gdzieś na długo. — Odprowadziliśmy matkę do przewozu, przewieźliśmy się z nią na drugą stronę Bohu; czas był wietrzny i ponury, coś strasznego działo mi się na sercu — matka długo płakała, długo nas żegnała, odjechawszy cokolwiek, zawróciła się, znowu nas całowała

i gorzkiemi łzami paliła nam lica; a jak powiedziała — »nie prędko ja was zobaczę« — zemdląca. Myśmy płakali niezmiernie, jeden wołał: zostań mamó z nami, drugi: weź nas z sobą!

Wróciliśmy we łzach do pustego domu, zrobiło się nam smutno, straszno. Ojciec był wtedy w urzędowaniu, jeździł często do Kamieńca, mało kiedy w domu przebywał, a także był smutny i polował więcej jak zawsze. Raz w zimie pojechał na wilki z chartami; długośmy się go doczekać nie mogli, наконец późno wieczorem, usłyszeliśmy głos jego przed gankiem; głośniejszy jak zawsze zawołał na ludzi; głos ten przeniknął mnie przecuciem nieszczęścia, wybiegli ludzie i wnieśli mego ojca mocno potłuczonego; myśmy się bardzo potrwożyli; niebezpieczeństwa nie było, jednakże ojciec mój cierpiał mocno i długo. Nieszczęście to dodawało nam smutku; w smutku przeżyliśmy rok cały, oglądając się jeden na drugiego, jak gdybyśmy szukali, gdzie się nam szczęście podziało.

Nadchodził nowy przedział mojego życia; miano nas odwieźć do szkół. Gotowano się na tę wyprawę niezwykłym sposobem; zaczęto nam przysposabiać nową pościel, nową bieliznę, nowych sukni mnóstwo; bawiło to nas trochę, ale co nas uszczęśliwiło zupełnie, to powrót matki. Co było serdecznej radości, rozkosznych płasów, szczenioliwej rozmowy, a wszyscy razem, tego opisać nie podobna; z siostrzyczką, która też z matką wróciła, bawiliśmy się jak ze śliczną laleczką, przypatrując się jej jak obrazkowi jakiemu. Tego szczęścia było tylko parę miesięcy; bo kiedy już wszystko było gotowe, kiedy ksiądz Skiba wyuczył nas doskonale, kiedy odbywaliśmy przed gośćmi próbę popisów, ojciec i ksiądz Skiba odwieźli nas do szkół do Winnicy. Miałem wtedy rok jedenasty. Zapewne, że wyjeżdżając z domu, żegnając się z matką płakało się, ale nie bardzo, bo nam obiecali, że będziemy często jeździć do domu, że do nas będą często przyjeżdżać, bośmy się dobrze uczyli, bo nade wszystko byliśmy ciekawi, jak też to tam w szkołach.

ROZDZIAŁ II.

Szkoły w Winnicy.

Jadąc rzemiennym dyszlem, wstępując do różnych krewnych i znajomych, gdzie była taka jak my dziatwa, wybrykując z tą dziatwą, strzelając po drodze do wróblów i innych ptaszków, zapomniano się o szkołach. Zbliżamy się do miasta; widzimy ogromny gmach jakiś; myślimy sobie, musi tam być wiele dzieci, oto będziemy się bawić; pytamy:

— Papo, a wstąpimy tu?

— Wstąpimy.

— A dużo tam chłopców?

— Dużo.

— A jak się ten pan nazywa, co tam mieszka?

— Gimnazjum.

Otóż masz — pospuszczaliśmy nosy na kwintę, spojrzeliśmy na posępne mury pojezuickie, spojrzeliśmy po sobie, lzy się pokreśliły; żal się zrobiło za domem, za matką, stanął strach popisów przed oczyma: źle, ale cóż robić? wjeżdżamy do miasta, paskudne — prowadzą nas nazajutrz do szkół — szkoły brudne, po korytarzach zimno, nauczyciele straszni.

Wtem dzwonią; z milion chłopaków wylatuje z klasy i nuż w perewerty; wesóło krzyczą, i nam poweselało, radziliśmy się wyrwać do malców i pokazać im, co to i my

figlów umiemy, ale nie można, więc tylko przez okno zazdrośnie spoglądamy.

— Papo, a kiedyż my pójdziemy do tych szkół? — a nauczyciel łaciny i greczyzny Jagiello, nieproszony odpowiada:

— Jak odbędziecie popisy.

— Nie boimy się popisów, my wszystko umiemy.

— Da się to widzieć.

Przyszło do popisów: straszniejsze były w domu, myślimy sobie; ksiądz Skiba był przy nas, więc nie baliśmy się — popisaliśmy się doskonale; Edwarda i mnie przyjęto do trzeciej klasy, Eustachego do drugiej.

Było to w sobotę: w poniedziałek już mieliśmy się wprowadzić na mieszkanie właśnie do pana Jagielly; nie-dzielię mieliśmy jeszcze do pohulania.

W niedzielę rano, ojciec mówi:

— No chłopcy, poubierać mi się dziś czysto, pójdziecie ze mną do Szczeniowskiego na obiad: a tam po obiedzie grzecznie się bawić.

— A są tam dzieci?

— Jest dziewczynka ładna i grzeczna.

Poubieraliśmy się ślicznie, ojciec każdemu poprawił czuprynę aż świeczki w oczach stanęły; ruszamy z tą postawą już po odbytych popisach. Przychodzimy: w pierwszym pokoju powitał nas poważny a bardzo wesół starzec; był to Szczeniowski, wówczas dozorca gimnazjum winnickiego, dawniej prezes jakichś sądów, jeszcze dawniej poseł na kilka sejmów i na sejm czteroletni. Z każdego sejmku dla braci szlachty mnóstwo łask królewskich ponawozził, dla siebie żadnej nie przyjął; poobwieszał szlachtę orderami, obsypał tytułami, obdarował starostwami, a sam wszystko poświęcał, lecz niczego nie żądał, a sam błyszczał tylko cnotą i zasługą, nie mówiąc nigdy ni o jednej, ni o drugiej. To też doczekał wesolej starości, co się nie smuci żadnem nieszczęściem, bo ufa w Opatrzność Boską i spokojnie czeka Jej sądu.

— Przedstawiam ci moich chłopaków.

— Żwawe chłopcy; a to wnuczeta moje.

I zaczął wywodzić po mistrzowsku długi rodowód, którego nie pamiętam wcale, choć go bardzo często potem powtarzał; a kończąc ten wywód znowu nazwał nas wnukami.

— Kiedy my wnuki, to pan dziadunio.

— Mądre chłopcy, żwawe chłopcy.

Odtąd tedy jużśmy nowego dziadunia dziaduniem zawsze nazywali. Wprowadził nas do bawialnego pokoju, wskazał na żonę: — »oto wasza baba« — wskazał na nas — »oto twoje wnuki« — więc po kolei cmok babunię w rękę. Aż tu z drugiego pokoju wybiega dziewczynka anioleczek; stanęła, popatrzała i schowała się: znowu stanęła we drzwiach, i już się nachyliła do pierwszego poskoku; biała sukienka kołysała się z lekka, na prawej nóżce stoi, lewą jeszcze dotyka ziemi jak gdyby tylko na to żeby jej nie zgubiła, rączki na pół podniesione jak gdyby do latania zrywać się miała, włoski jasnozłote jeszcze nie spoczęły w pędzie którym goniły za labędzią szyjką, a błękitne duże oczki mówiły: mamę zawołaj mnie. Matka dała znak, a dziewczynka błysnęła przez pokój i tuż przy matce stanęła, patrząc to na nią, to na ojca, to na nas. Ojciec skończywszy opowiadać coś zabawnego, mówi: — Ksawerko, przedstawiam ci twoich siostrzeńców. — Ciocia wyciągnęła nam rączkę, my powiadamy, że mamy taką siostrzyczkę, i całujemy ją w buzię; powiedzieli nam że to nie siostrzyczka ale ciocia, a dziadunio wypalił nam naukę bardzo wesolą o uszanowaniu, jakie się należy starszym, niewiastom i ciociom. Bawiliśmy się z ciocią grzecznie, cały dzień aż do wieczora. Wieczorem kazali nam tańczyć; umiałem tańczyć doskonale, bośmy mieli tancmistrza w domu przez cały rok; ciocia choć malutka jeszcze, ślicznie tańczyła; byliśmy z siebie wzajem radzi radością dziecinną, odtąd szukaliśmy się zawsze do tańca, a ja dziadunia aż w rękę pocałowałem, gdy mi powiedział, że bę-

dziem do niego przychodzić co niedziela, jeśli się będziem dobrze uczyć. Ta obietnica nie mało mi pomogła do dobrej nauki.

Nazajutrz oddano nas już do szkół — stanęliśmy u pana Jagielly. Zamożniejsi rodzice oddawali swoje dzieci do nauczycieli gimnazyum, mniej zamożni do nauczycieli klas niższych, a najmniej zamożni mieścili je jak mogli po domach mieszczan, w częściach miasta, z których jedna nazywała się przedmieściem Jezuickiem, druga przedmieściem Dominikańskim, podług tego do jakiego probostwa dawniej należała.

Gimnazyum i szkoły były umieszczone w dawnych gmachach pojezuickich, nauczyciele mieszkali bardzo wygodnie w dawnym ogromnym klasztorze, a konie ich stały w spustoszonej ogromnej kościele. Było kilka wielkich dziedzińców dla zabawy uczniów; na jednym z tych dziedzińców stały osobno dwa gmachy, z których w pierwszym mieściły się klasy niższe, w drugim klasy gimnazjalne. Klasa trzecia, do której byłem przyjęty, należała już do klas wyższych.

Klasy wyższe miały innych nauczycieli, niższe innych. Klasy wyższe wynosiły się nad niższe, stąd w lecie rodziły się niesnaski, a w zimie toczyła się wojna na śnieżki, zwykle między pierwszą a drugim dzwonieniem, to jest, między pierwszą a drugą po obiedzie. Z jednej i drugiej strony, zbierają się niesforne gromady, sposobią zasób wojenny, to jest stosy śnieżek. Niecierpliwi wybiegają naprzód, i z niecierpliwymi drugiej strony, staczają bój pojedynczy; stopniami zapala się bitwa powszechna, najzażartsza. Słabsi celniejszym strzelcom podają śnieżki: krzyk, hałas niesłychany. Chmury śnieżek krzyżują się straszliwym pędem, śniegowe bomby warczą i pękają na męźnych piersiach, ten je odbija teką, co mu puklerzem, ten nieustraszony chwytą bombę w powietrzu i zdwojonym pędem zwraca, temu wrzeszczącemu malcowi śnieżka głębiej zamknęła, oczy zabryzgała, idzie malec do klasy jak

do szpitala; tam znowu wdarła się w zanadrze rozchłystanemu bimbasowi i oziębia dalszą ochotę do wojny. Wrzawa, zamieszanie, walka się wzmacza, wściekłości przyrasta; już niema śnieżek, to śnieg garściami rzucając strony zbliżają się; już, już przy sobie, już, już rozdierać się mają; w tem dzwonią raz drugi i w mgnieniu oka, bój ustał, wojska walczące zniknęły, już w ławkach; już wchodzi nauczyciel, już przeminęła zawziętość i strach wojny, a panuje bez zawziętości strach nauki.

Naprzód czytają spis uczniów, żeby wiedzieć, kogo niema; nieraz uczeń odezwał się za nieobecnego współucznia, i uszło, nigdy nie wydano tego oszukania: czasem sam nauczyciel spostrzegł oszukanie, powtórzył raz drugi i trzeci podejrzaną nazwisko, kazał wyjść na środek, niema; dziatwa w śmiech, a ten co się za drugiego odzywał nie znalazł się nigdy.

Po odczytaniu spisu, następowało słuchanie nauki; dopiero nowe sztuki zaczynały się, w niższych klasach podpowiadanie, w wyższych czytanie z książki lub z zeszytu, tak żeby nauczyciel nie spostrzegł; różnie się udawało, a byli tacy co źle się uczyli, a doskonale popisywali się czytając aż z trzeciej ławki. Jednakże uczniowie zawsze wiedzieli, kto osieł a kto najlepiej się uczy, tak jak żołnierze wiedzą najlepiej, kto tchórz a kto najmężniejszy; więc pomimo tych figlów, na które nauczyciele częstokroć przez szpary patrzeli, było współubieganie się, i uczniowie uczyli się dobrze. Kiedy przyszło na ochotnika wypalić jakie wiersze lub nowe zadanie powtórzyć przy tablicy, to połowa klasy zrywała się, wrzeszcząc — »ja panie, ja panie!« — a prawą rękę jeden nad drugiego wynosząc, malce przebierali palcami dopóki nauczyciel nie wybrał. Wybrany wypiszczał odę lub bajkę, wyrysował na tablicy kwadratowe koło, lub okrągły trójkąt, wyrażał, że dwa a dwa cztery, i wracał na miejsce z radością pewnie serdeczniejszą od tej, jakiej dozna później

wśród najlepszego powodzenia, bo niewinne serce jego nie zna ni dumy, ni zazdrości.

W klasach niższych bywało po stu kilkudziesięciu uczniów, w wyższych coraz mniej. We wszystkich klasach aż do piątej, byli uczniowie wybierani z najpilniejszych, do wysłuchania każdy kilku uczniów i naznaczenia w spisie, kto umiał, a kto nie umiał. Urzędy te były bardzo zaszczytne, ubiegano się o nie. Był jeszcze w pierwszych czterech klasach, urząd przestrzegaczy obyczajów — wzbranieli oni swawoli, strzegli porządku w szkole, i donosili przełożonym o przekroczeniach uczniów. Urząd ten był w nienawiści u wszystkich, nazywano przestrzegacza podłym, pogardzano nim i nikt nie chciał podejmować się tego urzędu, bo za nim szły zawsze potężne guzy. Powinien być dozór w szkole, ale nie należy go powierzać równym, bo stąd pierwszy początek zepsucia; z jednej strony rodzi się nienawiść, z drugiej zemsta, z obydwóch stron fałszywość i chytrość.

W ogólności ze szkół winnickich wychodzili uczniowie dobrze usposobieni i odznaczali się później w uniwersytetach. Nauka uczniów zależała od nauczycieli; jak tylko nauczyciel był zdatny a nie żminda, surowy a przystępny, to go uczniowie lubili, i chętniej uczyli się jego przedmiotu. Uczono się dobrze matematyki, bo pan Miładowski, w klasie bardzo srogi, za klasą, z uczniami grał w piłkę, wymyślał im rozmaite rozrywki, a w niedzielę podczas mszy grywał z nimi na chórze. Uczono się bardzo dobrze dziejów i prawa, bo pan Uldyński poważny w szkole, dzieciom w zabawach przewodził, po wieczorynkach z nimi tańczył, kazał odmawiać zadania swojemi słowami, nie miewał przestrzegaczy. Zabrano nam kochanego Uldyńskiego do Krzemieńca, przysłano na jego miejsce basalyka, a uczniowie nie umieli ani dziejów ani prawa, a zaczęli się lepiej przykladać do literatury polskiej, kiedy do jej wykładania przybył nowy nauczyciel Styczyński.

Inni nauczyciele klas wyższych byli nie najgorsi, ale

nauczyciele języków byli to zawsze jacyś dziwacy, zamiast szacunku wzbudzający śmieszność; a uczniowie najmniejszą śmieszność dostrzegają, najmniejszą wadę albo zły postęp nauczyciela odkrywają, rozgłoszą, i już po nim. To też języków mało co się uczono.

Do rzędu najśmieszniejszych istot na świecie należał nauczyciel nauki obyczajów, w pierwszej i drugiej klasie.

Dzwonią do szkoły, wytacza się w czerwonej szubie; rój malców naokoło niego uwija, krzycząc: pali się, pali się! Jedni papierki albo ogony do szuby przypinają, drudzy obrywają te papierki niby z przychylności, a tak, że aż się szuba zatacza; i tak go przez cały dziedziniec prowadzą; wchodzi do klasy, po lupinkach od orzechów i co krok tysiąc nowych figlów napotyka; zawsze pół godziny stracił na łajanie i karanie uczniów a zawsze bez skutku, bo uczniowie wiedzieli, że pan nauczyciel nauki obyczajów lubił kubany, że ludziom swoim jeść nie dawał, że kiedy mu chłopiec, którego mu ktoś darował, raz był uciekł, to złapawszy go, a chcąc naznaczyć, kazał cyrulikowi żydowi aby mu spuścił włosy bardzo krótko i niby przez nieostrożność ucho uciał i t. p. I takiego to pana nauczyciela cierpiano, bo miał tylko parę lat do pozyskania wyśłużonego chleba.

Przełożony gimnazjum Zajączkowski, był człowiek bardzo zacny, z uczniami obchodził się jak surowy ojciec, ale jak ojciec.

Duszą gimnazjum winnickiego był jego zwierzchnik ksiądz kanonik Maciejowski, Pijar, mąż wielce uczony, okazały postawą, szanowny pobożnością i wiekiem. On wlewał duchem swoim gorliwość w nauczycieli, pilność w uczniów, on oświecał ich sumienie i był stróżem ich duszy, on nauczał religii w klasach i w kościele, on zaprowadził zbawienny zwyczaj zaczynania pierwszej nauki od modlitwy i kończenia ostatniej w dniu każdym modlitwą; on nakazał i pilnował, aby uczniowie spowiadali się co



miesiące, a sam przygotowywał ich do spowiedzi wielkanocej przez bardzo przykładne rozpamiętywanie duchowe. Gorliwy kapłan, wymowny i serdeczny nauczyciel, poważny dobrym przykładem zwierzchnik, odpowiadał on zupełnie powołaniu swojemu. Nieszczęsny kto był głuchy na głos takiego mistrza, nie będzie mógł powiedzieć w dzień sądu: nie miałem kto by mię nauczał.

Taki był ówczesny obraz nauczycieli i uczniów skłających gimnazyum winnickie.

Nasz nauczyciel Jagiello był człowiek niebardzo zabawny, ale poważny, słodki i pilny w nauczaniu; wiele umiał, wiele z nami pracował, pilnował nas dobrze; przy takim dozorze w domu, przy współubieganiu się w szkole, a nadewszystko przy pamięci na ową obietnicę dziadunia, uczyłem się nie źle, mianowicie miałem zdatność do nauk ścisłych.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, a z niemi popisy i porachunek szkolnych postępów: popisy szły jako tako; ale ten porachunek...

Zbierają się uczniowie do największej izby; niema ławek, a tylko stół wielki i krzesła dla nauczycieli. Uczniowie w oczekiwaniu jak na wyrok śmierci, cicho stoją, na klasy jak na hufce podzieleni. Otwierają podwoje: wspólnym pochodem wchodzi zwierzchnik z dozorcą gimnazjalnym, za nimi nauczyciele w litej odzieży; zasiadają w milczeniu. Zwierzchnik stosowną przemową zagają posiedzenie; jeden z nauczycieli zaczyna czytać imiona uczniów do pochwały z każdej klasy osobno, zaczynając od pierwszej. Uczniowie chwaleni szykowali się na środku, zwierzchnik przemawiał do nich w sposób pochlebny i zachęcający, a malce z rozpromienionemi twarzyczkami wracali do swoich. Wywołują następnie do nagany. Najstarsi wiekiem najczęściej na nią zasługiwali; ciągną się jak woły, stoją rzędem, a wysłuchawszy cierpkie napomnienie, niejeden rozplakawszy się wracał lży gorzkie ocierać po-

stanowieniem poprawy. Aż tu do nagany z obyczajów 2-giej klasy wołają, Eustachy Jelowicki: krew zakipiała we mnie jak gdyby mię kto ukropem sparzył; zaczajony patrzę co to z tego będzie: pan Eustachy wychodzi czupurnie, potrójnym ukłonem wita nauczycieli i współuczniów, występuje dalej jak na środek, znowu się kłania, dopóki mu zwierzchnik nie przerwał:

— A czego się tak kłaniasz?

— Bo jestem obyczajny.

— A ty malcze jeszcze krnąbrny, patrzcie go! takiego ojca syn, a czyż ty nie boisz się zakrwawić jego serca?

Wtem Eustachy połą od mundurka potrząsa, dając znak współswawolnikom, jak to on tego słucha nagany

— A co tam robisz?

— Chustki szukam — i parsknął od śmiechu.

Eustachy był bardzo sprytny, uczył się dobrze, lecz temu dziwakowi nauczycielowi najwięcej płatał figlów, i za to ganili. Zwierzchnik czuł, że Estachy nie wart był nagany, więc skończył przestrogę łagodnie, mówiąc:

— Idź, zakryj swój wstyd, a popraw się.

Eustachy znowu się wkoło obklonił i wróciwszy, bunducnie stanął na czele malców; a malce potem gadali: oto tegi!

Przyszła kolej na klasę trzecią — zadrżałem — chęć pochwały a bardziej obawa nagany objęły mię takim strachem, jak gdyby mię kto nad przepaścią trzymał i co chwila miał puścić. Pochwały nie spodziewałem się wcale, bo sumienie własne, ten najsurowszy sędzia, policzył i postawił mi przed oczy wszystkie nieumiane zadania, niedopelnione ćwiczenia. Schowałem się za wszystkich uczniów, radbym się był pod ziemię schował: aż tu wywołują mię do pochwały — uszom moim nie wierzę; wołają raz drugi, wysuwam się nieśmiało, a zwierzchnik chwali jeszcze to żem skromny. Tak to trudno rozpoznać wieka. Pochwała miała wielki wpływ

nałem się, że nie święci garnki lepią i podwoilem pilność moją.

Przybywszy do Winnicy z dobrimi zasadami pobożności, rozwijałem ją pod sterem zacnego przewodnika naszego. Nauki religii słuchałem zawsze z upragnieniem, a jak ksiądz Maciejowski nauczał nas o szczególniejszej opiece Najświętszej Panny nad działywą i młodzieżą, wstało we mnie tak silne ufanie w Jej łaskę, że do Niej uciekałem się w każdym utrapieniu, do Niej ze wszelką prośbą, z każdym ślubem dziecinny a potem i młodzieńczy, Jej ofiarowałem wszelką zasługę moją, i zawsze było mi czysto w myśli, wesoło na sercu; Ona mnie uchowała od wielkiego upadku, dając mi ową ciocię moją za prawdziwego anioła stróża. Przywiązywałem się coraz mocniej do milutkiej, śliczniutkiej cioci, a ciągle myśl o niej odwracała mnie potężnie od wielu rzeczy, których bym się wstydził przed nią. Tak to dobroć boska używa tysiącznych sposobów do utwierdzenia w dobrym młodej chwiejącej się od wiatru zepsucia. A w szkołach jest wiele zepsucia, a przełożeni wogółności nie dosyć strzegą od niego, nie wiedzą, że trudniej jest ustrzedz od złego, jak nauczyć dobrego, zapominają, że w publicznym wychowaniu, na głównem baczeniu ukształcenie duszy mieć trzeba, bo trudniej na świecie o cnotę jak o naukę, a cnota potrzebniejsza.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, a z nimi parę tygodni wolnych od nauki. Rodzice jedni poprzyjeżdżali, drudzy poprzysyłali po dzieci; i w mgnieniu oka jakby wymiótł, niema nikogo. W murach pusto, a my na darmo wyglądamy przez okna, czy nie przyjedzie kto po nas? Trudno było osłodzić tęsknotę za domem. Rodzice nasi mało kiedy brali nas do siebie na święta, chcieli żebyśmy się i podczas świąt uczyli; chcieli dobrze ale źle czynili, bo w czasie świąt nie uczą się uczniowie, nie uczą nauki, a rodzicom naszym nie było pociechy. Ojciec i matka zająć się dziećmi dopóki dzieci, bo

jak podrosną a los porwie i rozniesie je po świecie, to już nie zbierzecie ich nigdy wokół siebie, a tylko zostanie żal, żeście sami nie używali i dzieciom skąpili szczęścia dopóki było. Ojcowie i matki! zgromadzajcie około siebie działywę waszą póki czas, bo wy im najlepszym nauczycielem, najlepszym wzorem.

Zawitała wiosna, a z nią nowe rozkosze uczniom; ustala wojna na śnieżki, a zaczynała się wojna w piłki; ustaly ślizgawki, a zaczynały się dalekie przechadzki i gry rozliczne. Pierwszego i ostatniego maja była całodzienna majowa pohulanka. Wszyscy uczniowie ze wszystkimi nauczycielami, z muzyką i z jakimś zawsze chorągwiem na czele, wyruszali z murów przez miasto do lasu, porządnym pochodem. Kto mógł, jechał po przedzie na koniu, i to już było najwyższe szczęście, bo mu się zdawało, że on dowodzi tym hufcem, że wszyscy tylko na niego patrzą; więc malec głową a koń ogonem kręca na wszystkie strony, i oba z siebie radzi. Pod koniec szkół myśmy mieli doskonałe konie, jeździliśmy dobrze, to też malcy zazdrościli nam, nazywając paniczami, marszałkowiczami, bo wyraz *arystokrata* nie był znany w szkołach. Pomimo tej wymówki uczniowie nas lubili, bośmy zawsze mieli czem się z nimi dzielić, to rodzynekami, to cukierkami; a mianowicie bywaliśmy bogaci na majówkę.

Przyszedłszy na obronę jaką płaszczyznę pod lasem, nasze pulki stawały i cały dzień hulały. Z za lasu myślałbyś, że wojna; rzenie koni, huk wystrzałów, wrzawa zamieszania, okrzyki zwycięzców, jęki zwyciężonych, bo nieraz aż krew się leje. Zaglądasz z lasu: jedni gonią, drudzy uciekają; tu piłki jak kule armatnie warczą w powietrzu i po ziemi skaczą, tu balony jak bomby poważnie wznoszą się w górę; jeden bohater porywa kulę i ciska nią jak gdyby z armaty, drugi odbija bombę kulakiem, niejeden zwali się na ziemię, niejeden w rów wleci; tu niby ludzie opadną olbrzyma, olbrzym miota nimi jak niedźwiedź

psiakami, dziatwa powraca do boju i dopóty się naraża na nowe guzy, dopóki olbrzyma nie uszamocze; kilku skoczy mu na leń, kilku do nóg się uczepli, wali się olbrzym, malce jak gruszki odleca od niego, wnet jak mrówki obsiadają i męczą go dopóki nie krzyknie: daruj, ale zwyciężony woli cierpieć jak poddać się, leży spokojnie jak gdyby zabity; malce się zagawronia, on strzepnie niemi, malce odleca i albo nowy bój rozpoczyna się, albo zaszczytny pokój następuje. Tam jedni ciskają strzałami, drudzy dziadami, ci się na gołę lby tłuką. Wojna powszechna — zabrzmiała trąba pokoju — bój ustaje — zniknęli nieprzyjaciele — szykują się wszyscy do jednych szeregów; każdy urwał sobie liściastych gałęzi, a choć nie laurowe ani oliwne, niesie je przed sobą na znak zwycięstwa i pokoju. Muzyka gra, ogromne gałęzie suną, a słońce zachodzące igra z drżącym ich liściem. Słuchając i patrząc z daleka myślałbyś, że to bożki leśne wyszły poigrać po chłodzie wieczornym, a stęskniony las bieży za nimi; ale jak muzyka ucichnie, a malce różnym głosem zawrzeszczą, poznasz dopiero, że to uczniowie wracają z pohulanki. Wchodzą do miasta. Ustają wrzaski, szyki się równają, hardość rycerska krasi czoła malców, iskrzy w ich oczach. Z rozwiniętymi chorągiewkami, z konnicą na przedzie, przy odgłosie zwycięskiej pieśni, oddział przesunawszy się przez miasto, zawija na dziedziniec Szczeniowski. Poważny starzec przemawia, malce w okrzykach radości porywają go na ręce, bo go wszyscy kochają jak dziadunia, wszyscy wiedzą o jego zasługach i cnotach: a ja szalejąc na koniu, cieszę się kiedy ciocia przelekniona o mnie, krzyknęła, smucę się kiedy nie dla mnie jednego jej oczy, kiedy mi choć na chwilę wydarła czarowne spojrzenie swoje.

W lecie, w klasie czwartej bywało miernictwo. Raniutko uczniowie zbierali się, każdy prawie miał tyczkę stosownie do możliwości swojej; majątniejsi mieli tyczki okute jak spisy, z chorągiewkami. Ze spisami oblatywaliśmy oko-

liczne wioski, a jak którą wymierzylismy, to nam się zdawało, żeśmy ją zdobyli.

Bywały też i szkolne kłopoty, a to kiedy naznaczyli trudne jakie zadanie, lub kiedy kazali wiersze pisać, a tu ani rusz do wierszy; ale i na to był sposób — było z nami dwóch wierszopisów, Kowalski i Malinowski, więc ci dwaj pisali wiersze i za siebie i za półkopy współuczniów, mianowicie Kowalski, później znakomity tłumacz Moliera; my mu za to podpowiadaliśmy w każdej złej przygodzie, bo nigdy się nie uczył, a tylko wiersze pisał. Raz szewc żyd zrobił mu złe buty, on szewca wytłukł prawidłami, szewc poszedł na skargę do przełożonego, ten kazał żyda załagodzić, żyd wziął pół rubla, a Kowalski napisał o tem poemat bardzo zabawny w dwunastu pieśniach. Pisywał on często paszkwile na nauczycieli i piosneczki, ale się to nigdy nie wydało, i nie pamiętam, żeby kiedy był w biedzie za to.

Oprócz przechadzek, jazdy konnej, gry w piłkę i t. p. mieliśmy jeszcze inne zabawy. Były to tak zwane wieczorynki, gdzie grano i tańczono; takie wieczorynki bywały u niektórych nauczycieli i po szkołach panien. Bywały też zabawy w okolicy, na które nas ze szkół wożono jako istoty do tańcowania, a nam się zdawało, że te zabawy dla nas. Bywaliśmy też starsi będąc i na zapustach, zdawało się nam, żeśmy tam pierwszemi osobami, a tam nikt na nas nie zważał. Bywało się także i na widowiskach, kiedy jakie koczujące pocziwe grono aktorów polskich wyгнаło ze stajni żydowskiej krowy i kozy, a zaczęło tam śpiewać jak te same kozy, a nam się zdawało, że to nie piękniejszego. Rozplakiwaliśmy się na każdy czuły ustęp, a uczuciem naszym wyprzedzaliśmy daleko i aktorów i pisarza samego. Niemasz droższego skarbu w wieku ludzkim jak czucie młodzieńcze, ono pochłania wszystkie wrażenia, a jakich wrażeń nachwyta młodzieniec, taki się z niego rozwinie człowiek.

Zbiegowiskiem zabaw w Winnicy był dom Szczeniowskich, duszą zabaw całego miasta, Szczeniowski. Nie było prawie tygodnia, żeby u niego nie tańczowano, a kilka razy na rok bywały tam sute uczyty, a to wszystko dla Ksawerci, żeby Ksawercię zabawić, żeby Ksawerkę pokazać. Ale też było kogo bawić, było kogo pokazać. Ksawerka rozwijała się w krasę i wdzięki, jak iskra rozwija się w płomień, jak jutrzienka rozwija się w krasę poranku. Jakem patrzył na nią to mi w oczach piękniała; wpatrywałem się w nią jak w księżyc, jak w tęczę, jak w piękny wodospad, jak w niebo — bo jak podniosła duże niebieskie oczy, to mi się zdawało, że widzę dwa nieba, źrenice tych oczów były jak dwa słońca; u niej jagody jak krew z mlekiem; świeża jak róża, skromna jak fiołek, zgrabna jak sarenka, lotna jak ptaszek, wdziękiem i kibicią, dowcipem i nauką wyścignęła wszystkie rówiennice swoje. Szczęśliwa matka co ma skarb taki; szczęśliwy i ja, bo mogłem ją nazwać moją, moją ciocią, bo mogłem z tą ciocią bawić się, tańcować, swawolić, bo myślałem, że zawsze tak będzie!

Dom Szczeniowskiego nie tylko dlatego był miły i pełny, że w nim zaczynała panować królowa oczów i serc ludzkich, że w nim można było napatrzeć się piękności, nasłuchać dowcipu; ale też dlatego, że w nim mieszkała staropolska uprzejmość zaprawiona wesołością gospodarza, którego myśl nie lubiąca spoczynku, tworzyła coraz nowe wybryki, to w słowie, to w czynie. Nie było dnia, żeby stary Szczeniowski nie spletał figla głośnego po całej Winnicy, a jednak nie było przykładu, żeby mu się który nie udał; to przez listy udane pokłócił Polaka lekarza z Niemcem pigułkarzem aż do pojedynku, a potem ich sprowadził na zgodę uroczystą; to zmyślił jakąś wiadomość, która wstrząsnęła całe mury pojezuickie; to znowu godził baby plotkarki, co bały się zgody jak wściekły pies wody; to żenił, to rozwodził, a każda psota rozwiązywała się szczęśliwie i wesoło. O figlach Szczeniowskiego możnaby tak

ciekawą księgę napisać, jak o dowcipnych łgarstwach Radziwiłła. Do tych figlów służba jego była tak wprawna, że spojrzal, a już wiedziała co robić. Pewnego razu wszystkie dzienniki pisały wiele o trzęsieniach ziemi bardzo strasznych; gwiazddziarze Winnicy spodziewali się tego trzęsienia i u siebie, oczekując go ze smutkiem i trwogą. Szczeniowski chcąc pocieszyć strapionych, zaprasza panów nauczycieli na obiad. Nakryto stół w najodleglejszej komnacie. Przy obiedzie rozmowa o nowych klęskach trzęsienia, stąd nowe trwogi; Szczeniowski dowodzi, że tu nie będzie trzęsienia, nauczyciele utrzymują, że musi być, bo Winnica leży na kierunku trzęsienia ziemi, a jeszcze do tego nad rzeką. Aż tu daje się słyszeć huk podziemny — strach — huk ustał, ochłonęli ze strachu — huk powraca coraz silniej; stół się zatrzęsł, szklanki zadzwoniły, szyby zabrzęczały, i z największym łoskotem dom zadrzał, jakby się zapadał; nauczyciele w nogi, Szczeniowski za nimi, pędzi ich przez wszystkie komnaty; wyrwywają się jeden przed drugim, wywracają się po schodach, wypadają aż na dziedziniec; a jeszcze bryzgi z dachu gonią za nimi, i jeszcze ostatnia stara beczka napelniona gruzem i czerepami huczy po dachu, wlatuje pomiędzy nauczycieli, pęka z łoskotem i donosi im, że to takie bomby udały trzęsienie ziemi.

Najważniejszą chwilą w roku szkolnym, było zbliżanie się popisów rocznych, bo tuż za nimi odpoczynek. Już się Winnica zaludnia, już się przyodziewa uroczystością, już nauki ustały, już zamknięte szkoły; ale wielka izba otwarta przez trzy dni ciągiem. Przez dwa pierwsze dni, klasy zbierają się w ściśnięte gromady, odbywają popisy zawsze pomyślnie; co godzina zmieniają się i ciągną jedne za drugimi, jak pulki na polu marsowem. Trzeciego dnia zrana, popisy bawiące z fizyki i chemii ze stosownymi doświadczeniami. Po południu popisy sztuk pięknych; izba ustrojona w arcydziela szkolnych rysunków. W mgnieniu oka napelnia się izba licznymi gośćmi, ciekawymi szkolnej

muzyki i szkolnych tańców. Naprzód muzyka, którą dowodził nauczyciel matematyki, więc choć grał fałszywie, takty równo mierzył. Po muzyce, jak mistrz obrzędów występował brzuchaty, a lekki i skoczny jak piłka, dawny tancerz króla Stanisława, a wówczas nauczyciel tańców, pan Kure; wykwinnym krokiem wprowadzał na środek izby strojne pary najlepszych taneczników. Panna Ksawera tylko co odegrała polskiego na klawicymbale, jeszcze trwają oklaski, a ona już stoi do tańca. W tańcu nabywała nowego wdzięku i życia; nie można się było napatrzeć jej lotnym nóżkom, które zdawała się ziemi nie tykać, nie można było nachwytać się tych przemijających kształtów, które po przed oczy wszystkich przemykała jak płomyk, jak dym wonnego kadzidła, jak drżący listek, jak migające światelko, jak senne zjawisko. Wszyscy zachwyceni, a ja dumny, bo myślałem sobie — dlatego tak pięknie tańczy, bo ze mną.

Po tańcach dziennych, zwykle następowały wieczorne; Szeniowski jako dozorca gimnazjum nie tracił żadnej sposobności, aby liczną młodzież ucieszyć, licznie zgromadzonych obywateli uczyć; a jakże po polsku uczyć inaczej, jak biesiadą. Więc po wszystkich popisach następowała suta uczta.

Po uczcie jeszcze się nikt nie wyspał a już dzwonią na mszę. Msza śpiewana, w czasie mszy piękne kazanie księdza Maciejowskiego, po mszy *Te Deum*, na podziękowanie Panu Bogu za koniec roku. Z kościoła uczniowie sznurami wiją się do wielkiej izby na wielki obrzęd. Na początku mowa i na końcu mowa; do chwalonych mowa, do kończących szkoły, przy oddawaniu świadectw, także mowa ojcowska a czuła, aż się rozplaczą: pocziwy mowca i pocziwi słuchacze. Potem rozdają uczniom roczne świadectwa wymawiając głośno, czy przechodzą do klasy następującej, czy zostają w tej samej klasie. Malce co postąpili skaczą jak kozy, ci co nie postąpili becą jak kozy.

Na tem się kończy rok szkolny, od tego zaczyna się odpoczynek po szkolnych męczotach.

Taki jest owoczesny obraz szkół winnickich postawionych na znamienitej stopie przez Czackiego, utrzymujących się w dobrym duchu, tak jak wszystkie owoczesne szkoły przez skuteczne trudy księcia Czartoryskiego, co był wtedy opiekunem oświaty i sam też nasze gimnazjum nawiedził. Była to wtedy wielka uroczystość w Winnicy, i nadzwyczajne popisy w każdej klasie z osobna; a że to było w początkach roku szkolnego, więc cały ten ciężar spadł na uczniów drugoletnich; ja taki ciężar dźwigałem w piątej klasie, bo choć miałem przejść do szóstej i nawet byłem chwalony będąc rok pierwszy, jednak nauczyciele namówili mego ojca, aby mnie zostawił w tej samej klasie dlatego, że byłem za młody; żałuję, że mój ojciec posłuchał tej rady, i ten rok za zupełnie stracony uważam, a zatem nikomu tego nie życzę.

Po końcu roku szkolnego, jeździliśmy do domu, mając zawsze z sobą do przypominania nam trochę tego cośmy się nauczyli, jednego z uczniów klasy szóstej, z których mniej zamożni a nie mający sami rodziców, radzi byli przehulać parę miesięcy w domu, gdzie dostatek przysparzał wesołości i zabaw. Czas wypoczynku przemigał na skrzydłach rodzicielskiej pieczy, i znowu z płaczem wyjeżdżaliśmy z domu, tem się pocieszając, że za rok wrócimy.

Takim torem przebyliśmy lat cztery bez żadnej odmiany. W czwartym roku naszego pobytu w Winnicy, rozdzieliliśmy się z bratem Edwardem, którego mój ojciec odwiózł na nauki wojskowe do Wiednia. Smutne było rozłączenie się nasze. Zostałem w Winnicy z Eustachym, który mi był nieodstępnym towarzyszem aż do końca nauk moich w szkołach i w uniwersytetach. Przebywszy z nim ostatni rok piąty w Winnicy, ukończyłem tam szkoły z wielką pochwałą i z wielką radością. Dziadunio wpisu-

jąc mię do złotej księgi i wręczając świadectwo, błogosławił, życząc, abym był dobrym obywatelem.

Zdawało mi się tedy, że ja jestem już całą gębą obywatel, że już skończyły się nauki, a zaczną się, jeżdżenia sześciu końmi koczem, strzelania bez końca, panowanie we własnym domu na osobnych wsiach, i tysiąc podobnych marzeń zastosowanych do wieku i położenia mego. Odjeżdżałem więc ze szkół z pewnym rodzajem dumy, a z niecierpliwą ciekawością, co dalej będzie. Ale jak przy pożegnaniu ciocia ściskając mi rękę powiedziała — «to już nie wrócisz do nas» — jak mi stanęły przed oczy niewinne z nią igraszki, ten uśmiech, z jakim przyjmowała malutkie ofiary moje, to nasze wzajemne a serdeczne jak brata do siostry przywiązanie; lza zakręciła się w oku, i smutniej mi było wyjeżdżać ze szkół jak do szkół przyjeżdżać. — Do szkół nie wrócę ale do cioci sto razy powrócę — ucałowałem serdecznie przenaślodszą rączkę — ojciec i brat czekali już w koczku — siadłem i pojechałem.

ROZDZIAŁ III.

Rok w domu.

Pierwsze chwile po powrocie ze szkół zbiegły tak szybko, jak to zwykle w domu, ale jakem spostrzegł, że jeszcze wszystko po dawnemu, a nie zaczyna się ta swoboda i wolność, o której sobie, wyjeżdżając ze szkół marzyłem, zaczęło mi być w domu za ciasno, a nudno za ciocią: posławszy do niej nie jedną myśl tęskną, nie jedno słodkie westchnienie, sam za niemi pospieszyć chciałem.

— Niech ojciec pozwoli mi pojechać do Winnicy.

— Poco?

— Zawiozę cioci kawonów i brzoskwiń.

— Można przez kozaka posłać. — Siadaj, weź pióro i papieru na list.

I zaczął mi w głos powiadać list do Szczeniowskiego, posyłając mu różne owoce, a nigdzie nie było tak dobrych, jak u nas. W liście było pełno dowcipu, ale gdzie mi tam do śmiechu. Przypisałem się do dziadunia, ucałowałem listownie rączki cioci, i na tem się skończyła wyprawa, nad którą przemyślałem był kilka bezsensownych nocy. I nie mogło być inaczej, bo z moim ojcem nie wolno było rozprawiać, co raz powiedział, tego nie cofnął; kochał nas bardzo, ale trzymał nas krótko, po staropolsku.

Ścisnęło mi się serce, wybiegłem z listem, skoczyłem

do ogrodu, płakałem gorzko; lzy mieszały się z wieczorną rosą, westchnienia roztrącały się o nieczule skały, prze-drzeźniające złośliwym rozgłosem żalowi ludzkiemu. Usiadłem na kamieniu pod porohami Bohu; Boh mruczał ponuro, wiatr jęczał po skalach, wierzba nade mną płakała. puszczyk zapohuczał, czerwone chmury czerniały powoli, a z niemi czerniały myśli moje, i tak jak chmury gonily za sobą, walczyły z sobą, pożerały się wzajemnie, rozrządzały się w kształty coraz potworniejsze; a jak stanęły posepny a przeciągłym szeregim, zatrwożyło się serce moje, zwątpilem o szczęściu na ziemi. Co będzie ze mną i ze mnie, nic nie wiedziałem — uczulem, że woli jeszcze nie mam, i to uczucie pętało każdy zamiar, myśl każdą. Dumalem długo w noc; nic nie wydumalem; wróciłem prosto do łóżka, a to co we śnie widziałem, zdawało mi się pewniejsze, jak to o czem marzyłem na jawie.

Nadeszła późna jesień, zaczynały się polowania. U mego ojca było bardzo wielkie myśliwstwo, były też wielkie polowania. Zbliżało się pierwsze dla mnie polowanie na wilki, a że miałem czas nasłuchiwać się o różnych myśliwskich przygodach, mianowicie z wilkami, więc byłem bardzo ciekawy tego polowania, a zabić starego wilka było to dla mnie jednym z marzeń owego czasu. — Pobereźnicy przychodzili co dzień z doniesieniem wiele gdzie jakiego zwierza. W wielkiej brzezynie było gniazdo wilków, pilnowano je jak oka w głowie, nikomu do brzeziny wjechać nie było wolno, chyba nieboszczykowi wołowi albo koniowi, którymi karmiono te wilki, żeby szkody nie robiły, żeby prędko rosły, i żeby nie spieszyły się na wędrówkę.

Na dzień oznaczony zjechało się mnóstwo gości; już się zaczęło polowanie z chartami na małego zwierza, to jest na zające i lisy. W domu huczno, gwarno; hulają, grają w karty, przechwalają swoje strzelby, swoje psy, swoje strzelanie; pełno młodych szalawilów i starych wy-

jadaczów, ścierają się jedni z drugimi, śmieją się wszyscy, radzi wszyscy i ja.

Stary Ginowski, sławny myśliwy na całą okolicę zarządzał wielkiem polowaniem; co dzień gdy zmierzchało jeździł wabić wilki, żeby wiedzieć gdzie ich legowisko, jak je obrzucić sieciami, co wcale nie łatwo po czarnej stopie. Jeździłem z nim zawsze, bo ciekawy byłem jak to wilki wyją. Przez parę dni nie odzywały się wcale; trzeciego wieczora wjechaliśmy w inną stronę lasu, a jak pan Sędzia miarkował, że wilki już sobie oczy przecierają i zabierają się do wstawania i do umywania się, kazał strzelcowi zawabić. Strzelec podszedł trochę w stronę, gdzie się wilków spodziewał i zawabił przeciągłem wyciem; odpoczął, zawabił raz drugi; za trzecim razem jak się odezwą wilki o paręset kroków za nami, jak zawyją chórem, jak się wycie rozlegnie po lesie, zdawało się, że całym lasem zatrzęsło, a konie tak szarpnęły wózkami, że mi aż zęby zadzwoniły. Sędzia rozpromieniał z radości, u mnie serce waliło jak młotem, strzelec wskoczył na bryczkę i słowa nie mówiąc jechaliśmy jak najciszej; wilki szukając wędrowca przeskoczyły drogę za nami, a Sędzia szepnął: — «pohulajcie przed śmiercią».

Dopieroż radość jakeśmy wrócili do domu.

Wchodzi Sędzia.

— A co?

— Są.

— Wiele?

— Ośm.

Niech żyje Sędzia! — wszyscy krzyknęli, podskoczyli z radości, zatarli ręce, mróz niecierpliwego oczekiwania przebiegł po skórze, każdy opatrywał broń, jak gdyby ją pierwszy raz oglądał: wydano rozkazy.

Nazajutrz rano czas był spokojny, nie zimny, z lekka mglisty, wyborny do obrzucania wilków, bo liść pod nogami nie chrupocze. Piętnaście wozów z sieciami pod las podjechało, przy nich stanęło trzystu parobków ze spisami

albo z pałkami, żaden słowa nie szepnął. Sędzia objeżdżał na koniu, a za nim stawały sieci. W pół godziny Sędzia objechał knieję w koluteńko, i w koluteńko knieja zamknięta, kulec z kulcem. Za sieciami od pola, o dwadzieścia kroków od sieci, a o pięćdziesiąt jeden od drugiego, stoją parobcy i mają rozkaz odpędzać wilki od sieci, żeby wszystkie od strzelby wyginęły; gdyby się który wilk uparł do sieci, to go złapać i związać mają. Wszystko gotowe.

Po suten śniadaniu, zajeżdżają kocz, koczyki, wózki, wózeczki, bryczki, bryczeczki; wybierają się myśliwi, ten torbę wiesza, ten strzelbę nabija, ten czapki szuka, ten jeszcze szklanice wyciska jak cytrynę, a wszyscy się spieszą, a każdy się późni; nieład jak w powstaniu, ochota jak w powstaniu. Mój ojciec nie czekając, siadł na wózek z panem Sędzią i ze mną, i ruszył naprzód — goście widzą, że nie żarty, dalej za nami. — Powóz tuż za powozem jak na żelaznej drodze, mknął przez wieś, przejrzał się w stawie, i dalej sunie, aż w lesie wszystkie potonęły. Przed knieją stoją dojeżdżacze na koniach, trzymając pomiędzy sobą jak w garści dwadzieścia sfor gończych; gończe rwą się, skaczą, tarzają się z niecierpliwości, czasem zaskomli który, ale żaden nie szczeknie. Wysiadamy, idziem cichutko — wchodzimy w knieję. Rozdzieliliśmy się na dwie części; jedną stroną pan Sędzia, drugą mój ojciec strzelców rozstawia; ja poszedłem za moim ojcem, który mi dwururkę moją z bagnetem opatrzył, nabił, i mnie niedaleko siebie postawił, a odchodząc powtórzył: — «ogładajże się, żebyś nie prześlepił, uważaj, żebyś do psa nie strzelił, nie spiesz się, żebyś nie chybił, bo mnie i sobie wstydu narobisz».

Stoję; wszystko spokojnie; a taka cichość, że słychać konanie zwiędłego liścia. Wtem Sędzia na dzień dobry śpiącym wilkom strzelił z moździerza; zatrzęsły się drzewa i ciągle już drżały, opowiadając jedno drugiemu, co odtąd słyszało. Parobcy odkrzyknęli moździerzowi przeciągłym krzykiem, który dał znać wilkom, że są w obłęzieniu. Orły

wzleciały nad las i patrzą kto ich spokojność zamieszał; kruki kraczą wilkom na złą wróżbę; ślepe sowy tłuką się po gałęziach; lis pędzi do nory; zajęć przypada do nóg strzelcowi, jak gdyby chciał mówić: nie strzelaj do mnie! — i znowu cicho; aż tu na raz, jak psy zagrają, jak zaczną ujadać — najcudowniejsze brzmienie drży lasem, wre powietrzem, zaweseliło serca; nie można się polowania nasłuchać; ucho wytężone, wzrok ciska się na wszystkie strony, serce niecierpliwe boju. Każdy strzał roztrąca się o wszystkie drzewa i sam donosi czy zabił, za każdym strzałem psy mocniej ujadają, za każdym strzałem nowa zazdrość w myśliwcach, dopóki jej nie załagodzi z ust do ust lecące: *pilnuj!* Cały ten hałas zmieszany zbliża się ku mnie; wokoło mnie latają i psy i lotki, a czasem zatętni coś w gęstwinie, jak gdyby koń ciężki, i mignie ogromnym zwierzem. W oczekiwaniu i niepewności serce mi się tłucze, a sam nie wiem, czego chcę; wołałbym, żeby wilk wyszedł na mnie, ale się boję, boję się chybić, bo drzę cały, aż się kolana uginają pode mną. Wtem nagle psy zaskowytały, kilka strzałów naraz palnęło, i ogromnym pędem leci zziąjana stara wilczyca, wypada na halawę i z otwartą paszczą zwraca się ku mnie; przypuszczam ją jak najbliżej, palę z jednej rurki na sztych, wilczyca w bok; jak palnę z drugiej pod łopatkę, wilczyca w pere-werty, wije się śmiertelnym tańcem, i jak gdyby sama dobić się chciała, skoczyła w górę i tak silnie na bok padła, że aż jęknęła, nogi wyciągnęła, ogonem się nakryła, język przygryzła; przybiegłem z bagnetem, zastałem nieżywą, pastwić się nie chciałem. Dopieroż zazdrość i wstyd dla starych myśliwych, co pochybiali, radość i chluba dla mnie. Chcieli mnie *ufarbować* na cześć pierwszego wilka, nie dałem się. I pan Sędzia się puszył, bo jak ośm wilków wyliczył, tak ośm na szubienicy wisiało.

Spolowawszy wszystkie knieje w przyległych wsiach, pojechaliśmy z kolei do innych majątków mego ojca w powiecie bałckim leżących, których głównem miejscem jest

wieś, Trzy-dęby nazwana, od sławnych, niegdyś przy sobie stojących, starych trzech dębów, które w tamtem położeniu były prawdziwą osobliwością. I tu były bardzo piękne a wcale inne polowania stepowe; ale już mnie one nie bardzo zajmowały, bo tu przybył nowy kłopot serca mego.

Najbliższem sąsiedztwem Trzech-dębów była wieś Kurzęce Łozy, zamieszкана przez państwa Szolajskich, ludzi bardzo majątnych; ale największem ich bogactwem były trzy córki, jak trzy rusalki: piękne, wesole, dowcipne. Dwie starsze tylko co zameżne, najmłodsza Eufrozyna, już na wydaniu, celowała wdziękiem i łagodnością; a miała wzrok tak ponętny a skromny, że jak spojrzała, to chciało się uklęknąć przed nią, jak przed świętością jaką; bo i cóż świętszego na ziemi, jak dziewica serca spokojnego, myśli przeczystej. Taką była kochana Fruzia; kochana, bo ją wszyscy kochali: i rodzice, i domownicy, i dziatki wiejskie, i sąsiedzi, i znajomi, i kto tylko o niej zasłyszał; czemuż nie miałem jej pokochać, ja com na nią patrzył, ja co byłem w tym wieku, w którym się kocha wszystko i wszystkich; w którym zdaje się, że aby co się stało, dosyć jest zamyśleć sobie, jak przy kabale; w wieku, w którym się nie zna ani zdrad ludzkich, ani złości losu. Więc serce moje przylgnęło do Fruzi, jak twarz przylega do ręki, która ją pieści; umknie się ta ręka, i zimno przebiegnie po twarzy, umknie się obraz uroczej dziewczycy i zimno przebieży po sercu.

Po całodziennych polowaniach prawie każdego wieczora przyjeżdżaliśmy z naszymi gośćmi do Kurzęcych Łóz; tam oprócz córek gospodarstwa było zawsze kilka innych panienek. Każdy wieczór schodził wesoło na grach i tańcach; mnie było doskonałe, lubiły mnie wszystkie panny, a Fruzia najwięcej, najczęściej ze mną tańczyła, i zdawało mi się, że się mnie najmiej uśmiecha. Wróciwszy do domu, rozmyślałem nad każdym jej spojrzeniem, nad każdym słówkiem, nad każdym niewinnem jej umileniem

się; rozmyślałem nad tem, co mam jej jutro powiedzieć, a zawsze co innego powiedziałem; i tak dzień za dniem ubiegał. Nieraz biedząc się z myślami zapłakałem, a sam nie wiedziałem czego, jak dziewica w marzeniu. Może dlatego, że jak patrzałem na Fruzię, to mi Ksawerka stawała na myśli, a jak myślałem o Fruzi, to mi Ksawerka stawała przed oczyma. Nakoniec przyszło do głębokiego namysłu. Myślę sobie, która piękniejsza, i wymyśleć nie mogę; która lepsza, i wymyśleć nie mogę; która mnie lepiej kocha, i wymyśleć nie mogę. Więc biorę się na inny sposób: myślę sobie, obiedwie równie śliczne, równie dobre, równie mnie kochają, bo jakże mogą nie kochać, kiedy moja dusza je kocha. Czasem przewinęło mi się po myśli: podobno Fruzia bogatsza, ale co mi tam bogactwo; podobno Fruzia starsza — i cóż, że starsza, ale młoda i śliczna, i pewnie zawsze taka sama będzie, bo anioły nie odmieniają się; ależ i Ksawercia aniołek — a jeszcze aniołek, co mi zawsze lata przed oczyma, spoczywa na sercu. Patrząc na Fruzię, myślę zawsze o Ksawerci — gdybym patrzył na Ksawercię, możebym myślał o Fruzi — a za każdą z nich oddałbym życie; a o tem uczuciu mojem, którego sam nazwać nie umiałem, żadna z nich nie wiedziała, ni wtedy, ni potem.

Zbliżał się czas kontraktów kijowskich. Wróciliśmy do Hubnika, stamtąd wyruszyliśmy do Kijowa; tam pomagałem trochę mojemu ojcu, liczyłem i widziałem mnóstwo pieniędzy, któremi jeden nasz pokój był zawałony. Kontrakty tak przeszumiały mi w uszach, tak przemignęły po przed oczy, że mało co z nich pamiętam. Wróciliśmy do domu.

Z okien domu naszego było widać pół mili Bohu, wijącego się po bogatych w kwiaty i bydlę rozlogach; po Bohu tu i owdzie posadzone ostrowy, pięknie zarosłe rozmaitem drzewem, bogaciły rzekę cudnym widokiem, a słu-

żyły za schronienie młynom, rybakom i rakom. Na prawo, jak rzucić okiem, tak się sunęła piękna i spokojna rzeka w wysokich brzegach, jak gdyby ją Bóg do żeglugi stworzył; jej powierzchnia powleczone błękitem nieba, jej dno w dzień wysłane promieniami słońca, albo miękkimi chmurami, w nocy wysłane brylantami, kiedy niebo wesole, albo też kirem, kiedy niebo smutne. Rzuć okiem na lewo, aż tu rzeka napotkawszy piękne ostrowy, pieści się z nimi, obejmuje je licznymi ramionami, a one przeglądają się rozkosznie w jej łonie i rozkosznymi gałązkami drażnią się z niestałą wodą, co muśnie tylko po listku i za drugim goni. Ale po tych rozkoszach będą ciężkie chwile; za ostrowami niezliczony nieprzyjaciół; tysiączne skały przerzuciły się przez drogę rzeki, i niby jej mówią: nie pójdziesz dalej; rzeka zatrzymuje się nieco, zbiera swe siły, zawrzała gniewem, jak gdyby odpowiadała tym skalom: albo was wywrócę, albo się przez was przebiję; i ciska się na nie ze wściekłością; skały ją odparły; rzeka zapieniła się w złości: drugie jej uderzenie było tak silne, że woda naprzód posłana rozprysnęła się na krople, na mgłę, a ubarwiwszy się w tęczę, stała się wieńcem zwycięskiej rzeki, co w tejże chwili przeskoczywszy zaporę, dumnie się na nią ogląda, ale nim odetchnie, stukrotna czeka ją walka; wszędzie zwycięża, a szumny hałas roznosi to jej zwycięstwo po okolicznych górach i lasach. Taki jest Boh w Hubniku. Zima zazdrosna zamroziła jego piękności, schowała je pod lód. O, jakże wyglądamy, żeby upokorzona zima uciekla, a Boh żeby skruszył kajdany, które przez całą zimę dźwigał hardo, bo ciągle odgrażał się, pomrukując na porohach.

Wczesna wiosna zaweseliła prześliczną wieś naszą. Wiatr ciągle od morza ciepłym tchem swoim ogrzewał powietrze, słońce wybrylantowane podnosiło się coraz wyżej na ciemno-błękitnym niebie, śnieg przed słońcem uciekając albo się krył pod ziemię, albo przemieniwszy się w wodę; żeby go nie poznano, zmykał do rzek i stawów,

tym groble, a tamtym zrywać lody i mosty; już tylko gdzieś po łąkach i wzgórzach bieli się szmatami, a przy nim łąki zieleniejsze, a przy łąkach śnieg bielszy. Jeszcze najupartszy i najśmielszy śnieg w lesie nietknięty, bo on się tam wiatru nie boi, on się tam najdłużej ze słońcem pasuje, aż już Bohowi tyle sił przyrosło, że lód podniósł i sam z pod lodu wystąpił, jak gdyby chciał przypomnieć: tu jestem. Na porohach szumi straszniej a straszniej, wspina się coraz wyżej — już równo z brzegami, lód trzyma go a trzyma, Boh się z nim mocuje, lód się zarysował, pęka, a gromkim hukiem doniósłszy, że skończył, rozpada się w sto części, kra cofa się leniwo, piętrzy się groźnie i groźnie stanęła; a Boh zapieniony złością rzuca nią o porohy, rozbija na miazgę i przez trzy dni niesie ją na grzbiecie swoim, na znak zwycięstwa, na ofiarę Czar-nemu morzu; a wzniosłszy swą dumę, rozszerzył panowanie swoje od góry do góry, powiedział: to wszystko moje, i co napotka, zabiera i pędzi przed sobą. Tam zabrał most cały i niesie, tu porwał młyn cały i niesie, tam rozgruchotał lodem ludzkie schronienie i pastwi się nad jego szczątkami, tu rwie drzewa z rodzinnego lasu i precz wygania, tam jednym liźnięciem maże kilkanaście lat pracy i trudów człowieka, tam porywa chatę ze starą matką i drobną dziatwą; nie słyhać ich jęku, tylko widać, jak wyciągnawszy ręce, modlą się do Boga i ludzi; Bóg ich do brzegu przybije i ludzie poratują, jeśli Bóg pozwoli. Rybacy, panowie Bohu, biegną na ratunek lotnemi czółnami, a wydarłszy Bohowi niewinne ofiary, spieszą wydzierać mu wszystko, co on ludziom zabrał.

Tak to Boh hula dni kilka, a nahulawszy się dowoli, użyźniwszy łąki, a ludziom za szkodę placąc rybami, które tu i owdzie po dolach zostawia, wraca do koryta, jak żołnierz do domu.

I znowu płynie tak strojnie, jak przedtem, i znowu jego ostrowy rozkwitły różnobarwnym kwiatem, zaludniły się rozliczną ptaszyną, co cały dzień świegoce, a wiecz-

rem słucha słodkiego śpiewu słowika. I któż go nie słucha? Słucha go wszelkie stworzenie, słucha go wszelki człowiek, szczęśliwy i tęskny; młody marzy przy nim o przyszłym, stary o przeszłym szczęściu, a oba wzdychają; ten do tego, co będzie, ten za tem, co było. Sam Boh go słucha, bo mruczenie swoje stroi do śpiewu słowika, bo śpiew jego porywa na swoje wody i krętą drogą roznosi po całej krainie swojej.

Tak to śpiewają słowiki w Hubniku, i nigdzie tak nie śpiewają. O, kiedyż ja was usłyszę, lube ptaszki moje, i czy zaśpiewacie kiedy tak wdzięcznie wspomnieniom, jakżeście śpiewały marzeniom moim?

Słuchając tych lubych słowików, oddychając młodziuchną, wonną wiosną, upajającą wdziękiem swoim wszystko, co żyje, i ja też upajałem zmysły moje i duszę moją. Zbiegałem często nad rzekę tarzać się po kwiatkach i w kwiaty ubierać rozwijającą się wiosnę moją; poglądałem często po Bohu, patrząc, czy mi nie niesie czego od mojej cioci, a jak która kropla wody trącając się o skałę rozprysnęła w tęczę, pomyślałem sobie, musiała to ciocia swoim wzrokiem tak ją ubarwić. O rzeko moja, czemuż ty nie płyniesz do Winnicy, ale z Winnicy, nosiłabyś codziennie do cioci westchnienia moje, łzy moje, a od cioci nie mi nie przynosisz.

Boh szumi wspaniale, księżyc ozlaca jego srebrne wody, żaby skrzekoczą wesolo, z daleka koń zarzy, pies zaszczecka; po drugiej stronie rzeki, pomiędzy skalistemi górami, ogień pastuszków wzbija prosto do góry dym biały, jak słup marmurowy, czasem głos ich piszczalki przekradnie się do ucha; na górze chatka pustelnicza, czasem odgłos dzwonu z pobliskiej wioski zadrży w spokojnem powietrzu. Rosa jak manna niebieska, nakarmiła już wszystkie łąki i pola, i drzewa i kwiaty, ogień już zagasł, pastuszkowie odeszli, żaby i psy zasnęły; tylko Boh panuje nad ciszą i szumi wspaniale, tylko księżyc panuje na niebie i kapie się we wszystkich wodach ziemi i do

wszystkich serc stęsknionych zagląda, i tylko ja jeden z założonemi rękoma siedzę naprzeciw skały, na której wyryłem dawniej imię cioci, a obok niej ryjąc teraz imię Fruzi, dawne odnowilem; wpatruję się w te imiona, a blask księżyca tyle życia nalał do nieżywej skały, że postacie moich aniołów, stanęły przed oczyma mej duszy. W takim zachwycie nie jedna mknęła mi godzina, w takim zachwycie mignęła nie jedna myśl piękna, ale nie skuteczna.

Jednego podobnego wieczora błogo mi na duszy, weselej na sercu, rozkoszniej w myśli, bo wymyśliłem rzecz bardzo mądrą; oto zbliżał się w Winnicy czas popisów, a że ja uczyłem Eustachego, czegom się sam uczył, więc myślę sobie: powiem ojcu, że pojedziemy do Winnicy na popisy, że Eustachy je odbędzie, dostanie świadectwo, i nie będzie potrzebował jeździć do żadnych szkół; myśl doskołała, bo myślę sobie, już tego kozak nie zrobi; klasnąłem w dłonie, podskoczyłem z radości, uściskałem kochaną skałę i wokoło niej wywijam rozkoszne płasy. Wtem przybiega kozak i mówi:

— Pan prosi!

Przychodzę:

— Co ojciec każe?

— Jutro rano pojedziesz do Odessy.

— A poco?

— Zobaczysz miasto, zabawisz się, a przytem przedasz mi zboże i wełnę, co tam jest, bo mi coś panowie kupcy nie dopisują.

Otóż masz, jak bańka mydlana o mur, tak wszystkie moje zamiary i uciechy rozbiły się o jedno słowo rozkazujące najlepszemu ojca. Gdybym się był mu wyświadał z moich uczuć i myśli, zapewneby mnie pocieszył dobrą nadzieją, albo nauczył dobrą radą; wybierałem się do ojca z taką spowiedzią, ale sam nie wiedziałem, co tu powiedzieć, nie wiedziałem, jak wytłómaczyć tęsknotę za

ciocią, a myślałem sobie: on powie, że jestem dziecko i koniec; więc i tym razem nie mówić nie śmiałem. Pojechałem do Odessy, sprawilem się doskonale, zboże i wełnę sprzedałem jak najlepiej, w morzu się nakapałem, śpiewów włoskich nasłuchiwałem się i do domu przywiozłem mnóstwo pieniędzy, pomarańcz i różnych gościńców dla ojca, za jego pieniądze.

Sąsiedzi winszują memu ojcu, że już się doczekał pociechy i pomocy, mój ojciec uśmiecha się tylko. Sąsiedzi wychwalają coraz głośniejsze wdzięki panny Ksawery, jak była tu królową zabaw, tam duszą całego towarzystwa; jak zadziwiała pięknnością, ujmowała słodyczą, jaśniała skromnością; jeden drugiemu w opowiadaniu potakuje i pomaga; a we mnie serce to rośnie z radości, że taka ciocia, to pęka z zazdrości, że inni ją widzą, a ja nie. A więc ośmieliwszy się, powiedziałem:

- Ojczy, czy pojedziemy kiedy do Winnicy?
- Może wstąpimy, jadąc do Krakowa.
- A po co do Krakowa?
- Do Akademii.

Na te słowa aż mi się słabo zrobiło; pomyślałem sobie: Skończyłem szkoły, byłem w Kijowie na kontraktach, sam do Odessy jeździłem, starego wilka zabiłem, i mam jeszcze się uczyć? O, ja nieszczęśliwy! Goście mądrzy mówią:

— I pocóż pan marszałek tak chce ich męczyć naukami, czyż to im nie zostawisz majątku? co im po nauce!

Mój ojciec uśmiechnął się i powiedział:

— Mospanie, człowiek wtedy bogaty, kiedy ma skarb w głowie, bo tego ani mu wróg nie wydrze, ani ogień nie spali, ani woda nie zabierze.

Tak mówiąc, przekonał gości i mnie; trzeba było pożegnać się z domem i jego rozkoszami, z miłymi zabawami, z miłszymi jeszcze zamiarami. Pojechaliśmy poże-

gnać matkę na długo, długośmy plakali, matka pobłogosławiła. Wróciwszy do domu, poszedłem jeszcze zapłakać do mojej skały. Nazajutrz wyjechaliśmy do Krakowa, a nadmiar nieszczęścia nie wstąpiliśmy do Winnicy!

Tak przeminął rok najczystszych marzeń moich i najweselszych nadziei.

ROZDZIAŁ IV.

Akademia w Krakowie.

Jechaliśmy do Krakowa. Nagle powóz skręcił, góra się umknęła, i ukazał się nam w rozkosznej dolinie czarowny Kraków. Czterdzieści wież strzeliło do góry, pokazując ludziom, gdzie szczęście, gdzie opieka dla nieszczęśliwych; pomiędzy wieże wokół świątyń Pańskich skupiło się starożytne miasto.

Wjechaliśmy do Krakowa razem z ciemną nocą, widzieć tylko ciemne mury, jakby stojące cienie poważnych gmachów; na rynku Sukiennice wydają się nam, jakby ogromna góra jaka, a wieża Panny Maryi, co puściła swą głowę w obłoki, jakby olbrzym, dźwigający sklepienie nieba.

Nazajutrz radziłyśmy biegać po całym Krakowie i poza Kraków, ale tylko myślą lataliśmy z wieży na wieżę, bo deszcz padał; a choć się wypogodziło, to ojciec zostawił w domu, kazał się do popisów gotować, mówiąc, że będziemy mieli czas napatrzeć się na Kraków.

Wkrótce już miały się rozpocząć nauki akademickie; ojciec zaprowadził mnie do Gertlera, zwierchnika akademii. Gertler przyjął nas grzecznie, mówiąc memu ojcu, że zna od dawna jego nazwisko; a jak przeczytał moje świadectwo z gimnazjum winnickiego, powińszował i dał zaraz rozkaz wpisania mnie na listę uczniów akademii, do-

dając, iż złożyłem na jego ręce świadectwo *plus quam maturitatis*. To znaczyło, że uczyłem się więcej, jak jest w przepisach, aby być przyjętym na ucznia; ale ja sobie wytłómaczyłem to wcale inaczej, a bezpieczny, że już popisów nie będzie, wyszedłszy od pana Gertlera, dopieroż się przechwalać i wymawiać ojcu, że niewiedzieć po co przywiózł mnie do akademii, kiedy sam zwierchnik napisał *plus quam maturitatis*. Ojciec odpowiedział mi: «Jak zobaczysz, że więcej umiesz od nauczycieli, to będziesz ich uczył, oni ci podziękują, a jak ich wyuczysz, to wrócisz do domu».

Za kilka dni ojciec oddał nas w opiekę Sołtykowieczowi, a sam do Wiednia pojechał, skąd zabrawszy Edwarda i wracając do domu, wstąpił do nas na parę tygodni. Przez ten czas Edward rozpowiadał nam o Wiedniu i o tem, czego się tam uczył; a my jemu o Krakowie i o tem, czego się tu uczymy; on nam rozpowiadał, jak Niemców kiereshował na cześć Sobieskiego, a ja mu rozpowiadałem, jak starego wilka zabiłem; ja mu w nagrodę jego waleczności przekazałem moją dwururkę z bagnetem, a on w nagrodę mego rycerskiego czynu zostawił mi swoją wiatrówkę w lasce, za pomocą której przez szybę rozbitą w oknie od schodów strącałem z gzymsów przeciwległej kamienicy, pod nogi albo na głowę przechodniom wróble i wrony; kto dostał w łeb wróblem albo wroną, ogląda się na wszystkie strony, a ja już przy stoliku poważnie siedzę z książką albo z piórem w ręku.

Ciężki był smutek przy rozstaniu się na czas niewiedzieć jak długi z ojcem i bratem, ciężka była i myśl, że do cioci tak daleko, że ani oko nie dojrzy, ani ucho nie dosłysz — może westchnienie doleci — aleby jeszcze mi było ciężiej na sercu, gdyby mnie nie zajmowała praca naukowa, nie rozrywała nowość przedmiotów, gdyby nade wszystko nie osładzała tej tęsknoty ojcowska czułość i opieka, przyjacielska poufalość, kształcące rozum i serce obcowanie, naszego mistrza Sołtykowiecza.

Soltykowiec naówczas lat sześćdziesiąt liczący, był pełen powagi i wdzięku pięknej starości; kochany i szanowany przez cały Kraków, był wyrocznią w tem wszystkim, co powiedział; mianowicie powaga jego była wielka na zgromadzeniach uczonych w murach uniwersytetu Jagiellońskiego, którego był naprzód uczniem, a mając lat dwadzieścia był już w nim nauczycielem. Doktor wszystkich wydziałów akademickich, pisarz wyborny, mowca najlepszy, Soltykowiec ukończywszy zawód nauczycielski z chwałą, nie przestawał oddawać się pracom dziejopisar-skim i literackim. Czekwały go później obowiązki posła na sejm Rzeczypospolitej krakowskiej, które sprawował z taką prawością, z takim dla Rzeczypospolitej pożytkiem, że miasto udarowało go pierścieniem, który mu z pismem dziękczynienia złożyło przez cenniejszych obywateli swoich. Soltykowiec polityczne swe prace zakończył wraz z życiem na urzędzie senatora Rzeczypospolitej krakowskiej.

Kiedy za czasów Księstwa warszawskiego panujący wówczas na tronie polskim król saski, nawiedził Kraków, akademia przyjmując go uroczyście, Soltykowicza obrała mowcą swoim. Soltykowiec miał rzecz do króla o stanie akademii krakowskiej, skreślił jej dzieje, przypomniał przywileje, wskazał jej obecne niepowodzenie i potrzeby, a to w sposób tak zajmujący, że dostojne zgromadzenie blisko dwugodzinnej mowy słuchało z największą uwagą i rozczeniem. Król przyrzekł uroczyście opiekę szczególniejszą akademii krakowskiej, obiecał pójść za światłą i gorliwą radą Soltykowicza. Czas nie pozwolił królowi wykonać obietnicy, a Soltykowiec uzupełnił swoją pracę, tworząc dzieło: *O stanie Akademii Krakowskiej*, pełne szacownych poszukiwań i zamożne w bogactwa ojczystego języka. Dzieło to jest jednym z najpiękniejszych pomników literatury i dziejów polskich.

Soltykowiec napisał jeszcze ważne dzieło: *O przyczynach nędzy i upadku naszych włościan i o środkach im zaradzenia*; później inne: *O wpływie umiejętności i nauk na towa-*

rzystwo ludzkie; dzieło to pełne ścisłości myśli, głębokich pojęć, trafnych spostrzeżeń, jest bardzo zajmującą filozofią rozumu ludzkiego. Nadto pisał wiele rzeczy wiążaną i niewiążaną mową, ale za życia nie wydał. Przy nas czytywał rozmaite rozprawy na posiedzeniach Towarzystwa Naukowego. Gdy miał co czytać, wybierano wtedy największą izbę, a ta zaraz napelniała się pilnym słuchaczem; gdy zaczynał czytać, nastawało w zgromadzeniu ciekawe milczenie; już miał głos cichy, ale tak wyraźny, że we wszystkich uszach tak się odbijał, jakby cały i nierozdzielny do każdego ucha doleciał; a dźwięk tego głosu tak śpiewny, że prosto leciał do serca, a wyraz każdy tak jasny, że prosto leciał do rozumu.

Taki był nasz mistrz w Krakowie, a jeśli teraz nie znać po mnie, że miałem zawsze dobrą naukę i dobry przykład, to moja tylko w tem wina.

Mieszkaliśmy na rynku, w domu narożnym, przy ulicy św. Jana. Spojrzawszy z okien na prawo, widać było okazałą świątynię Panny Maryi; wyniosłe jej wieże zdają się błogosławić miastu, modlić się za miasto, czuwać nad miastem. Kraków w dawnych wiekach często gorzał, a kościół Panny Maryi chociaż jeszcze w początkach XIII w. przez biskupa Iwona Odrowąża założony, nietknięty od ognia pozostał. W XV wieku znalazł się jakiś pocziwy człowiek, co do kościoła tego przywiązał dochód na utrzymanie po wieczne czasy stróża, któryby mieszkając na wieży a dzień i noc czuwając, ostrzegał miasto o wszelkim pożarze. Mówią, że ta sama rodzina stróżów od praojców do prawnuków do dziś dnia, na znak, że nie śpi, wybiją godziny i otrąbia je na cztery wiatry, a gdy się ogień pokaże, bije w dzwon trwogi, woła straszną trąbą i czerwoną chorągwią wskazuje, gdzie ogień.

W kościele Panny Maryi co niedziela słuchaliśmy mszy, kazania i wspaniałych dud; oglądaliśmy liczne pomniki przodków naszych, a zawsze znajdowaliśmy nową

piękność sztuki, nowy skarb pamiątek narodowych. Niedaleko kościoła Panny Maryi stoi dotąd starożytna kamienica Wierzyńska.

Akademia krakowska założona przez Kazimierza Wielkiego na Kazimierz, przeniesiona przez Władysława Jagiełłę na ulicę św. Anny, dotąd posiada też same gmachy, zajmujące prawie całą jedną stronę tej ulicy. W tych gmachach mieszczą się zakłady naukowe, księgozbiór i wszystkie wydziały, oprócz wydziału prawa, będącego od dawnych czasów na ulicy Grodzkiej, naprzeciw kościoła św. Piotra. Pomiędzy wspaniałymi izbami gmachów akademickich najdawniejszą jest Jagiellońska, świeżo odnowiona i ozdobiona pięknymi kilkunastu obrazami na murze malowanymi przez Stachowicza, a wyobrażającymi świetne chwile akademii krakowskiej; ta izba przeznaczona jest na posiedzenia akademickie i Towarzystwa Naukowego. Najobszerniejsza zaś izba jest w gmachu przeciwnym kościołowi św. Anny i służy do popisów uczniów, do nadzwyczajnych posiedzeń naukowych i do obrad sejmku rzeczypospolitej krakowskiej.

Większa część gmachów znacznie później po założeniu akademii przybyła; jakoto *Bursy*, których teraz jest tylko dwie, a było kiedyś w Krakowie dziewięć. Najważniejszą z nich i dziś istniejącą pod nazwiskiem Jeruzalem, założył i obdarzył Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski. Wielu biskupów krakowskich było dobroczyńcami uczącej się młodzi i dotąd są ślady ich przychylności dla nauk, hojności i zamożności.

Akademia krakowska przez swoje przywileje miała swoją udzielność i niepospolitą powagę w narodzie, któremu przychodziła często w pomoc radą i wsparciem. Królowie chcąc uczcić jej dostojność, nadawali jej nowe przywileje za każdą doznaną od niej posługą i udarowywali ją darem najzacniejszym, ofiarując jej berła swoje; tym sposobem akademia krakowska posiada trzy berła, nie po-

mnę w tej chwili jakich królów. Berła te w czasie uroczystości noszone bywają przed orszakiem akademickim, a uczniowie w czasie doktoryzowania się wykonywają przysięgę na dwóch berłach w krzyż trzymany. Byli warci takiego dostojenstwa akademicy krakowscy, co swoją naukę i swoje mienie zwykle dobru powszechnemu poświęcali. Ich staraniem powstał piękny księgozbiór krakowski, bogaty w wiele rękopismów i dawnych ksiąg, wzbogacany przez nauczycieli, liczy blisko 50.000 ksiąg, między którymi około 3000 rękopismów. Na dowód jak się nie należy zrażać pozornym brakiem zasobów w zacnych przedsięwzięciach, przytoczę, że gmach księgozbioru założony został około 1500 roku, przez jednego z akademików, Obiedzińskiego, który dał na ten cel, złotych sześćdziesiąt, i nie czekając co dalej będzie, zaczął budowę gmachu, a wkrótce gmach ten składką innych nauczycieli, dźwignął się i stanął.

Równie dziełem hojności akademików a świadectwem ich smaku, jest kościół akademicki św. Anny. Kościół ten o dwóch wieżach i pięknej kopule, bogaty w piękne marmury krajowe i piękne malowania, jest jedną z celniejszych ozdób. Nie pamiętam nigdzie kościoła tak uwesеляjącego w modlitwie; modląc się w tym kościele, zdaje się, że Pan Bóg pewnie wysłucha; cały kościół pełny ozdobnych bogactw, napelniony jest szczególniejszą jasnością rozweselającą stroskaną duszę, oświecającą zwątpiałe sumienie. Jest tam wspaniała kaplica św. Jana Kantego, nauczyciela akademii krakowskiej, zmarłego przy końcu XV wieku. Na wspaniałym ołtarzu tej kaplicy, cztery marmurowe osoby w togach akademickich dźwigają trumnę marmurową, w której jest ciało świętego: cztery jednostajne, kilkanaście łokci wysokie, w ślimak utoczone marmurowe białe słupy, strzegą świętego grobu. Naprzeciw tej pięknej kaplicy jest pomnik Kopernikowi, jako uczniowi akademii krakowskiej, wystawiony przy mnie, w 1823 roku, kosztem księdza kanonika Sierakowskiego.

W kościele tym widać mnóstwo nagrobków akademików: a teraz jeszcze, kiedy już nie wolno składać umarłych po grobach kościelnych, nauczyciele akademii krakowskiej zachowali swój dawny przywilej i zwyczaj, i ciała ich w grobach kościoła św. Anny dotąd z wielkim obrzędem składają.

Zakłady akademickie, chociaż nie bardzo bogate, są jednak dostateczne do nauki i dosyć porządne. Gwiazdarnia w pięknym ogrodzie akademickim stojąca, służyła niegdyś Janowi Śniadeckiemu.

Nauczyciele za moich czasów, byli to ludzie poczeiwi i dosyć zdadni, ale bardzo sławnych uczonych pomiędzy nimi nie było; to też nauki szły dosyć porządnie, ale bystrogo polotu nie miały. Musiało to być lepiej za czasów Zygmuntońskich, kiedy trzech opiekunów niedźwiedziów nie podsłuchiwało nauczycieli i uczniów. Ale cóż robić, trzeba się było uczyć jak można, a i tak było dosyć do uczenia się, i nie długo mi było potrzeba, abym pomiarował, że ja co myślałem i mówiłem, że wszystko umiem, nic nie umiem, i że bardzo jest trudno umieć wiele i umieć dobrze. Zrazu uprzedzony o sobie chciałem w jednym roku tyle słuchać przedmiotów ile było w dniu godzin, ale Jegomość, bo tak chciał Soltykiewicz, żeby go nazywać, Jegomość nie pozwolił.

Jegomość trzymał swych uczniów bardzo łagodnie, ale niezmiernie krótko. Nigdzie samym wychodzić nie pozwalał, a kiedy kto szedł do akademii, to nie sam, ale ze sługą Piotrem, który też nim godzina wybila, już stał u drzwi, i nie pozwalając rozprawiać bardzo ze współuczniwami, nazad pędził do domu. Nudziło to mnie z początku, ale nie było na to sposobu, bo to był zwyczaj dawny, a nawet się z tego nie śmiano, bo znano Soltykowicza; rozповідаłem Jegomości jak to ja będąc jeszcze w szkołach w Winnicy, hulałem konno po mieście i po sąsiedztwie, jak to jeździłem sam do Odessy, jak starego wilka zabiłem, ale nic nie pomagało, więc trzeba było

oswoić się z panem Piotrem jak z cieniem swoim; aż na koniec w kilka miesięcy spokojnością moją tyle zaufania wzbudziłem w Jegomości, że pan Piotr zniknął, a ja tak już mało na niego uważałem i tak się wprawiłem do pilności, że się nawet nie spostrzegł, kiedy ta łaska nastąpiła. Mogę to sobie przyznać, że byłem dość pilnym uczniem, a to i z przekonania i dlatego, że współuczniowie moi prześladowali mnie owym świadectwem *plus quam maturitatis*, a ja czułem, że oni więcej odemnie umieją; więc brałem się na pazury, a jak przyszło do pisania rozprawek filozoficznych na ochotnika, to mało kto połowę ich napisał, a ja żadnej prawie nie opuściłem; a czasem tak mi się udawały, że nauczyciel odczytywał je w szkole, a współuczniowie szeptali między sobą: musi mu Soltykiewicz pisać; to podejrzenie bardzo mi pochlebiali i coraz więcej pisałem; a jak i co, to już teraz ani pamiętam, ale musiały tam być wielkie głupstwa, kiedy i później daleko, nie mało ich napisać zdarzyło się.

Pomiędzy ówczesnymi nauczycielami był przedziwny Józef Markowski; liczył już lat blisko 80. Wysłany przez akademię krakowską do Paryża dla udoskonalenia się w chemii, a zaskoczony przez rewolucję, został tam doktorem sztuki lekarskiej, wykladał rozliczne nauki, był potem lekarzem przybocznym cesarzowej Józefiny, wszedł w zachowanie w całym Paryżu, miał mnóstwo pieniędzy, ocierał się o wszystkie wielkie osoby owego czasu, był świadkiem najważniejszych we Francji wypadków, i tam pozostał aż do powrotu Burbonów; potem akademia krakowska naparła się, żeby wrócił i kazała mu uczyć chemii i mineralogii. Nic zabawniejszego jak sposób w jaki wykladał swoją naukę, bo to co mówił, w jednymże czasie rysował i ruchem ciała oddawał; a każdą naukę zaprawiał zastosowaniem mianowicie lekarskiem, przytaczając cudowne swoje leczenia w Paryżu, i rozweselał opowiadaniem rozmaitych wypadków, zawsze stosując do przedmiotu, i zawsze zaczynając od słów: jakem był le-

karzem cesarzowej Józefiny. — Gdy mowa o truciznie, to opowiadał jak tam ludzi, którzy się otruli wyratował; gdy mowa o działaczach jakich chemicznych, to zaraz opowiadał jak w rewolucyi więźniom ułatwiał stosunki sztucznymi atramentami, które wówczas były wielką ciekawością, jak straż usypiał, więźniów uprowadzał, jak prawdę wybadywał i t. p., a każde opowiadanie jego było tak pocziwe i zajmujące, że zawsze najwięcej miał uczniów; a lubił ich wszystkich, leczyl darmo, i oni też go lubili i szanowali bardzo. Znowu ucząc naprzykład jak robić wodę selcerską, opowiadał, jak tam wyleczył nią doskonale znacznego jakiegoś suchotnika lub suchotnicę; a gdy mówił o świetle, to zaraz opowiadał, jak promieniami słońca leczyl najupartsze bole w kościach; a gdy mówił o wodzie, to zaraz opowiadał, jak tam jakiegoś marszałka lub księżnę, wyleczył zimną wodą od zgnilej gorączki; a jak przyszło o ciepło, to zaraz mówił jak to tam trefnisie paryscy, albo uczniowie, co tylko nocują w domu, a cały dzień w szkole albo na gawronieniu się, to mówi — «wstaje rano, brru zimno — trzęsie się Francuz — więc ręce zaciera — a ma piecyk blaszany — więc włoży w ten piecyk arkusz papieru — zapali go — zaraz mu ciepło w całym pokoju; nim się papier spali, panicz ubrał się i wyleciał na miasto, już nie powraca aż na noc: wtedy pól arkusza papieru spali i ciepło mu się rozebrać». — Żałuję, że nie zapytał, gdzie to w Paryżu skład takich piecyków, bo teraz bardzoby się przydały. Markowski mieszkał w Paryżu za gorących czasów, to mógł się ogrzać arkuszem papieru; ale ten sposób ogrzewania musiał tak zagnąć, jak klucz od hieroglifów, bo teraz w Paryżu niema innego sposobu na zimno, jak palić drzewem, i to dużo palić.

Pocziwy Markowski bardzo mię lubił, a na znak laski, na popisach zadawał mi najtrudniejsze pytania. Raz mię bardzo rozczulil; kiedy bowiem po kilkunastu dniach choroby wchodziłem na naukę, szanowny starzec przer-

wał ją i wyszedł naprzeciw, aby mnie uściskać i zdrowia powinszować.

W Krakowie słuchałem wiele nauk, ale najkorzystniejszą było obcowanie z Sołtykowiczem, który nie opuścił żadnej zręczności, aby nas czego nauczyć, aby nam co pokazać. Jak tylko był czas wolny, oprowadzał nas po mieście, zapuszczał się z nami poza mury jego; tym sposobem poznaliśmy doskonale miły a serdeczny Kraków i wesołe jego okolice.

Trzeciego dnia Świąt Wielkanocnych szliśmy na Rękawkę, to jest na obchód, który się w ten dzień corocznie odbywa przy mogile Krakusa, któremu rycerskie dłonie usypały tę pamiątkę. W małej kaplicy odprawia się nabożeństwo, a lud tłumnie zebrany z całego Krakowa i okolic, święci pamięć bohatera.

Kraków słynął pobożnością i królów i mieszkańców. Świadkiem tej pobożności jest szczególna pocziwość, spokojność umysłu, ufność w Bogu, a stąd pochodząca pracowitość, szczerota i wesołość ludu krakowskiego; świadkiem tej pobożności są liczne ozdobne i dobrze uposażone kościoły i klasztory, tak w całym Krakowskim, jak szczególnie w samym Krakowie, który w czasach swojego kwitnienia miał przeszło siedmdziesiąt kościołów. Z upadkiem Krakowa wiele też świątyń Pańskich upadło. Niewdzięczni Austriacy, pastwili się nad wszystkimi pamiątkami narodowymi w tej stolicy, z której król i wojsko polskie, wyszli byli ich stolicę od wiecznego upadku ochronić. Za moich czasów Kraków nie liczył już więcej jak czterdzieści kościołów. Zawsze jednak troskliwość o wspaniałe nabożeństwo jest bardzo przykładna w Krakowie. Nigdzie nie widziałem tak uroczystych jak tam obchodów Bożego Ciała.

Dzwon Zygmunów woła na obie strony Wisły, i z obu stron Wisły lud okoliczny spieszy na Wawel oddawać

część Ciału Bożemu. Z kaplicy zamkowej z uroczystą powagą idzie obchód na rynek krakowski. Wszystkimi ulicami zbiega się lud pobożny powiększać orszak świąteczny. Muzyka wojskowa i całe wojsko otwiera ten obchód; za wojskiem długi szereg zakonników, dalej dziewice w bieli, niosą i otaczają obraz Najświętszej Panny; wkoło obrazu powiewają liczne chorągwie; cechy miejskie starożytnym porządkiem niosąc przed sobą swe znaki, idą po bokach Świętego Ciała, z którym biskup otoczony wszelką okazałością duchowną, zwolna postępuje, a za nim w największym zebraniu ducha, mnogie tysiące ludu w świątecznych strojach; a wszyscy z głową odkrytą, z kornem czołem, z modlitwą w sercu, z pieniem na ustach. Cały ten tłum uroczysty posuwa się zwolna i płynie spokojnie, bo jego myśl w niebie, płynie, jak gdyby płynął do nieba. A jak wracając na zamek, biskup na wsze strony błogosławi Ciałem Bożem z góry Wawelu, lud co całą górę objął swem mnóstwem, w głębokim uciszeniu pada na kolana.

Z wielkim także nabożeństwem obchodzą groby Pana Jezusa w kościołach krakowskich, i nigdzie tak strojne nie są; gdziekolwiek bywają w podziemnych kościołach, a wszędzie w osobnych kaplicach. W dniu męki i śmierci Paskiej, w Paryżu bawią się najhuczniejszą, przez trzy dni trwającą przejażdżką; w Krakowie przez trzy dni lud krakowski odbywa pobożną pielgrzymkę po wszystkich kościołach. Na wstępie do każdego kościoła, składa ofiarę dla ubogich, bo sam ubogi; składa jałmużnę, bo sam po jałmużnę przychodzi. I my też obchodząc groby, oglądaliśmy kościoły. Każdy z tych kościołów słynie albo okazałością, albo pobożnością zakonników, albo znakomitym wypadkiem w dziejach naszych, albo dawnością samą.

W pielgrzymce po grobach Pańskich nikt nie omija skromnego kościoła św. Wojciecha, stojącego na rynku. Kościółek ten mianu jest za najdawniejszy w Krakowie. Na miejscu gdzie stoi, św. Wojciech biskup pragski, nau-

czał lud polski wkrótce po zaprowadzeniu do nas wiary Chrystusa; było to przy końcu X wieku; a kościółek ten zaraz potem wystawiony został na cześć św. Męczennika.

Od kościółka św. Wojciecha, szło się zwykle do Franciszkanów; złożone tam zwłoki św. Salomei królowny polskiej zwiększają jeszcze uszanowanie, z jakim się wchodzi do tej świątyni, w której piękne malowidła i rzeźby, wielkie kaplice i krużganki napelnione starożytnymi pomnikami. Ukłakłem tam przy grobie Pańskim; cichość zupełna wyteżyła zmysły moje, nastroiła duszę, aż tu przez kraty chóru przebił się dźwięk arfy Dawidowej, a za nim płynął śpiew jakby anielski, a w tym śpiewie było tyle świętości, i tak się bałem, żeby go nie spłoszyć ziemskim spojrzeniem, że oczów podnieść nie śmiałem.

Piękny i wspaniały jest kościół św. Piotra i Pawła. Przed kościołem posągi apostołów, stróże kościoła. W kościele zadziwia śmiała kopuła, uderza kształt zupełnie różny od innych kościołów krakowskich, które są wszystkie prawie gotyckie, zajmują piękne malowania; ale najrzewniejszym uczuciem napelnia widok skromnego grobowca księdza Piotra Skargi. Jest tam jeszcze ta sama kazalnica, z której ten nasz apostoł nauczał słowa Bożego. I kazalnica spruchnieje i kościół ten w proch się obróci, ale ta groźba co się stała słowem prorockim, ta groźba, którą Skarga upominał wielce ku zepsuciu chylących się panów i szlachtę polską, ta serdeczna prośba jego, aby się obaczyli a złego poprzestali, będą brzmieć wiecznie w tęsknej pamięci, w zbolałem sercu polkiem.

Chodziliśmy czasem do XX. Dominikanów na kazania sławnego z cnót i wymowy księdza Leszczyńskiego. W kościele tym piękna kaplica św. Jacka; ciało tego św. Polaka, złożone jest w trumnie marmurowej na wspaniałym oltarzu; życie tego świętego jest wyobrażone w pięknej rzeźbie drewnianej, zdobiącej chór przed wielkim oltarzem. Do tej kaplicy wyniesionej o jedno piętro, prowadzą wspaniałe schody marmurowe, a całe jej wnętrze widać

z kościoła. Z jakim to rozrzewnieniem, z jaką prośbą w oku i w duszy, musiał patrzeć w tę kaplicę lud krakowski i polskie rycerstwo, kiedy Jan III na kolanach przed Panem, w którego rękę wszelkie zwycięstwo i wielkość wszelka, przyjmował błogosławieństwo kapłanów Jego, gdy się wyprawiał pod Wiedeń na Turka, co był zagroził całemu chrześcijaństwu. Wiedzieli przodkowie nasi, że kto się szczerze pomodli Panu Bogu, a prosi Go nie dla dumy własnej, ale dla chwały Jego, temu Bóg da zwycięstwo. Jan III musiał się dobrze modlić, bo bił dobrze, i nim Wiedeńczyk ochłonął ze strachu Turka, a Turek nim się obejrzał w popłochu swoim, Jan III rozgromiłszy jednych, uwolniwszy drugich, już Sławkowską bramą wjeżdżał do stolicy składać u stóp ołtarza zwycięskie lupy.

W tymże kościele pomiędzy wielu innemi, jest obok wielkiego ołtarza drewniany nagrobek Leszka Czarnego, a w środku chóru leżą w marmurowej trumnie zwłoki Iwona Odrowąża, biskupa, założyciela tego kościoła i wielu innych.

Bardzo byłem ciekawy zobaczyć kościół zwany Skalką; a że Soltykiewicz zawsze wybierał nam porę najświetniejszą do poznawania pamiątek Krakowa i jego okolic, więc do Skalki poszliśmy dopiero w święto Stanisława Szczepanowskiego, kiedy był wielki odpust. Idąc do zamku, z daleka ujrzelśmy Skalkę stojącą na skalistym wzgórzu, nad samym brzegiem Wisły, a znacznie odosobnioną od mieszkań ludzkich. Samo już położenie tej świątyni nastraja myśl wyobraźnię silniejszą, a na widok ludu zmierzającego ze wszech stron, jak do źródła zbawienia, ludu spieszącego do cudownego miejsca po łaski nieprzebrane, i myśmy przysparzali kroku, bo serce spieszy zawsze do wspólnej modlitwy, a wszelki cud łączy je do siebie. Z uszanowaniem i uwielbieniem wpatrywałem się w ślady krwi św. męczennika, oglądałem rękę jego złożoną w skarbcu kościelnym, i gorąco pomodliłem się do św. patrona. Pełno

pobożnego ludu, jedni się cisną do pełnego kościoła uczcić świętą krew, drudzy cisną się wokół sadzawki, ażeby przemyć oczy świętą wodą, do której wrzucone było poświęciowane ciało biskupa, zamordowanego bezbożną ręką.

Skalka i zamek krakowski, jak gdyby oko w oko patrzą na siebie. Widok Skalki był dla królów polskich niby ustawicznym rozgłosem głosu upominającego; Polska kwitnęła dopóki królowie polscy na Skalkę patrzali; Polska istniała dopóki królowie polscy przygotowywali się do koronacyi uroczystą spowiedzią na Skalce, dopóki dniem przed koronacją, w uroczystym pochodzie odwiedzali Skalkę i dla uproszenia błogosławieństwa Boskiego, ukłękali z pokorą na stopniach znieważonych morderezą ręką królewską, a uświęconych krwią męczennika. Ostatni król polski nie modlił się na Skalce, to też był ostatni.

Ileż to razy przechadzając się po pustkach zamku, tak sobie dumalem; a jak zmęczyłem się smutnym obrazem jego, obiegałem go wkoło, szukając pocieszających wspomnień; ale jaskinia smocza zaniedbana — baszty krużyć się zaczynają, mury się porysowały — a wewnątrz zamku marmury i rzeźby, malowidła i złoto i wszystkie ozdoby, których niewdzięczny Niemiec obdrzeć nie mógł — porąbał, pokruszył, wapnem zarzucił; a jakby gmachowi temu, któremu wszystko ukradł, i światła zazdrościł; jak gdyby taką niegdyś świetnością jaśniejące komnaty do ciemnicy chciał zamknąć, zamurował wspaniałe okna, i tyle z nich tylko zostawił, ile potrzeba niedoperzowi, aby co wieczór wyleciał z zamku, i wkoło niego brudnem skrzydłem wypisał straszliwe słowo: *pustka...*

Żeby opisać wszystko, co widziałem na zamku i w Krakowie, i w okolicach jego, trzeba by spisać ogromną księgę, i jeszcze by nie było wszystko, a dokładnie byłoby nie mogło, bo już piętnaście lat mija, jak na to patrzałem; to co dusza widziała, wraża się w nią coraz głębiej, ale to co oczy widziały, zaciera się powoli.

Na zakończenie wspomnień moich o kaplicy zamko-

wej, dodam to jeszcze, co Soltykowiec powtarzał nam, ile razy wydarzyło się przechodzić koło pomnika Władysława Łokietka. Kiedy Karol Gustaw w czasie napadu na Polskę opanował Kraków (1655 r.), roztasował się w zamku, jak gdyby w swoim, i zwiedzał kaplicę z zuchwalstwem szczęśliwego najeźdźcy, bo nawet wchodząc do świątyni, nie raczył się Bogu pokłonić. Sławny nasz ksiądz Szymon Starowolski wskazując dumnemu Szwedowi pomnik Władysława Łokietka, powiedział: «Ten król po trzykroć z państwa wygnany, trzy razy na tron powrócił». A Karol zawołał: «Ale wasz Jan Kazimierz raz wygnany, już nigdy nie wróci». «Któż wie!» wyrzekł uroczyście sędziwy starzec, «Bóg jest wszechmocny, a los niestały!» Na te słowa Gustaw zdjął czapkę i pokorniejszy wyniósł się z kaplicy, a wkrótce i z Polski.

Po niejakiem czasie naszego pobytu w Krakowie Soltykowiec zaprowadził nas do biskupa Woronicza; godny to był następca tylu wielkich biskupów, książąt siewierskich. Świątobliwy kapłan, wymowny kaznodzieja, wyborny pisarz, a przy tem wszystkiem wspomożyciel i mistrz młodzieży polskiej, bo sam Polak doskonały. Przyjął nas bardzo uprzejmie, zapraszał do siebie, sam oprowadzał po pięknym gmachu biskupim, któremu wiele przydał narodowej wartości, odnawiając główne komnaty i ozdabiając ich ściany pięknem malowidłem celniejszych wypadków z dziejów Polski. Widzieliśmy tam także zlocistą kolase, używaną przez dawnych biskupów do wjazdów okazałych; ale nie były to już czasy żadnych okazałości polskich, i biskup krakowski, już ani książę, ani pan milionowych dochodów, nie okazałością, ale tylko samemi cnotami mógł błyszczeć. Stokroć to trwalszy blask od złota.

Woronicza mówiącego pierwszy raz słyszałem na ślubie Ludwika Sobańskiego z panną Różą Łubieńską, osobą zacną i cnotliwą. Ślub odbywał się bardzo wspaniale w kościele Panny Maryi, a że pan młody był bardzo bogaty

i szumiał po Krakowie, a pannę młodą znał każdy i bogaty i ubogi, więc pełny był kościół słuchaczów. «Żona dobra», powiedział Woronicz, «jest to skarb, jest to zadatek szczęścia niebieskiego; komu go Pan Bóg daje, tego śnać pokochał, i ten albo już się zasłużył Bogu, albo wielki do wypłacenia przyszlęmi zasługami dług zaciąga».

Ludwik Sobański był to najbliższy nas sąsiad, codzień prawie do Hubnika przyjeżdżał, a zatem zjawienie się jego było dla nas przykutych do książki wielką rozrywką. On gotując się do ślubu polskim obyczajem, miał do przejeżdżania powozy i cugi, więc nas obwoził po okolicach Krakowa; a że miał zawsze upodobania wojskowe, więc jeździł zawsze z bronią, z której my strzelaliśmy: i on lubił strzelać, ale oka zamrużyć nie umiał; więc albo musiał sobie drugie oko zawiązywać, albo czapką zasuwąć, albo ręką przytrzymywać, ale ciekawe oko wyjrzało zawsze nim strzelił, i nie zdarzyło mu się nigdy trafić z krucicy o dziesięć kroków we drzwi, ani też ze strzelby co kiedykolwiek zabić, a myśliwstwo wielkie trzymał i polowania bardzo lubił. Lubił wiele mówić i miał co powiedzieć, ale jękał się tak nieznośnie, że czasem na jednej zgłosce, jak na sęku przez parę minut się zaciął i wokół stołu tańczył na jednej nodze, nim ten sęk przelamał. Był bardzo żywy i popędliwy, ale to jękanie się nauczyło go trochę cierpliwości; był biegły we wszelkiej nauce wojskowej, chciał być żołnierzem, ale mu owo jękanie się stało na zawadzie. Był człowiekiem światłym i czytającym; był to człowiek powszechnie lubiony, wesół, gościnny, jednym słowem tęgi. To też za swoją tęgość wycierpiał się cztery lata jako więzień stanu w roku 1826. Odzyskał wolność, ale stracił zdrowie. Był to świadek naszej młodości, towarzysz naszych zabaw, dobry sąsiad, — i nasz przyjaciel; dlatego we wspomnieniach moich, myśl i pióro za nim wybiegły.

Zwiedzając po kolei powabne pięknosciami okolice Krakowa, czekaliśmy sposobności korzystnego obejrzenia tyle

ślawionej Wieliczki. Ujrzelismy ją nakoniec w całej świetności, w dzień, kiedy ją odwiedzał przyszły a nieprawy jej pan, następca tronu austriackiego. Przyznam się, że widokiem Wieliczki zachwycony nie byłem, bo młoda myśl moja wyobrażała w niej sobie ściany i sklepienia brylantowej jasności, odbijające sto razy wpuszczone między nie światło; jezioro tam znajdujące się wyobrażałem sobie, że ożywia nieporównanym wdziękiem tę podziemną krainę; tymczasem znalazłem ściany ciemne, ulice i pieczary ciemne, a rześiste światło, pochłonięte niejako tą wieczną ciemnością, nie zaweseliło jej bynajmniej. Piękniej się wydaje w nocy ulica najnudniejszego miasteczka, jak cała ta najświetniejsza kopalnia na świecie; a owo sławne jezioro ani je widać, tak ciemno wszędzie; sztuczne ognie spalone nad tem jeziorem, pokazały je dopiero, pokazały ogromną pieczarę, nie powabną, ale straszną, zadziwiającą, ale nie zachwycającą. Idąc do jeziora doleciał nas dźwięk muzyki, ale to nie była muzyka tych pieczar; weszliśmy do izby wysłanej tarciami, urządzonej do tańca: Niemki i Niemcy poprzebierani po krakowsku, swoją niezgrabnością zdawali się przedrzeźniać wesoly i zwinny taniec krakowski; ale przynajmniej tym strojem Niemcy przypomniałi sobie, że to sól krakowska, że jedzą chleb polski.

Największe wrażenie czyni tam kaplica z pięknymi posagami i ze wszelkim sprzętem w soli wykuta, lecz nie dlatego czyni wrażenie, że z soli, ale dlatego, że to ołtarz cześć Boskiej i prośby ludzkiej, na którym pocziwy rzemieślnik składa dzięki za dar pracy, a prosi o bezpieczeństwo i zachowanie wśród tej strasznej i nieludzkiej krainy.

W Wieliczce wszystko jest osobliwością, ale nie wdziękiem, i najpoważniejsza chwila pobytu w niej jest wtedy, kiedy się z niej wychodzi, bo wtedy człowiek uczuje, że najpiękniejszą świata ozdobą jest światło dzienne, najrzeźwiejszym trunkiem życia świeże powietrze. Często przychodziła mi ochota raz jeszcze spojrzeć z wieży Panny Maryi na Kraków i na żyzne niwy, z Bielan na Tyniec

i na Karpaty, z zamku Ojcowa spuszczać się okiem w przepaście i piąć się po skalach; ale mi nigdy nie przyszła ochota, jak wiadro do studni spuszczać się drugi raz w kopalnię Wieliczki, wlać bez potrzeby o tysiąc stóp pod ziemię, i przez sześćdziesiąt dwie mile tłuc się po ciemnej otchłani, w którejby i myszy błądziły, w której żadne stworzenie żyć nie chce.

Na odpoczynek po szkolnych pracach jeździliśmy na wieś do Charzewic, majątności Soltykowicza w okolicach Wiślicy, sławnej statuem Kazimierza Wielkiego. Wiślica leży nad Nidą; z jednej strony ciągną się piękne lesiste wzgórza, z których wzrok przerzucając się na drugą stronę rzeki, widzi miasto kiedyś obrotne, widzi wsie niepolite, rozrzucone po żyznej równinie, co zda się ciągnąć bez końca. Piękny to widok.

Po odpoczynku wracaliśmy znowu do Krakowa i do nauki, przy której też bywały i rozrywki każdej porze roku właściwe. Zimą bywało się na widowiskach dość nudnych, ale swoich; bywało się trochę i na świecie gdzie też tańce bywały, i wesole a krasne Krakowianki wabiły oko, ale serca nie zwabiły, bo rozdwojone serce było het daleko — a oczy szukały tylko, czy niema której podobnej do Ksawerci, albo do Fruzi.

Tak nam uleciało w Krakowie blisko półtrzecia roku. Już myślałem sobie, jeszcze rok tylko, i wrócę do domu na Winnicę. Dumanie o domu i o Winnicy napelniało na przemiany myśl moją, przybierając ją w tak strojną barwę, że mi się nieraz oczy zaiskrzyły na widok przyszłego szczęścia. Wtem ojciec mój postanowił odebrać nas z Krakowa. Miły nam był posłaniec, bo był to brat nasz, ale nie miło było wyjeżdżać z Krakowa nie do domu, ale do Warszawy, dla kończenia nauk w tamtejszym uniwersytecie. Smutno było rozstawać się z Krakowem, gdzie nam było tak dobrze, smutno było rozstawać się z szanownym Jegomością, co nam ojca zastępował, z kochaną Jejmością,

co nas pielegnowała tak prawie jak matka. W ciągu dwóch lat zdarzyło się, że Jegomość połajał albo czego nie pozwolił, ale przy rozłączeniu się i jemu i nam, tylko to co dobre stanęło przed oczy i zapłakaliśmy wszyscy; a poważny starzec błogosławił nas, jak dzieci swoje.

ROZDZIAŁ V.

Uniwersytet w Warszawie.

W drodze do Warszawy opowiadaliśmy bratu naszemu o sobie; on nam opowiadał o rodzinie, o domu, o sąsiadach. Na noclegu, mówiąc z kolei o tem, co zaszło w okolicy naszej, z zimną krwią powiada, że Fruzia poszła za Tyszkiewicza — a we mnie krew aż zakipiała — ochłonałem po chwili, bom sobie pomyślał: już teraz nie zakłopotuje mnie wybór pomiędzy dwoma aniołami, bo mi już tylko jeden pozostał — westchnęła dusza moja, jak gdybym zawołał: o ciociu kochana! i z ogromnem biciem serca, a głosem stłumionym pytam:

— A ciocia?

— Poszła za Chodkiewicza.

Na te słowa krew mi zastygła — serce bić przestało — w oczach ściemniało — odetchnąć nie mogłem. Edward mnie trąca i pyta, co mi jest? — ocknąłem się, powiedziałem spokojnie, że spać chcę; rzuciłem się na posłanie — noc przeplakałem. Borykałem się z myślami, jak z niedźwiedziami — aż, dzięki Bogu! przemogła myśl dobra. *Tak Pan Bóg chciał!* powiedziałem sobie, a myśl i serce stokroć powtórzyły te święte słowa, i odtąd ani mnie zazdrość palila, ani winował bądź kogo. Zgasł ogień w mem sercu, a tylko jak czyste złoto, została w niem dla obudwu aniołów moich, przyjaźń spokojna

i wieczna. Pomodliłem się szczerze i szczerze o błogosławieństwo Boskie dla nich prosiłem; drżałem o ich szczęście więcej, jak o moje własne; a kiedy kochana ciocia moja, która mi się stała najwierniejszym przyjacielem, najserdeczniejszą siostrą, kiedy w kilkanaście lat potem owdowiała, serce moje tak to czuło, jak gdyby na mnie samego spadło wdowieństwo.

Tak to w jednej godzinie osierociało dwa razy serce moje! Zniknęły lube marzenia, a pamięć ich, jak cień zadrzosił, pozostała na zawsze na straży serca mego, i jak się kto doń zbliżał, pytała: kto idzie? Nikt hasła nie znał, nikt nie wszedł — i same tylko wspomnienia przemieszkwały w sercu mojem.

W Warszawie miałem już zupełną wolę, nikt mnie nie strzegł, pokusy świata rojem uwijały się koło mnie; ale pamięć na Najświętszą Pannę i aniołów, których mi dała, niewidomą ręką odtrącała te pokusy. Były to lata najniebezpieczniejsze dla mnie, a nie było komu mnie napominać; lecz, że ja miałem kogo napominać, i bratu memu młodszemu, który pod braterskiem mojem zwierznictwem zostawał, winienem był dobry przykład, więc i to było mi pomocą do opierania się złemu. Nie ufając, abym w dobrym wytrwał przez długo, zaznaczałem sobie czas krótki, a gdy ten dochodził, już dzięki Bogu byłem silniejszy do naznaczenia dłuższego.

Wszystko, na co człowiek patrzy, i czego doświadcza, jeśli się nad tem zastanowić zechce, jest dla niego nauką, albo napomnieniem. Bóg nim zesła karę, zsyła napomnienia i w naszych i w obcych nieszczęściach, zsyła je w myślach dobrych, w snach nawet. Wiem, że się nie godzi w sny wierzyć, i wiara i rozum temu się przeciwi, ale nie wierząc w sny, można przecież z nich korzystać, obracając je ku poprawie swojej, tak jak chcemy, aby dziecko i z bajek owoc nauki zrywało. Otóż, pomiędzy nieprzeliczonymi snami, miałem kilka takich, które całe życie pamiętać będę. Właśnie około tych czasów śniło mi

się, że Pan Bóg wola mnie na sąd ostateczny — zadrżałem — Pan Bóg wola — ja w strachu niewymownym i w płaczu, najgorętszą modlitwą proszę, żebym mógł żyć jeszcze choćby odrobinę, żebym miał czas poprawić się — Pan Bóg wola, a ja się modłę — przebudziłem się we łzach, pot zimny mię oblał, strach mnie samego zatrząsł mną; padłem na kolana, i już tej nocy zasnąć nie mogłem, a rozpamiętywałem grzechy moje, jak gdyby w dzień sądny. Innym razem, później daleko, śni mi się, że wieczorem siedzę przy oknie i dumam; ciemno w pokoju, i noc już ciemna; wtem z za okna jaskrawy blask rzucił mi się w oczy; zrywam się, spoglądam w okno, wzdłuż całego nieba widzę ogniste wyrazy i czytam: *Mane, thekel, fares*; wołam osoby obecne, prowadzę do okna, patrzcie — jeden mówi, że widzi drogę mleczną, drugi, że widzi chmurkę; poglądam znów w okno i znowu czytam wyrażnie: *Mane, thekel, fares*. Zmęczony tem widzeniem, przebudzam się, przecieram oczy, i nie wiem jeszcze, czy to był sen, czy prawda; otwieram okno, patrzę i widzę, jak niebo spokojne i czyste, błyszczy i migoce gwiazdami na chwałę Temu, co je tak strojnie przyodział. O gdyby to sumienie moje mogło być tak spokojne i czyste! o gdyby tak się ustroiło dobrymi uczynkami, jak niebo gwiazdami! Tak pomyślałem westchnąwszy, a sumienie odpowiedziało: Jak zechcesz, tak będzie! Obadwa te sny, chociaż były daleko od siebie, przypadły w czasach, kiedy potrzebowałem napomnienia bardziej, jak zwykle.

W owej epoce (1824—1825) uniwersytet warszawski miał przeszło 1200 uczniów, miał liczny księgozbiór, bogate zakłady, obszerne gmachy i wielu dobrych nauczycieli. Wykład literatury polskiej był najświetniejszy, a było do niego dwóch nauczycieli: szumny Osiński i serdeczny Brodziński; pierwszy był dobitnym wyrazem zapleśniałej starzyny, drugi wyobrazicielem wzrastającego postępu. Brodziński dopiero nabywał sławy, cichy, spokojny, czuły,

żołnierz i poeta; Osiński zarozumiały, nadęty, dowcipniś i wierszopis, a tak roztrąbił swoją sławę przesadnem czytaniem na tempa, że pierwszy raz przychodziło się na jego wykład, jak do wyroczni, jak na posłuchanie do mocarza wszystkich rozumów. Na wykład Brodzińskiego szło się, jak do poufałego przyjaciela, a wychodziło się zawsze z sercem rozczulonem i ze łzą w oku. Wychodząc pierwszy raz z wykładu Osińskiego, wspomniałem sobie na sławne *parturiunt montes, nascitur ridiculus mus*. Pomimo to wykład Osińskiego był uprzywilejowany, przychodzili nań panie i kobiety wielkiego świata; pan Osiński spieszy tam z jakiegoś obiadu, gdzie bawił ostrym dowcipem, wpada do domu, porywa co mu się nawinie ze starych szpargałów i parę książek na zapas; leci, już jest, już się wysapał i wśród oklasków poważnie zasiada: dopiero patrzy, co tam za papier złapał; jeśli trafił szczęśliwie na dalszy ciąg przeszłego wykładu, to zaczynał od słów: *w dalszym ciągu* i t. d., jeśli co innego porwał, cedzi przez zęby, że dla odmiany przedmiotu będziemy dzisiaj rozbieierać co następuje: i dopiero czyta, bo nigdy nie mówił; czyta gładkim i posuwistym językiem, a głosem donośnym i miłym; szumu wiele, ale rzeczy mało; a jak wpadnie na wiersze, to te, które chce pochwalić, czyta wspaniale, które chce zganić, czyta ślamazarnie, i wady wiersza naciśka głosem złośliwym. Nowością wtedy był Mickiewicz, co utworami swoimi jak raca wymknął się z pomiędzy tłumu do góry, i sypnął niegasnącemi gwiazdami: jedni ten dziw pojęli, drudzy nie jeszcze, ale wszyscy patrzą na niego. Zazdrosny Osiński spotkawszy się kiedyś z *Dziadami* Mickiewicza, przeczytał:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

A nie czytając dalej, rzucił książkę, dogadując:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,
Głupio było, głupio będzie!

Taki był dowcip Osińskiego.

W Warszawie bawiłem się daleko więcej, jak w Krakowie, miałem pięknego konia, na którym codziennie prawie oblatywałem wesołe okolice Warszawy, wyjeżdżałem na świetne przejażdżki.

Lubiłem też jeździć do obozu pod Powązkami, gdzie miałem wielu znajomych; pod ich namiotami używając żołnierskiej gościnności, przysłuchiwałem się muzyce wojennej i obozowemu gwarowi. Z powrotem do Warszawy obiegając wały miasta, na cmentarz Powązkowski wstąpiłem nieraz. Pomiedzy rozmaitymi nagrobkami najlepiej mi się podobał napis pełny wiary i nadziei: *tandem felix*.

Jednem z najprzyjemniejszych miejsc około Warszawy są Łazienki; jechało się do nich albo przez szpaler belwederski, albo koło Wiejskiej kawy. Ile razy spojrzałem na pomnik Jana III, stojący na moście naprzeciw Łazienek, zawsze mi się przypominał napis przylepiony do pomnika nazajutrz po wystawieniu jego przez Stanisława Augusta:

Sto tysięcy kosztuje, jabym dwakroćłożył,
Żeby August skamieniał, a Jan Trzeci ożył.

Nigdzie nie widziałem tyle pięknych kobiet, ile w Warszawie; prawie wszystkie piękne, hoże; czy brzydkie pochowały się, czy ich nie było, nie wiem. W Warszawie tańców bez liku; tańczą w zamkach, w ogrodach, w mieście, za miastem, w lecie i w zimie. W lecie rozlażą się na wszystkie strony; pełny ogród Saski, pełny ogród Krasińskich, pełno ludzi po szpalerach i po okolicach, a to wszystko w dzień Zielonych Świątek zbija się w jeden hurt, i sunie na Bielany. W południe ze wszystkich ulic, powozami, konno i pieszo ściągają się ku Staremu Miastu. Od Zamku już łańcuch nieprzerwany ciągnie się przez Zdroje, Fawory, ponad Wisłę, aż do Bielany. Wszyscy w najpiękniejszych powozach, na najpiękniejszych koniach, w najpiękniejszych, jakie mają strojach; wesołość i ochota zabawy grają na wszystkich twarzach; odk-

powozy chwala się pięknoscia pan swoich, a zreczny jezdziec przeglada szybko ponetne niewiasty, chcialby na kazda dluzej popatrzyc, ale kazdemu pilno znalezc swoja, a jak znajdzie, jedzie przy niej, jak pies na uwiez; chcialby, zeby ja wszyscy widzieli, ona zeby na nikogo nie spojrzala, a on zeby sie z tego panoszył, ze na uslugach u tak pieknej pani. Ja bylem panem, a pani nie mialem; na bystrym koniu uganialem na wsze strony, a powstrzymawszy konia, albo patrzalem w lewo na lańcuch powozow i ludzi, co sie wyciagal od Warszawy az do Bielan, albo spojrzalem na prawo, jak nurty wspanialej Wisly wyścigaja sie, goniac za tratwa albo za statkiem, pelnym strojnego ludu, co chyzem wioslem pedzi do Bielan. Malý kościółek na gorze zaroslej wesołym lasem, co sie polozyl wzdłuż brzegow Wisly, i kilka domków, oto początek Bielany, a koniec ich w lesie, tam gdzie sie konczą gromady bawiacego sie ludu. W kościele nabozenstwo, przy kościele malý cmentarz, przy drzwiach cmentarza sprzedaja obrazki i różańce; dalej nieco juz zastawione stoly, a na nich rzeźwiące napoje; dalej rozmaite gry, dalej tańce; sploszone ptaki uciekly, a po lesie brzmi wszędzie wesołość ochoczego ludu; juz noc zapadła, a światelka, niby gwiazdy leśne, przyświecają zabawom i tańcom.

Zbliżał się dawno oczekiwany sejm 1825 roku. Posłowie zaczęli się zjeżdżać, ruch stolicy coraz się wzmacniał. Byłem bardzo ciekawy sejmowi, a zamiast sejmowi, widziałem tylko nadętą wesołość i przepych, bo od czasu śmiałego postawienia się Niemojowskich, sejm się odbywał przy drzwiach zamkniętych; tylko pierwsze i ostatnie posiedzenie sejmowe odbywało się przy drzwiach otwartych: ale nikomu nie było wolno wejść bez munduru przynajmniej obywatelskiego. Byłem na zamknięciu sejmowi, bo na otwarcie jeszcze mój mundur nie był gotowy.

Przy zamknięciu sejmowi dzień po dniu były ucztę

bardzo świetne, to u namiestnika, to u prezesa senatu, to u dostojnych urzędników, to w miejskim gmachu.

Każdy w skocznym tańcu bujał ze śliczną tancerką. Na uczcie miejskiej widziałem po raz pierwszy obrazy żyjące, które w jednej z izb pobocznych wkoło były ustawione. Tegoż wieczora całe miasto było oświecone.

Sejm się skończył, a ja skończywszy rok szkolny, dumniej, jak nowi pułkownicy do pułków swoich, jechałem ze stopniem magistra do domu. Wdzięczność ucznia przemogła nad niecierpliwością powrotu do domu — wstąpiłem do Krakowa pochwalić się magistrowskim stopniem i ucałować ręce zacnego Soltykowicza, co ciągłymi, a uczającymi listami nie przestawał czuwać nade mną, dopóki mu dni starczyło.

Eustachy jeszcze nie był skończył nauk w uniwersytecie, więc odwiozłem go znowu do Warszawy; a że mi ojciec wracać nie kazał, więc i sam w Warszawie zostałem, a nie mając co robić, zacząłem chodzić do wydziału skarbowego, bo tak sobie naówczas młodzież upodobała. Ja nie mając w Warszawie żadnych obowiązków, kupiłem kocz, włożyłem go na sanie, i w końcu grudnia pocztą do domu ruszyłem z tą myślą, że co będzie, to będzie, ja na tem zyskam, bo wstąpię do cioci.

ROZDZIAŁ VI.

Powrót do domu.

Za moim powrotem do domu zacząłem rozkoszować życiem swobodnem i wiejskiem; odwiedzałem miejsca dawnych dumań moich; na szybkich rumakach przelatywałem łąki i pola, góry i lasy. Kto nie latał na koniach ukraińskich po ukraińskich polach, ten nie zna wielkiej rozkoszy. Rozdęta pierś pełna wonnego powietrza, a jeszcze łakoma, chciałaby cały wiatr połknąć; rozigranemu jeźdźcowi skaczą góry i lasy, a jak się wymknie na pola, pszenica jak panu wszechwładnemu swym kłosem sypie złoto i poklony, biała hreczka oddaje mu całą miodową woń swoją, skoszone siano swoje ostatnie tchnienie; ani zwierz, ani ptak żaden nie śmie z nim pójść na wyścigi, wszystko umyka mu z drogi: ogień konia przebiega po żyłach jeźdźcy, ogień jeźdźcy dodaje koniowi pędu i siły, i koń prędzej leci, jak gdyby sam leciał, i leci coraz prędzej — koń i jeździec stali się jedno, jeździec koniowi głową, koń jeźdźcowi nogami; gdzie jeździec zamyśli, tam koń leci a leci, gdzie pochyli się jeździec, tam i koń jego jak błyskawica zarysuje w powietrzu; jak myśl jeźdźcy tak jego rumak wywija, a gdy się myśl zatrzyma, to i koń staje jak wryty — i znowu za myślą jak piorun wylata, i leci, dopóki mu pan każe, albo dopóki z ostatnim sko-

kiem nie wyda ostatniego tchnienia; ale pan takiego bieguna strzeże, jak nóg swoich. Na takich to biegunach młodzież ukraińska odbywa pohulanki, za któremi tęskni, jak dziewczyna za tańcem.

Zjedzie się młodzież do Hubnika, jeszcze czas polowania nie przyszedł, dzień długi, a młodzi nie lubią pokoju, więc z pokoju do stajni; tam wyprowadzają konie jedne po drugich, a gdy się oczy nacieszą wysmukłą ich szyją, suchemi nogami, ognistą chrapą i groźnem okiem, młodzież zazdrości im swobodnych wybryków i skoków; krzyknijemy: Siodłać konie! — i w mgnieniu oka dziesięć, piętnaście koni przed gankiem. Ten wskoczył jednym sussem i już na koniu, ten opatrzył uzdę, przymierzył strzemię i siada rozważnie, temu się koń wymknął, ten się wydrapał z koniem na kamienne schody, tamten już za bramą sady przez ogromne dęby, na koniec wszyscy w szeregu jadą przez wieś, tak spokojnie jak mogą; a skoro się wymkną za wrota, jak gdyby kto niemi strzelił, lecą — rozprysnęli się po łące, i każdy na swoim rumaku zawija osobny taniec, a wszyscy razem; wymijają się, krzyżują się, ścigają się; jedni lecą na drugich z ogromnym pędem, i kiedy pobocznym widzom aż duch się w piersiach zaparł z obawy, że się rozbiją jedni o drugich i ludzie i konie, oni w pędzie tuż przy sobie osadzili konie, aż się w ziemię wkopały, zwrócili je w miejscu, i każdy mknął w swoją stronę; ten temu zerwał czapkę w pędzie, wymija go, czapkę rzuca, a sam umyka, ten co tchu goniąc, zwiesił się na koniu, i już zdjął czapkę; ci z kopiami pędzą ku sobie, jak na ostre; tamci w młynka końmi zawodzą i tną się prętami, niby w szable; inni w czwale konia z króćcie palą do czapek. Rozochoceni jeźdźcy i konie, jeźdźcy się śmieją, konie już spienione, a jeszcze głośnie parskaniem wyzywają się wzajemnie; aż jednym pędem wszyscy na spoczynek wylatują na górę; tam już zgoda między końmi i między jeźdźcami, koń stoi spokojnie, boby w przepaść skoczył, a jeździec pasie oko cudnym widokiem Hubnika.

Pomiędzy dwiema górami położyła się obszerna płaszczyna, z jednej strony zamknięta lasem, z drugiej przecięta Bohem; przez tę płaszczyznę trzy bujne strumienie pędzą z lasów, zatrzymany strumień rozlewa się w staw, a hojnym darem okupiwszy się ludziom, pędzi do Bohu. Na tej płaszczyźnie ponad brzegi rzeki, stawów i strumieni, osiadły rzędem białe chaty, każda ogrodem przypiera do wody, przy każdej obszerna stodoła i wysokie stogi. Pod koniec wsi od strony lasu wysoka ze skał piętrzy się mogiła, gotowa podstawa na kościół Boży; koło mogiły ku wsi, ogromna stodoła i toki pańskie, a na nich jak miasto sterty ustawione w ulice, a choć sterty gęste a tok szeroki, nie stało miejsca, i jeszcze liczniejsze sterty wybiegły za wieś na górę, a kto spojrzy, czyta na nich — tu głodu nie będzie — i tak było we wszystkich wsiach mojego ojca. Na drugiej górze dwór biały panuje nad wsią i nad całą okolicą, ogrody jego stoczyły się z góry aż do Bohu i popłynęły z wodą i z nią razem wymknęły się oczom patrzących, gubiąc się pomiędzy skałami, co szybko skrzyliły Bohem na lewo. Na prawo za Bohem, Batów, a koło niego wały obozów polskich; na lewo za patrzącymi, *Semy mohyły*; siedm mogił rzędem położyło się na wysokiej grzędzie, pod niemi w zgodzie spoczywają Polacy i Kozacy — dosyć im było niezgody za życia. — Jeźdźcy gorzkim wspomnieniem tak się zasepili, że aż ich konie głowy zwiesiły; spojrzeli po sobie, westchnęli nad dolą braci co się wadzili z sobą. Dowcipny żarcik rozpedzi smutek, natchnie nadzieją, i znowu wszyscy weseli, spuszczają się powoli ku wsi, bawiąc się jej czarującym widokiem; już wyjechali na drogę bujnie wysadzoną rozlicznem drzewem; poleciał kozak naprzód, zamknąć wrota, a dziarska młodzież jeden za drugim wskoczyła do wsi.

Po takiej pohulance wesołe śniadanie, i myśl ludzka weseli się dzień cały. Ochocza młodzież albo kulami z króćcie wróble strzela, albo tnie się w pałasze, albo po skałach się drapie, albo skacze do wody; wieczorem gawędka

przeciąga się w noc późną, a do dnia już jeden drugiego budzi, jeden drugiego uprzedza dowcipną a niewinną psotą: i tak lecą dzień za dniem, bez troski i kłopotu. Bo jakaż troska lub kłopot ukraińskiemu dziedzicowi — on pan samowładny na wsiach swoich, a w rządach nad państwem swoim, dogadza jak chce sercu swojemu; on gdy chce, wszyscy go kochają; gdy chce, wszyscy się go boją; on niczego nie potrzebuje, bo wszystko mieć może, i dobrą żonę, i dobre dzieci, i dobrych przyjaciół, i dobre sługi, i wszelki dostatek, i dobrych sąsiadów, byle sam był dobry. A taka tam pełność życia, że kto jej zakosztował niezsputem sercem, temu wieś rajem, a kto ją utraci, ten tęskni za nią, jak ptak za powietrzem, jak ryba za wodą.

Chwile mojego pobytu na wsi, były mi wdziękiem i rozkoszą, dzieliłem je między rodzeństwo, krewnych i przyjaciół co byli dokola Hubnika. Na rozstawionych biegunach, jak na skrzydłach przelatywałem ogromne przestrzenie; dopiero na rozkazach ojca, za chwilę już u nóg matki, bawię się z małą siostrzyczką, albo cieszę się dorastającą siostrą, co już zajaśniała wdziękami na całą okolicę, jak róża jaśnieje nad trawnikiem, i nad kwiatami co z niego wybiegły.

Gdzie piękna i bogata panna na wydaniu, tam dom wesoly; jednego tylko wybiorą, a wielu w zalotach, bo nikt nie wie o nieszczęściu swoim, a choć się już go domyśla, jeszcze przyjeżdża, albo że nieszczęściu nie wierzy, albo że chce je zagłuszyć huczną zabawą, zaślepić widokiem niewdzięcznej piękności. I w domu mojej matki częste zabawy i tańce, tłumne przejażdżki do sadów i do pasiek, tłumne odwiedziny sąsiadów: zabawa z zabawy wyradza się, jak później smutek ze smutku; dopóki więc kolej zabaw niewinnych, hulajmy wesoło.

Do Hubnika często zbiegała się młodzież; przebąknął który, że gdzieś tam o kilka mil miały się zjechać panny, wnet krzykną wszyscy: jedźmy! a tu czasem taka bez-

Pomiędzy dwiema górami położyła się obszerna płaszczyna, z jednej strony zamknięta lasem, z drugiej przecięta Bohem; przez tę płaszczyznę trzy bujne strumienie pędzą z lasów, zatrzymany strumień rozlewa się w staw, a hojnym darem okupiwszy się ludziom, pędzi do Bohu. Na tej płaszczyźnie ponad brzegi rzeki, stawów i strumieni, osiadły rządem białe chaty, każda ogrodem przypiera do wody, przy każdej obszerna stodoła i wysokie stogi. Pod koniec wsi od strony lasu wysoka ze skał piętrzy się mogiła, gotowa podstawa na kościół Boży; koło mogiły ku wsi, ogromna stodoła i toki pańskie, a na nich jak miasto sterty ustawione w ulice, a choć sterty gęste a tok szeroki, nie stało miejsca, i jeszcze liczniejsze sterty wybiegły za wieś na górę, a kto spojrzy, czyta na nich — tu głodu nie będzie — i tak było we wszystkich wsiach mojego ojca. Na drugiej górze dwór biały panuje nad wsią i nad całą okolicą, ogrody jego stoczyły się z góry aż do Bohu i popłynęły z wodą i z nią razem wymknęły się oczom patrzących, gubiąc się pomiędzy skałami, co szybko skręciły Bohem na lewo. Na prawo za Bohem, Batów, a koło niego wały obozów polskich; na lewo za patrzącymi, *Semy mohyły*; siedm mogił rządem położyło się na wysokiej grzędzie, pod niemi w zgodzie spoczywają Polacy i Kozacy — dosyć im było niezgody za życia. — Jeźdźcy gorzkim wspomnieniem tak się zasepili, że aż ich konie głowy zwiesiły; spojrzeli po sobie, westchnęli nad dolą braci co się wadzili z sobą. Dowcipny żarcik rozpedzi smutek, natchnie nadzieją, i znowu wszyscy weseli, spuszczają się powoli ku wsi, bawiąc się jej czarującym widokiem; już wyjechali na drogę bujnie wysadzoną rozlicznem drzewem; poleciał kozak naprzód, zamknąć wrota, a dziarska młodzież jeden za drugim wskoczyła do wsi.

Po takiej pohulance wesołe śniadanie, i myśl ludzka weseli się dzień cały. Ochocza młodzież albo kulami z króćcie wróble strzela, albo tnie się w pałasze, albo po skałach się drapie, albo skacze do wody; wieczorem gawędka

przeciąga się w noc późną, a do dnia już jeden drugiego budzi, jeden drugiego uprzedza dowcipną a niewinną psotą: i tak lecą dzień za dniem, bez troski i kłopotu. Bo jakaż troska lub kłopot ukraińskiemu dziedzicowi — on pan samowładny na wsiach swoich, a w rządach nad państwem swoim, dogadza jak chce sercu swojemu; on gdy chce, wszyscy go kochają; gdy chce, wszyscy się go boją; on niczego nie potrzebuje, bo wszystko mieć może, i dobrą żonę, i dobre dzieci, i dobrych przyjaciół, i dobre sługi, i wszelki dostatek, i dobrych sąsiadów, byle sam był dobry. A taka tam pełność życia, że kto jej zakosztował niezsputem sercem, temu wieś rajem, a kto ją utraci, ten tęskni za nią, jak ptak za powietrzem, jak ryba za wodą.

Chwile mojego pobytu na wsi, były mi wdziękiem i rozkoszą, dzieliłem je między rodzeństwo, krewnych i przyjaciół co byli dokola Hubnika. Na rozstawionych biegunach, jak na skrzydłach przelatywałem ogromne przestrzenie; dopiero na rozkazach ojca, za chwilę już u nóg matki, bawię się z małą siostrzyczką, albo cieszę się dorastającą siostrą, co już zajaśniała wdziękami na całą okolicę, jak róża jaśnieje nad trawnikiem, i nad kwiatami co z niego wybiegły.

Gdzie piękna i bogata panna na wydaniu, tam dom wesoly; jednego tylko wybiorą, a wielu w zalotach, bo nikt nie wie o nieszczęściu swoim, a choć się już go domyśla, jeszcze przyjeżdża, albo że nieszczęściu nie wierzy, albo że chce je zagłuszyć huczną zabawą, zaślepić widokiem niewdzięcznej piękności. I w domu mojej matki częste zabawy i tańce, tłumne przejażdżki do sadów i do pasiek, tłumne odwiedziny sąsiadów: zabawa z zabawy wyradza się, jak później smutek ze smutku; dopóki więc kolej zabaw niewinnych, hulajmy wesoło.

Do Hubnika często zbiegała się młodzież; przebąknął który, że gdzieś tam o kilka mil miały się zjechać panny, wnet krzykną wszyscy: jedźmy! a tu czasem taka bez-

dróż, że ani kołami ani saniami; a konno? dobrze konno! I zaraz wychodzą wierzchowce rozstawić się na dwóch albo trzech miejscach, a tymczasem wybieramy się w drogę; tłumoczek za siodło, dwururka przez plecy, i pędem lecimy; w pędzie polujemy na zwierza lub ptaka, co się nam nawinie; w pędzie zbryzgani wlatujemy na dziedziniec, jakby najeźdźnicy jacy, a po chwili już każdy w trzewikach i z niczego huczna zabawa, bo hoże panny i dziarska młodzież. Po tańcach panny jeszcze półspiające marzą o swoich i nie swoich tanecznikach, a ci wietrznicy po ostatnim poskoku ostatniego mazura wskoczyli na konie, i jak przyjechali, tak odjechali niespodzianie. Powstawały panienki, stroją się, nie wiedząc, że już niema do kogo. Niejedna może już nigdy nie zobaczy tanecznika swego, choć długo a może i zawsze będzie przed jej myślą, a jak zamrōży oczy, przed jej oczyma. Może ten wietrznik słówkiem żywym, choć go nie wziął z serca, trafił do serca, zakłócił spokojność, losu pozbawił. O biedna dziewczyna! A ty, wietrzniku, co dla swawolnej próżności niewinnemu aniołowi zmąciłeś cały źródł życia — tyś zbrodniarz!

Może niejedna taka zbrodnia ciąży i na mnie, bo i ja byłem próżny, a próżności szły w pomoc i majątek i młodość; miałem próżność podobania się wszystkim kobietom, choć mi żadna nie była ani na myśli, ani na sercu, a choć miałem sumienie żadnej nie uwodzić, nieraz jednak półsłówko wywołało dziewiczy rumieniec, a ja ten rumieniec chciwie polknąłem oczami, nie pomnając, że cudza spokojność to trucizna. Gdzie tylko piękna panna, wszędzie próbowałem, czy się nie zakocham — niegodziwa to próba! Nie zwiodłem ja żadnej dziewczicy, bom żadnej nie powiedział, że ją kocham, bo żadna nie zakrólowała w mem sercu: i choć żadna nie mi wymówić nie może, jednak sumienie moje nieraz mnie oskarża, i nieraz już prosiłem, aby tym wszystkim istotom, które ja choć cokol-

wiek zasmuciłem, Bóg zapłacił z tego szczęścia, jakie mi na ziemi przeznaczył; nieraz prosiłem Boga, aby mi tak przebaczył cudze niepokoje, jak ja przebaczyłem tym, co mnie kiedykolwiek, czy to na długo, czy na krótko pokój odjęły.

— Edward był z ojcem przeszłego roku, to ja pojadę.

— Idźże się wybrać, a każ nabrać prochu i śrutu, bo tam nie dostanie, a jest co strzelać.

— O wiem, że jest co strzelać, Edward mi nagadał, co to on tam pozabijał orłów, bażantów, kuropatw, sarn; ale zasiadać po całych nocach tak jak on, na to, żeby jednego dzika zabić, nie podejmuję się.

— No idź, wybieraj się, nagadasz się w drodze.

Wyszedłem; ja też także miałem komu rozkazywać; wszystko się sposobi, a jak się zmierzchno, już mój koń ulubiony, na którego nikomu nie było wolno się, idzie wesolo; wskoczyłem — koń rzucił się naprzód — a ja go jeszcze cugłami strzepnąłem po szyi — przyłożyłem się do niego — domyślał się, jak się kopnie, w ćwierć godziny przeskoczył milę ukraińską. Przebawiłem u matki noc całą, pożegnałem ją smutnie, bo to podróż na kilka miesięcy; nade dniem nie zwalniając koniowi, całym pędem przybiegłem do domu; ja wyśpię się w drodze, a koń odpocznie na trawie, gdzie będzie hulał, dopóki nie wróce.

Za parę dni wyjechaliśmy na step, jak na morze; ani tam gór ani lasów, ani widać ludzkiego mieszkania, ani się spotkać z głosem ludzkim, ani z rozgłosem nawet. W południe skwarno, a cisza śmierci; ptactwo pochowało się w trawę, zwierzęta po norach i burzanach, ponad ziemią ruch w powietrzu, jak gdyby wrzało, niebo poszarzało od pary, duszno, jak gdyby powietrze uciekło. Para powietrzna zbiera się w chmurki białe, przeźroczyste, ledwo okiem dojrzane; chmurki te poigrają trochę i spadną w rzeźwiących kroplach; niebo pociągnie się błękitem; zemdlałe kwiaty stepu ożyją; słońce jaśniej zaświeci; orzeł leci do słońca osuszyć swe skrzydła; zając wybiega na drogę strzepnąć się; drop, strażnik stepu, powstawszy przechadza się poważnie; rozliczne muszki brzęczą w powietrzu; skowronek kończy wieczorem pieśń. rano zaczęta. Kocz już spuszczone, konie rażniej biegają, a dwa psy legawę po dwóch stronach drogi strychują, i nie wolno im

ROZDZIAŁ VII.

Podróż na Kaukaz.

Zbliżało się lato. Mój ojciec co nie miał nigdy zwyczaju mówić pierwszej jak robić, a u którego wszystko zawsze i do wszystkiego było gotowe, wychodzi na ganek:

— Hej! koniuszego — Mospanie, jutro jadę na Kaukaz, kocz sześciu końmi, bryczka kuchenna czterema końmi, srebra na 12 osób — czterech luźnych kozaków i cztery siodła.

Koniuszy odpowiedział:

— Słucham panie — odwrócił się, skoczył do stajni, do wozowni, do masztarni, do kuźni. Kuchmistrz posłał kuchtów do szafarza i jeszcze przed wieczorem konie pokute, powóz zatoczony na dziedziniec, bryczka przed kuchnią upakowana.

Z Charpaczki od mego stryja, gdzie były mile pannenki, pędzę na koniu, żeby się nie spóźnić na obiad, a kazałem był powiedzieć, żem do pasieki pojechał; z góry o ćwierć mili widzę powóz na dziedzińcu; myślę sobie: goście, a kiedy goście, to radość; ruszam na przelaj, przesuwam rowy i krzaki, i płoty i wrota; na dziedziniec wjeżdżam stępą, bom poznał, że to nasz kocz. Przy obiedzie pytam:

— A dokąd ojciec pojedzie?

— Na Kaukaz — a który z was chce jechać?

stanać, chyba do pardwy, albo do stada kuropatw. Tak polując rano i wieczór, a w dzień chowając się przed upałem jak można, przejechaliśmy wzdłuż Posiedlenia, Ekaterynosławskie i Chersońskie stepy, spotykając co dzień jedną albo dwie wioski, a co parę dni jakieś miasteczko.

Przy każdej wiosce porządne toki i stajnie, i liczne stada; w każdej wiosce kiryśnicy albo ulani uczą się obrotów, to konno, to pieszo; w każdej wsi porządne zabudowanie oficera, a nędza po chłopach. Zajezdnych domów niema tam nigdzie prawie, więc się zajeżdża do chłopą, a zastaje się same baby i dzieci.

— A czy wam tu dobrze?

— Ot widzi pan, jak dobrze — stare baby i bieda w domu; parobcy albo na obrotach, albo młóć kapitanowi, kobiety poszły siano gromadzić, a w domu niema kto, i niema z czego obiadu zgotować; a jeszcze teraz na przednowku tak ciężko.

— A wszak macie toki gromadzkie.

A kiedy z nich nic nie dają, tylko groch zgnili i to na odrodek; a jak człowiek rochoruje się z biedy i z pracy, a jak wezmą do bolnicy, to mało kto z niej do domu wróci.

— A pocóżście uciekali z Ukrainy od panów?

— Jest tu wielu takich, co stamtąd od państwa pouciekali; oni pouciekali, bo im burlacy i czumacy nagadali, że tu plastrami miód po stepie wala się, ale nas, to przynętni tu ze skarbowych dóbr, aż z Moskwy, i takich tu więcej.

— To uciekajcie, kiedy wam tak źle.

— Gdzież panie uciekać, tam dalej takie stepy, że niema ludzi.

W innej wsi zajechaliśmy na popas do pułkownika; tam zupełnie inny obraz; służba, obfitość wszelka, porządek; pokazywał nam stada, stajnie, poprowadził nas na wojskowe obroty; wszystko porządnie na oko, tylko brak

koni; gospodarstwo także porządne i to niby skarbowe. Na rządców, tak tu, jak i w całej Małorosyi, i na całych stepach, starają się mieć Polaków, których uważają za bieglejszych w gospodarstwie od swoich, i za ludzi sumiennych.

Takiem posiedleniem zajechaliśmy prawie aż do morza Azowskiego i do Taganrogu. Nigdzie nie widziałem piękniejszej łąki, jak w Taganrogu, a rodzi się taka na Chersońskich stepach. Widziałem tam także jęczmień, zwany orkisz, którego ziarno jest trzy a czasem cztery razy większe od jęczmienia zwyczajnego; nigdzie też lepszych pomarańcz nie jadłem, i mnóstwo nakupiliśmy ich na drogę. Taganrog wsławił się w ostatnich czasach śmiercią cesarza Aleksandra.

Przystań Taganrogu jest tak mała, że powózki, aby się mogły dostać do łodzi, muszą brnąć blisko ćwierć mili w morze; dopiero za pomocą łodzi towary dostają się z okrętów albo na okręty kupieckie, które ledwie o pół mili do brzegów zbliżyć się mogą. Okręty zaś wojenne muszą stać tak daleko, że ledwo je zażyć można.

Z Taganrogu jadąc trochę ponad morze Azowskie, przypatrywaliśmy się niezmiernie obfitemu rybołówstwu nad tem morzem; włoki niesłychanej długości zarzucają tak daleko na morze, że na największy dzień, tylko dwa razy zarzucić mogą; włoki takie ciągną wielkimi łodziami, a gdy już końce dojdą do brzegu, zaprzęgają czasem po dziesięć par wołów do każdego końca i ciągną w step; zaraz przy brzegu hakami wielkimi wrzucają ryby do wozów, zaraz je platają, solą, suszą, a czumaki rozwożą; gdy się połów uda, to czasem po sto wozów ryb od razu wyciągną. Ze wszystkich ryb tam poławianych, najlepszy jest jesiotr, a z jesiotra świeżego najlepszy rosół, dobra też i pieczeń, o czem lubownikom ryb donosi się. Tam także widziałem rozmaite ptaki morskie, które każdemu polowowi ryb towarzyszą w niezmiernem mnóstwie, i owe ogromne baby czyli pelikany, co czasem i do

nas zalatują. Stamtąd zaraz wjechaliśmy na Don, to jest do krainy dońskich kozaków.

Żyzne stepy, ożywione wspaniałą a splawną rzeką, bujają po nich niezliczone stada i trzody; mieszka tu lud gościnny, wdrożony do boju. Wejdiesz do domu kozaczego, znajdziesz gościnność i szczerotę, a więcej jeszcze prostoty; powiada ci kozak — czem bogat, tem rad — i wszystko co ma zastawia na stole; wszystko co ma pokazuje, chwali się bronią, chwali się zdobycami, chwali się końmi, i chętnie daruje, co ci się podoba. Dawne polskie szable cenią nad wszelką broń; sami nie kuja broni, a każdy ma przynajmniej podwójne uzbrojenie, a wszystko zdobyte; niemasz ani jednego, coby nie miał srebrnych i złotych sprzętów, i licznych a dziwnych samą rozmaitością ozdób, choć ich połowę oddał cerkwi na chwałę Bożą. To też nigdzie cerkwie nie są tak bogate, jak na Donie, bogate w drogocenne rzeczy, a czasem i w arcydziela sztuki, a wszystko zdobyte, bo na Donie nauki i sztuki są w największem dzieciństwie. W Nowym Czerkasku, dzisiejszej stolicy Donu, oglądałem gimnazyum, pierwszą szkołę na całym Donie, a bardzo nędzną.

Na stepach aż do Donu ciągle mogiły, tak że jedna drugą widzi; na wielu z pomiędzy tych mogił znajdują się wkopane niezmiernie starożytne, granitowe, czerwone balwany, najczęściej po dwa, wyobrażające mężczyznę i kobietę, rzeźby podobnej do egipskiej, ale jeszcze niezgrabniejsze; czy to nagrobki, czy jakie bożyszcza dawne, nigdzieśmy się tego dopytać nie mogli. Otóż, w co się obracają pomniki ludzie, jeszcze ich czas nie zagryzł, a już je niepamięć zniszczyła.

Od Donu aż do Kaukazu ciągnie się łańcuch mogił bez balwanów, a tylko na każdej z nich od strony Kaukazu, stoi kozak na straży, jak żuraw. Od Donu aż do Kaukazu rozrzucone tu i owdzie osady różnych kozaków; naprzód tych, co walczyli z Pugaczewem. Dalej ponad

Kubaniem Czarnomorców, dawnych Zaporozców polskich, przesiedlonych z nad Dniepru na półwysep Taman; ci kozacy zachowali jeszcze strój polski, noszą się w kontuszach i żupanach, podgalaają głowy i wąsy jak nasi ojcowie; oni stanowią wyborną jazdę w wojsku na Kaukazie.

Wzdłuż posterunków kaukaskich, są osady kozaków tak zwanych *linijnych*; ci kozacy mają dzielne konie i także są bitni; przejęli od Czerkiesów strój, osiedlanie, broń i sposób wojowania; co do stroju tem się tylko różnią od Czerkiesów, że noszą buty.

Po stepach oddzielających Dońską ziemię od Czerkiesów, snują się koczujące hordy Tatarów i Kałmuków. Kałmucy nie odstąpili wcale pierwotnych obyczajów swoich i dotąd nie mają wozów; ciągną razem z całym dobytkiem i z całą rodziną swoją; ni orząc, ni siejąc, żyją jak wróble, włóczą się po stepach, a z nimi włóczą się konie, owce, wielbłądy i bieda; a brudne to wszystko, bo chyba je deszcz umywa i pierze.

Po trzech tygodniach koczującej podróży, która pomimo, żeśmy ją sobie uprzyjemniali jak mogli, była bardzo nudna, ujrzelśmy z daleka góry Kaukazu, do których po morzu stepu spieszyliśmy, jak żeglarz do lądu.

Łańcuch gór kaukaskich z daleka pokazał się nam jak siny obłok; nazajutrz ciężkie powietrze spuściło nań nieprzebitą zasłonę; trzeciego dnia ze wschodem słońca ujrzelśmy jasnej białości, pocieniony kształtami gór, wał śniegu; ciemny błękit niebios odbijał wybornie te niepolicone kształty, i wszystkie nam na oko położył; na niektórych wierzchołkach śnieg zeszkłony dziwnie miotał promieniami słońca. Daleko przed siebie, jak gdyby na straż swoją, góry kaukaskie rzuciły na step kilkoro dzieci swoich, gór młodych, niepobielonych jeszcze szronem starości, a już okazałych wyniosłością, strojnych wszystkimi wdziękami młodości; jeszcze oko ludzkie nie może roze-

znać strasznej piękności ogromnego gór łańcucha, a już te młode góry zwabiły je wdziękiem i bogactwem swoim. Pomiedzy tą przednią strażą gór kaukaskich, najwyższej strzeliły *Maszuta* i *Besztau*; pierwsza znaczy w języku Czerkiesów mogiłę i ma kształt mogiły, druga znaczy pięć gór i ma też pięć wyraźnych wierzchołków. Te dwie góry gotują w łonie swoim źródła ludzkiego zdrowia; pomiędzy temi górami, jako u progu dobroczyńców swoich, ludzie też liczniej osiedli. Tam jest kres podróży długiej i nudnej, a ma być początek zdrowia dla słabych, zabawy dla zdrowych, wypoczynku dla wszystkich. Dwa dni patrzaliśmy na te zbawienne znaki, a dopiero trzeciego dnia późno, dojechaliśmy do głównego miejsca wód kaukaskich, pod górą *Maszutą*.

Nazajutrz obleciałem dość porządnie zabudowane miasteczko w kilku prostych ulicach; Czerkiesi snuli się konno, przeszlorocznymi znajomi mego ojca, biorąc mnie za mego brata, jedni drugim pokazywali, mówiąc *dzygit*, co znaczy rycerz, a dlatego tak go nazwali, że on ich zadziwiał swoim sposobem strzelania i robienia bronią. A każdy Czerkies mówił — kup konia — i wiele ich przyprowadzali na sprzedaż. Zaraz kupiłem sobie klacz kasztanową, prześliczną, za 40 *rubli papierowych*; pytam się dlaczego tak tanio sprzedaje, kiedy młoda, piękna i zdrowa? dlatego, że nie daje się siadać; istotnie kąsała, rzucała się na ludzi, ale że była takiego składu, jak nam Rzewuski Wacław zawsze na wzór rysował, kupiłem i w tejże chwili wskoczywszy na nią, wybiegłem z Czerkiesem na wierzchołek *Maszuty*, gdzie dobrym koniem za godzinę dostać się można.

Niebo tam ciemno-błękitne, a czyste jak spojrzenie dziewicy; ostatnie chmurki, które się były zaspaly na łonie gór już się przebudziły, ale tak im tam dobrze, że nim wzleca ku słońcu w obłoki, wilają się po górze, roztaczają się po niej rozkosznie, muskają jej kwiaty i jej zieloność; wzbijają się nieco i znów do góry wracają, znowu ją obej-

mują, jakby na ostatnie pożegnanie przed śmiercią, bo słońce ostrym promieniem zacina leniwe chmury; toczą się po górze, już do jej wierzchołka tylko ostatnim przyczepione rąbkami; już się ostatni raz chmurka zachwiała — przypadła jeszcze — jeszcze raz musnęła po szczycie góry i oderwała się od niej na zawsze; poleciała rozpląnąć się w ciemnym błękitcie, i gdzieś tam daleko spadnie we łzach, płacząc za rozkoszną górą, co ją wypieściła. Ogniste słońce roztopiło chmury i samo jedno buja po niebie, nocą stęsknione oko karci cudnym widokiem, wszystko mu pokazuje, ale na siebie patrzeć nie pozwala. O nędzny człowieku! ty nie możesz znieść spojrzenia słońca, a myślisz, żeś Boga przejrzał na wylot; za słaby twój rozum, abyś zgadł co słońce, a ty myślisz, żeś odgadł Stwórcę słońca niepoliczonych: za słabe twe oczy, aby spoczęły na słońcu, a tyś tak zuchwały, że ziemskim wzrokiem twoim patrzyłbyś w samego Boga.

Co to za ogromny świat, i piękny i rozmaity, co to za rozliczność tych światów, co to za niezmierna potęga Stworzyciela tych wszystkich światów, kiedy człowiek, co się ma za władzcę ziemi, ani wzrokiem obejrzeć, ani myślą objąć nie podola tego ogromu, tej cudowniejszej może jeszcze, rozliczności wszechrzeczy. Kto jeszcze pomimo klęsk i nieszczęść nie uznał Boga sędziego, kto pomimo szczęścia i dóbr nie uznał Boga Ojca, kogo widok gwiazdolitego nieba nie przejął trwogą albo miłością Stworzyciela, niech wnijdzie na górę *Besztau*. Stojąc na jej ostrym szczycie, jak gdyby w powietrzu zawieszony, spojrzysz na dół na tyle rozpadlin i przepaści strasznych, na tyle spiętrzonych gór, po których jak po stopniach na ten szczyt się wdrapał, i zda mu się, że nad ten szczyt niema nic wyższego na ziemi; spojrzysz do góry, a zda mu się, że niebo jeszcze wyżej od niego uciekło; spojrzysz naokoło siebie, a strach przestrzeni tak mu oczy zaćmi, że długo upłynie, nim przejrzy. Na prawo jedno morze, na lewo drugie; na północ potoczyło się morze stepów migające

różną barwą jak bałwanami; na południe strumienie i rzeki niedościgłym biegiem wijąc się po rozkosznych dolinach, tu i owdzie spletały się w jezioro, jak w węzeł, i znowu z niego wybiegają; nad każdą rzekę zbiegły się lasy i góry, i przyglądają się wdziękom wody i swojej urodzie. Im dalej, tem wyższe góry, tak cudnie ustawione, że jedna drugiej nie zasłania, jedna drugiej dodaje wdzięku; ale jak gwiazd na niebie nie policzysz, choć zda się, że wszystkie widzisz; a wszystkie piękne: ta piękna lasem, ta skałami, tamta przepaściami, tamta że łagodnie, ta że raptem wstaje, ta zielonością, ta wspanialszą nad wszystko siwizną. Łańcuch gór śnieżnych zamyka widok śmiejący się i zielony, wygląda jak mleczna droga na niebie, zda się być kością pacierzową olbrzyma Ziemi, a z tą kością zda się być wszystko związane, i góry i płaszczyzny. Cały widok zgodny, a niepojęty jak dźwięk wiatru, jak loskot fali, jak strzał piorunu, jak przeźroczystość dnia, jak wszystko, co nie jest ani wymysłem ani sztuką ludzką, ale dziełem boskiem, grą świata, co na słowo — stań się — stał się pięknym, bogatym, rozkosznym, strasznym, niepojętym.

Wspomnisz sobie na ludzi; spojrzysz z tej góry na ich mieszkania, a ich wsie wyglądają jak mrowiska, a nawet ich ruchu nie dojrzysz. Dokoła wzrokiem oblatujesz, bo radbyś widzieć dokoła, cały okrąg, wszystkie przepaście, obadwa morza razem. Patrzysz i dumasz, i dumasz i patrzysz; i nim ci przyjdzie na myśl, że tu już Azja, wykrzykniesz mimowolnie — tu raj być musiał. I nie zejdziesz z góry, aż ci obłoki zasuną cudny widok, któremu granice jeno w oku ludzkim; powrócisz nieraz na tę górę i zawsze zejdziesz z niej upokorzony, poprawiony, zadumany o sobie i o Stwórcy swoim, i będzie ci tęskno za tą górą, jak za świątynią, w której ci było błogo na duszy, jak za świadkiem twych dobrych myśli i uczuć szlachetnych, jak za tronem, z któregoś zakrólował wzrokiem od morza do morza, od szczytu gór aż na kraj stepów.

Mój ojciec zaczął brać kąpiele, a ja wybiegałem, to na prawo, to na lewo, oglądać stada czerkieskie i wybierać z nich dla siebie co najlepszego. Wszędzie Czerkiesi byli mi radzi, jeździłem do nich zbrojno, zawsze z przewodnikiem, co był moim tłumaczem; wszędzie przyjmowano mnie jako przyjaciela, *kunaka*.

Gdyśmy zajechali do *aułu* jakiego, to jest do wsi, zaraz mieszkańcy zbiegają się wokół nas, zaraz opatrują broń i swoją się chwalą. Między ich *szaszkami* wiele mi się zdarzyło widzieć *Augustówek* uciętych od rękodzielników do miary, do której przywykli; jak się dostały pomiędzy nich te szable? nie wiedzą; pytaliśmy się, czy dobre, mówili że kość kraja, to znaczy, że można ściąć leb, a nawet tułub przeciąć; a jak powiedzą o swojej szabli, że żelazo kraje, to znaczy, że można przeciąć od razu i rusznicę i człowieka; właśnie w czasie naszej bytności na Kaukazie, przywieziono z jakiejś utarczki rusznicę odciętą z ręką.

Czerkiesi zaraz pokazują, jak używają swej broni i pytają, jak my jej używamy; musiałem więc wszędzie popisywać się przed Czerkiesami z jazdy konnej, z robienia bronią i ze strzelania; szczególnie podobały im się dwururki bez skałek, i strzelanie w lot kulami; jeden drugiemu zrywał czapkę, ciskał do góry, dając znak, żebym ją przestrzelił; temi igraszkami rozweselali się bardzo. Tumanilem ich jak mogłem, to rozmaitem skakaniem na konia i z konia, to wywijaniem szablą młynków, żeby się im aż w oczach ćmiło, a jak chwalili, mówiąc *dzygit*, to ja mówiłem, że ja najgorszy ze wszystkich Polaków i rębacz, i strzelec, i jeździec, więc jeszcze bardziej dziwowali się, a ja im powtarzałem o odwiecznem pobratymstwie Polaków z Czerkiesami, i to im jeszcze kładąc na dowód, że mają nasze palasze i strój do naszego zbliżony. Prawilem im o tej rzeczy różne dziwne powiastki. Czerkiesi słuchają i potakują, a stąd przyjaźń najdoskonalsza, gościnność najwspanialsza.

Każdy do siebie zapraszał, najstarszy *Mirza* albo *Bimirza*, albo jaki książę, miał przed wszystkimi pierwszeństwo; zapraszając na noc, zawsze mówił, że każe dla mnie zarznąć barana, co miało znaczyć, że przyjmie suto. Zarzynali barana, przyspasabiali wieczerzę, a my tymczasem na konie i do stada.

Wyjechaliśmy na górę, z daleka w dolinie bieleje coś jakby jezioro, a to stado; bo tam najwięcej koni siwych i białych, a w jednym stadzie zbiorowem, bywa ich po dwa tysiące i więcej. Czerkiesi najbardziej cenią konie siwe, a jak się urodzi źrebię srokate, to je zarzynają i jedzą, mówiąc, że gdyby z tego miał być koń dobry, toby go Pan Bóg nie lałał. Zbrojni Czerkiesi, bo oni zawsze zbrojni strzegą stada, a gości częstują *kumysem* — jest to rodzaj kwasu z kobyłego mleka, napój biały, dość przyjemny, a u nich zwyczajny. — Przejeżdżając się pomiędzy stadem, wybierałem klacze, które mi się najpiękniejsze wydały, ze źrebiętami innej maści, jak ich matki. Skoro którą pokażę, zaraz dwóch Czerkiesów wygania ją ze stada na stronę ze szczególną złością: wybierając po różnych stadach kupiłem kilkadziesiąt najpiękniejszych klaczy, które potem rozrodziły się u nas w osobne stado czerkieskich koni.

Od stada wracaliśmy późno: już ksiądz muzułmański, z *minaretu* uplecionego z chrustu, zawołał do modlitwy, już ze wszystkich stron *aułu*, Czerkiesi zaprosiwszy nas z sobą, ściągają się do *meczetu*, wyglądającego nakształt chłopskiej stodoly, gdzie podług swego zwyczaju odmruczeli i odleżeli modlitwy. Wyszedszy z *meczetu*, wprowadzili nas do gościnnego okrągłego domku, podobnego do chlewka, a także uplecionego z chrustu i nakrytego słomą. Już była zastawiona wieczerza na stole obSZERNYM, ale niższym od zwyczajnego krzesła; na stole kilka mis dużych i pełnych, kilkanaście mis i łyżek drewnianych; starszyzna czerkieska usiadła z nami za stołem, myśmy usiedli na ziemi, a oni stojąc na nogach, ze-

mknęli się tylko we troje, jak na zawiasach; inaczej nie siadają, a to dlatego, aby jak najprędzej schwycić się mogli. W jednej misie była baranina poszarpana w różne szmaty, w drugiej ryż z tłustością barania, doskonały, a nazywa się *pilaf*, w trzeciej jajecznicą z miodem, a w czwartej kwaśne mleko z jakimiś lazankami, zatarte czosnkiem; było coś także nakształt chleba jęczmiennego, za napój *kumys* albo woda i koniec. Czerkiesi bardzo mało jedzą i mówią, że nie trzeba wiele jeść, żeby mieć siłę, to też każdy chudy i lekki jak chart, wcięty jak osa, pleczysty jak niedźwiedź, piersisty jak orzeł; u każdego żywość w ruchu w spojrzeniu, oko pełne, rysy twarzy rzadkiej kształtności, strój swobodny, kibić wysmukła, gibka, zręczniejsza jak u tancerza, a przytem wszystkim jakaś powaga na twarzy, czyni Czerkiesia wyobrażeniem zupełnem i doskonałem rycerza wolności.

Przepędziłem pomiędzy Czerkiesami dni kilka z przyjemnością, a mojemu u nich pobytowi dodawał wdzięku szacunek, który miałem dla tego rycerskiego narodu; tęgi to naród. Poznałem ich zwyczaje, tyle ile można było, widząc ich i wypytując się o wszystko; chciałem widzieć ich żony, powiedzieli, że nie można: a córki, powiedzieli, że je zobaczę, jak przyjdzie *Bajram*, święto obchodzone rycerskimi igrzyskami i tańcem.

Obyczajem muzułmańskim, wolno im mieć tyle żon, ile się podoba; ale nie mają więcej jak po kilka, bo muszą je kupować; na żony kupują córki swoich przyjaciół; cena zależy od urodzenia panny i od znaczenia kupującego; i tak np. *Mirza* musi dać za żonę 500 baranów, *Bimirza* 200 koni albo i więcej; stąd powiadają: kto z nas ma córki, ten bogaty, a kto synów, ten ubogi, bo im jeszcze musi żony kupować.

Nadeszło też i święto *Bajramu*, na które pojechaliśmy z wód gorących do najbliższego *aułu*. Pode wsią zebrali się liczni Czerkiesi; jedni uganiiali na koniach do mety, drudzy strzelali do celu, i pieszo i z konia: z konia w naj-

większym pędzie trafiali z króciocy do czapki rzuconej na ziemię, albo ze strzelby do deszczulki mniejszej jak ćwiartka papieru, a przytwierdzonej do tyczki na kilkanaście łokci wysokiej; ten ostatni sposób strzelania jest najtrudniejszy i do niego przywiązane są największe nagrody; czasem cały dzień strzelają i nikt nie trafi. W roku przeszłym mój brat Edward wygrał tę nagrodę; było to kilkanaście sztuk złotej i srebrnej monety w worku skórzanym. Najpiękniejsza dziewczica czerkieska oddawała nagrodę; wziął worek, a pieniądze zostawił temu co pierwszy po nim trafi. Czerkiesi dziwili się zarazem i zręczności i wspaniałomyślności polskiej. Ja chciałem zapróbować tego samego szczęścia, ale żem jechał z paniami, więc zwyczajnie, jak z kobietami, wybierania się było bez końca; przyjechaliśmy za późno — deszczulka była już prze-strzelona.

Po igrzyskach następowały tańce; muzyka nędzna, na dwóch dudach grano tańce i pieśni, których ani śpiewu, ani nawet taktu ulować nie mogłem. Dziewice czerkieskie strojne bogato, wystąpiły na stołeczkach cztery do sześciu cali wysokich, na które wstępują ile razy wychodzą z domu, i aż w domu je zrzucają; stołeczki te są nasadzone srebrem, złotem, kamieniami, podług możliwości każdego; otóż, dziewczice wysmukłe, na tych stołeczkach występują do tańca, i z nieporównaną zręcznością wykonują taniec najtrudniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Są u nich tańce popisowe, gdzie tańczą we dwie, albo pojedynczo; są tańce zbiorowe, gdzie i mężczyźni tańczą w sposób podobny do obertasa ukraińskiego, ale mniej żwawy.

Strój Czerkiesek jest okazały; mają dłuższą suknię z jedwabiu, krótszą z lamy srebrnej lub złotej, pas lity, głowę obwinętą w szal bogaty, z pod szalu spływają długie kosy, do szalu przytwierdzona zasłona cienka, w pół przeźroczysta, rękawy długie, suknia faldzista, ale w piersiach tak obciśnięta, że trudno pojąć, jak w takiej sukni oddychać można. Pytałem Czerkiesów czy wszystkie mają

podobny kształt ciała; odpowiedzieli, że wszystkie dziewczęta, że to jest u nich pięknoscia, że w dziesięciu albo dwunastu latach, piersi dziewcząt obszywają w skórę, którą dopiero mąż jej przecina. Czerkiesi mają oko czarne, spojrzenie głębokie, posępne, rysy twarzy pociągłe, pleć bladą, piękne są, ale Czerkiesi piękniejsi.

Czerkiesi w święto Bajramu występują w świątecznych strojach; żupan jedwabny, albo z lamy srebrnej lub złotej, po wierzchu rodzaj kontusza, ale bez wylotów, najczęściej granatowy, czasem ponsowy, obszywany taśmą srebrno-złotą, spięty na haftki, a rękawy dłuższe na ćwierć łokcia od ręki; na piersiach ładunki srebrne lub złote, wyrabiane sztuczną robotą, zawieszane na łańcuszkach, chowają się do pól w kieszonki z tasem; szyja goła, broda krótko i ostro ścięta; na ogolonej głowie albo mała czapeczka taśmami wyszyta, albo większa z baranem lub innem futrem wokół, mogącem się zwiesić na oczy; taka czapka służy mu za helm spuszczaany; gdy baran srebrnej białości albo kruczej czarności spłynie w jedwabnych pierscieniach na oczy, a burka najeżona włosem wysoko, natenczas nikt Czerkiesa nie pozna. U wąskiego paska, wybijanego guzikami srebrnymi, wisi *kindżał*, krzesiwo i kilka narzędzi do opatrywania broni; *szaszka* bogato oprawna, przewieszona na jedwabnym sznurze przez prawe ramię na lewy bok, ostrzem do góry, żeby się ostrze nie tępiło. i żeby jednym zamachem i szablę dobyć i ciąć można było; na lewo zawieszane krucice, wetknięte z tyłu za pas; czasem zamiast strzelby luk na plecach; strzelbę wieszają przez plecy w bardzo wygodnych pochwach z burki robionych, tak że strzelba nigdy nie zmoknie, w pędzie nie tłucze o plecy, a wkłada się i wyjmuje bardzo łatwo; na szyi na jedwabnym sznurku zawieszony rodzaj kaptura, zwany *baszłyk*, który w czasie sloty nakładają na czapkę, a deszcz spływa po nim na lśniącą burkę, a po ślizkiej burce na ziemię; obuwie mają bardzo obciśnięte, raczej nogi bardzo kształtne; po wierzchu szkarpetek safiano-

wych, noszą trzewiki safianowe bez osobnych podeszew; obuwie to byłoby niewygodne do chodzenia po bruku, ale po komnatach wysłanych kobiercami, albo po stepach wysłanych miękkim kwiatem, bardzo wygodne; zresztą Czerkies chodzić nie lubi, i prawie na krok z domu nie ruszy inaczej, jak konno.

Czerkiesi tak uzbrojeni, a konie ich tak osiodlane, że nie ani dzwoni, ani brzęczy, i jadącego jeźdźca nie słychać: bo też sposób ich wojowania na tem polega, aby napaść, zabić, zabrać i uciec, nie narobiwszy hałasu. Często dwóch, trzech, wpada na cały pulk, czy to jazdy, czy to piechoty, zsadzą z koni dowódców i w nogi; jeśli ich nie zabijają, puściwszy za nimi pięćset kul, to już i nie złapią: utonął Czerkies w bujnych burzanach, i kiedy za nim gonią, on goni za goniącymi i kogo może urywa z oddziału.

Ciąg nieprzerwany podobnych czynów stanowi u nich wojnę. Zateśkni się Czerkiesowi w domu, albo zasłyszysz o pięknej trzodzie lub pięknem stadzie, zaprasza kilku sąsiadów, jedzie z nimi na wojnę, i albo życie utraci, albo ze zdobyczą wróci. Jest część Czerkiesów uśmierzonych; ale znoszą się oni z Czerkiesami niepodległymi i razem z nimi odbywają wyprawy, a po wyprawie spokojnie do domów wracają.

Powróciwszy z moich przejażdżek, zastałem już u wód pełno ludzi; co też to za zbieranina! Ormianie suną w długich sarafanach; Pers wspaniały przechadza się poważnie; mnóstwo różnych ludzi kręci się po ulicach; u tego szykowna kibić, ten wygląda jak małpa, i taki chudy, i taki szpetny, dalej toczy się zapasiona kupcowa, co przyjechała próbować czy nie schudnie; tu znowu ktoś kuleje; stamtąd kogoś niosą; tu przemknął kształtny powóz, a za nim polotne zasłony piękności, co przyjechały umilać czas leków starym rodzicom: po ulicach stoją namioty, przy namiocie koń, a w namiocie Czerkies sprzedaje

burki, nahajki, czapki, siodła, noże, *kindżały*, czerkieskie stroje z wielbłądziego sukna, albo perskie tkaniny z mieniącego się jedwabiu.

Na górze zakoczowali Kalmucy; dla nich osobne źródło, osobna wanna, osobny świat; nie schodzą na dół do mieszkań ludzkich, bo wszystko mają z sobą; Kalmuk na koniu siedzi i konia je. Szpetneż to i obrzydliwe postacie; twarz barwy miedzianej, szeroka, spłaszczona, czoło niskie, oczki wąskie, jak gdyby je kto tylko osoką otworzył; cały dzień albo pluszczą się w wannie, ile się ich zmieści, i stamtąd wyglądają jak żaby, albo też siedzą na słońcu i nie nie robią, albo oprawiają konia zabitego, krają go w lazanki i dziś wieszają na słońcu, żeby zjeść jutro, albo w tłustości końskiej skwarzą końską chudość, albo w pęcherzu końskim kwaszą końskie mleko. Obok Kalmuków, jakby paszcza góry, jaskinia co poszła w przepaść; rzucić w nią kamień, kamień się tłucze po bokach, już go nie słychać, a jeszcze dna nie doleciał, jeszcze po załomach budzi nietoperze, które jak wodotrysk, jedne po drugich ciskają się z tej przepaści w górę, a zajrzawszy słońce, jakby nieżywe nazad wpadają w otchłań.

U wód kaukaskich z rana śliczna pogoda; dziewczęta pobliskich siedzib, a mianowicie z osad angielskich, przynoszą prześliczne warzywa, kwiaty i najprzedniejsze owoce; Czerkiesi uwijają się na koniach, wołając: *kupuj*; starych i słabych niosą do cudownych kąpiel; młode niewiasty wychodzą na pierwsze piętro góry, ozłocić spojrzenie promieniami słońca, napoić westchnienie rozkoszną wonią, rozegrać duszę i serce cudnym a niestałym widokiem; a ja na koniu uganiając po górze, spojrzę raz na góry, dwa razy na dziewczęta; one skiną na mnie białymi chustkami, ja myślę, że to anioły wołają białem skrzydłem, koń mój jeszcze pędzi, a ja już przy nich.

W dzień skwarno, każdy się schował przed słońcem, chmury uciekły, i wiatr co je gonił sam uciekł, a może zmęczony się zasnął; jeleń się chłodzi u źródła, koń

się w trawę schował, ptaki ziewają pod zieloną zasloną, człowiek zamknął się przed słońcem; w domach ciemno, jak w nocy, wszędzie ciszej, jak w nocy, a to południe.

Pewnego wieczora, próbując sławnego konia czerkieskiego, którego chciałem kupić dla mego ojca, wjechałem na wierzch góry, a pod tą górą źródło, z którego pija siarczaną wodę. Góra od strony źródła ścięta prawie prostopadłe, zarosła drobnym krzakiem; z tej góry patrząc jak w przepaść, zająrzałem już mnóstwo ludzi u źródła. Muzyka pułkowa gra jak umie, słabi przechadzają się jak mogą, a panie strojne jak pawie, jak pawie wdziękiem, tak one pysznją się naprzód stopniem, potem bogactwem, a na końcu urodą: wszystkie mnie знаły, bo byłem jeden tylko, i młody, i Polak. Spojrzały ku mnie, a widząc mnie nad urwiskiem, zadrżały i zamachały wachlarzami swymi, jak gdyby chciały mnie zdmuchnąć z tej góry: zaśmiałem się, skloniłem się pięknie, a odkrywszy ścieżkę, którą nie wiem, czy woda wylizala, czy kozy wydeptały, puściłem nią mego konia; koń idzie śmiało, przysiadła, sunie się, jak gdyby na saniach, a drobne kamyczki potoczyły się rozpędzać ludzi. Muzyka grać przestała, starzy posiadali ze strachu, młodzi podbiegli pod górę, jakby na ratunek, kobiety modliły się, a wszyscy patrzą jak na opętańca. I mnie strach przejął. Spojrzę, na prawo i na lewo same przepaście, a konia niema gdzie wstrzymać, niema gdzie zawrócić; kilka razy przesuwając się koło krzaku, chciałem skoczyć z konia, chwycić się gałęzi, ale mnie wstyd patrzących; miłość własna, jak to często bywa, pokonała strach, rozum konia poprawił głupstwo moje i oba szczęśliwie zsuwaliśmy się; kiedy już byłem prawie u dołu, zająrzałem ścieżkę na lewo, targnąłem konia, machnąłem nahajką, koń skoczył, i z pomiędzy krzaków jak z procy wyleciał, i dalej między góry pogonił jak szalony; znowu obiegłem ową straszną górę, i jakby posąg stanąłem na jej wierzchołku. Muzyka gra, a ja myślę sobie: to na ciebie moja; gwar ludzki czasem mnie doleciał, a ja my-

ślę sobie: to o mnie gadają. Taka to była głupia, choć niewinna próżność moja.

Służąc wiernie próżności mojej, starałem się podobać wszystkim paniom; jednym grałem na klawicymbale, drugim czytałem wiersze francuskie, tych rysowałem wizerunki, z temi tańczyłem, z innymi na koniach hulalem, a wszystkim prawilem koszalki opalki: wszystkie też mnie lubiły, piękne i brzydkie, młode i stare, od każdej miałem upominek osobny, a wszystkie razem pas dla mnie uplotły.

Po kilku tygodniach pojechaliśmy z wód gorących do wód kwaśnych, sześć mil stamtąd; a nim wszystkie panie tam przyciągnęły, ja do nich na rozstawionych koniach latałem jak opętany, jednego dnia tam i nazad, bez potrzeby i bez celu. Nakoniec wszyscy się zbiegli do wód kwaśnych; tu już się przyjeżdża na wzmocnienie po kąpielach siarczanych, a więc już wielu zdrowszych, już weselsze twarze i miejsce też weselsze. Niema tu gór wyniosłych, ale są wysłane ślicznym kwiatem i co dni kilka, jakby zmieniały kobierzec, zmieniają barwę swych kwiatów; dziś ta góra czerwieni się kwiatami, za parę dni przybiera barwę niebieską, potem mieni się w żółtą, to znowu jakby tęczę; opasuje różnobarwną wstęgą. Tu powietrze tak lekkie i wonne, że się go nachwytać nie można; rano i wieczór spadająca rosa, jak gdyby manna niebieska, ożywia trawę i ludzi; to też nigdzie tak zdrowo ludziom, nigdzie tak bujna trawa, tak rozkoszne łąki, tak strojne góry, tak pełne kwiaty, tak wyborne dzikie owoce, jak u wód kwaśnych. Tu i południe mile, bo jak rosa co wieczór, tak około południa codziennie deszczu orzeźwia powietrze; a choćby deszczu nie było, to człowiek znajdzie chłód i przy bujnym strumieniu, i w półciemnych jaskiniach, i pod cieniem drzew pięknych, i nakoniec u cudownego źródła wody kwaśnej, co tak wre gazem, że aż odbryzgi rozrzuca wokoło, co rozkosznym smakiem swoim

wabi spragnione usta, a taka lekka, że można ją pić bez miary, a taka dobra, że ktokolwiek w jakiegokolwiek porze około niej przechodzi, zawsze się jej napije; doskonała z winem, wyborna z cukrem albo sokiem owocowym, a sama najlepsza; cudowna woda — Czerkiesi mówią, że jak Bóg tworząc świat zmęczył się, to się tej wody napił. I między Czerkiesami są poeci. Poznałem z nich jednego, co uzdy i nahajki przedawał, a jak kupca nie było, to po arabsku wiersze pisał, i mówił, że bardzo piękne, a w tem podobny do europejskich poetów. Pokazywał mi ogromny poemat, w którym opisał całe dzieje Czerkiesów od stworzenia świata; muszą być bardzo dokładne te dzieje, bo mi znowu pokazywał rodowód swój napisany na papierze wązkim a długim, jak sto łokci wstążki; cały ten papier zapisany nazwiskami, na czele nazwisko Adama, a na końcu nazwisko tego Czerkiesa, a nazywał się Czyhir-Much.

Źródło wody kwaśnej jest na kilka łokci długie i szerokie, bardzo głębokie, a tak obfite, że woda bieży zeń ciągle do kilku ogromnych wanien, a oprócz tego tyle jej odchodzi osobnem korytem, że na niem możnaby młyn postawić. Wanny są tak duże jak pokój, bo w małej niktby nie usiadł; wskoczywszy do wielkiej wanny, lata się po niej mimowolnie, bo zewsząd zimno wypędza, wszędzie zimno goni, a gaz szczypie, jak gdyby kto w mrowisku utonął; więc człowiek w dziwnych płasach, a tu mu jeszcze na głowę leją deszcz z tej wody, dopieroż zęby dzwonią, jak dzwony w cerkwi na Wielkanoc; po dwóch minutach człowiek zadyszany wymyka się z kąpieli, drży jak listek, podzwania jeszcze zębami przez parę minut, a za chwilę cały płonie gorącem, i radby drugi raz wskoczyć w wodę, ale nie wolno: gorąco to prędko przemija, a potem cały dzień tak zdrowo i rześwo, że się chce latać i zajrzawszy sępa, co tam zawsze krąży, zbiera ochota sięść na niego.

Nie mogąc latać na sępie, lata się na koniu, nie mo-

gąc bujać w powietrzu, buja się w tańcu; urok tanecznicy porywa zmysły, szal tańca oszołomi na chwilę, a jak tanecznicza odskoczy, taniec skona, znowu tęskno, jak przedtem, a może i tęskniej. Nie warto tańczyć, tak jak pić nie warto: a jednak jak pijak za szklanką, tak młodzieź tęskni za tańcem.

Pojechałem raz na wielki jarmark stepowy.

Przy lichej mieścinie, daleko w step, rozrzuciły się namioty, w namiotach błyszczące a liche towary, pomiędzy namiotami snują się Ormianie, Cygani z końmi, niedźwiedziami, a lud upstrzony w różnobarwne odzienia, gawroni się; za namiotami dalej w stepie, ogromne stopy ogromnych kawonów astrachańskich i krymskich, jeszcze dalej tabuny koni kalmuckich, oganiając się od bąków, machają głowami i ogonami, a jeszcze dalej wielbłądy obległy wokół i pilnują, żeby jarmark nie uciekł. Cygani uwijają się na pijanych szkapach; myślisz, że to szatan nie koń, tak cygan sili się, żeby go wstrzymać, a czasem niby dosiedzieć nie może i pada; kupże tego konia i siadź na niego jutro, kiedy się wytrzeźwi, to będziesz na nim siedział, jak na posągu, ani ruszysz z miejsca.

Chcesz koni do lekkiego uprzęgu, kupuj czarnomorskie; chcesz konia do chartów, kup ze cztery kalmuckie, to jeden ci się uda, a trzy podpali się i zdechnie. W całym tabunie jedna cena, wybierzesz którego, już arkan na szyi, koń w step umyka, Kalmuk za nim, obwinał arkan koło nogi, ściąga go powoli, наконец dusi i wali na ziemię; jeden Kalmuk porywa konia za uszy i kręci je w leszczotach, drugi w mgnieniu oka, osiodłał, okielzał i siada na niego; jak już siadł dobrze, puszczają go; koń nie wie, co się z nim dzieje — wstanie — furknie raz, drugi — strzepnie się i kiedy rozmyśla, jakby tu wyrwać się z pod jeźdźca, jeździec spina go ostrem strzemieniem, a dwóch Kalmuków z tyłu okładają nahajami; bryknie, wierzgnie, a nahaje jak grad lecą; niema innej rady, jak

zmykać, więc goni w step, Kalmuki za nim, a on zmyka — póki równo biegnie, niema nahajów, ale jak tylko chce skrócić, albo się zatrzymać, albo jeźdźca zrzucić, znowu nahaje; jak jeźdźca nie słucha, nahaje, i w pół godziny takiej łagodnej nauki, Kalmuk wywija koniem, jak chce, wraca stępą, i to ma już być koń ujeżdżony; siadźże jutro na niego, a będziesz rad.

Wracając z jarmarku, spotkałem tabun dzikich koni; popielate z czarną pręgą, z czarną grzywą i czarnym ogonem, małe, ale tak lotne, że ich żadnym koniem nie dogoni. U jednego pułkownika kozackiego widziałem dzikiego żrebca, co był złapany małym loszatką, niezmiernie był trudny do ogłaskania i jeszcze nie jeżdżony.

Wracając z jarmarku, jużem się do gór zbliżał. Po wielkim upale, chmury z gór powstały, wiatr gnał je w stepy; Czerkies, co był ze mną, kazał czempredziej zjechać z drogi na wzgórek; tylko cośmy się nań wdrapać pospieszyli, sto piorunów rozdarły chmury, woda polala się strugami, w mgnieniu oka step wodą zapłynął, i stał się jak morze. Chmury spuszczały się coraz niżej, jak gdyby ziemię polknąć chciały, zrobiło się ciemno, jak w nocy, — pioruny strzelają, grzmot trzaska, jakby się niebo pękało, — błyskawice migają, jak gdyby już ostatnie światło dogorywało — straszna ciemność, ale straszniej widzieć, co się w niej dzieje: konie drżą ze strachu, ludzie osłupieli, pobledli, usta nawpół otwarte a milczą; kamienie z gór toczyły się z łoskotem, jak gdyby już góry zapadać się miały. Woda szumi a szumi, wiatr wyje a wyje. Tak musiał się potop zaczynać. Tak trwało godzinę. Wylała się chmura, i w mgnieniu oka wody ze stepu uciekły, czyste niebo, zielone góry i pola, jakby się wszystko umyło: jasne i ciepłe słońce promieniami swymi osuszyło i rozświetliło świat cały, a wdzięczna ziemia rozwinęła przed słońcem całą swą krasę, posłała mu całą wonność swoją.

Niecierpliwie oczekiwany i wdzięcznie witany, wróciłem do rozkosznego pobytu wód kwaśnych. Tam zdawało się, że na niczem nie zbywa. Kraj rozkosznie piękny, konie jak ptaki, polowania obfite w sarny i bażanty, owoce wyborne, cudne kwiaty, cudniejsze jeszcze dziewice, i wszyscy mi radzi; a jednak tęsknota jakaś obwijała mnie zawsze, jakby mgłą jaką, która mi zasłaniała to szczęście, co mnie otaczało. Kiedy noc uciszała dzienną wrzawę, kiedy starzy i słabi już drzemią i śni im się, że młodzi i zdrowi; kiedy młodzi hulają jeszcze, jak gdyby nigdy postarzyć się nie mieli, ja wybiegałem na górę tęsknić. Tęskniłem, bo to nie moja kraina. To też szczęśliwą mi była chwila wyjazdu, a jeszcze szczęśliwszą chwila powrotu do domu.

ROZDZIAŁ VIII.

Jubileusz w Granowie.

Wróciwszy do domu, zastałem jeszcze obchód jubileuszu w Granowie. Była to sąsiedzka plebania nasza, a plebanem w owym czasie był ksiądz kanonik Jan Markiewicz. Mąż w samej sile rozumu i wieku, postawa jego poważna i ujmująca, obejście się szczerze i proste, ze wszystkimi równo poufałe; dla wszystkich wylany i sercem, i głową, i wszelką pomocą; zawsze ubogi, bo swymi dochodami uczył dziatwę, wychowywał sieroty, wspierał chore i wdowy; a taką miał spokojność duszy, że gdzie zawitał, wszędzie niósł z sobą pokój i wesele, wszędzie go czczono jak ojca, witano jak brata, bo wszystkim był ojcem i bratem. Poznałem tego zacnego pasterza u mojej matki, i zaraz polubiliśmy się wzajemnie; on był moim spowiednikiem, stróżem mej duszy, więc z tem większą skwapliwością pośpieszyłem na jubileusz do Granowa.

Obchód jubileuszowy zawierał się w pięciu dniach ciągłego nabożeństwa i nauki; a dla dogodzenia pobożnym, Markiewicz dwa takie obchody jeden po drugim naznaczył: kto na pierwszy przyjechał, został i na drugi; tak przykładowe nabożeństwo, tak budujące nauki, tak pocieszające słowo Boskie, kiedy je niosą usta wybrane, kiedy je przyjmują skruszone serca. Wymową Markiewicza była prawda i miłość. On nie straszył Bogiem, ale do Boga

przynęcał, a jak nauczył wiary, nadziei i miłości, to bojaźń Boska sama się znalazła, bo chrześcijańska bojaźń Boska pochodzi z miłości Boskiej i jest miłością. Obchód jubileuszu w Granowie uczynił na mnie serdeczne wrażenie i na długi czas otarł rdzę zepsucia i zaniedbania z uczuć religijnych, co wykołysały całą młodość moją. Jakież bo to widok rzewny i nadziejski, kiedy lud napelni cały kościół, i cały kościół oblegnie, kiedy pochyli korne czoło i słucha głosu kapłana wołającego do Boga, kiedy leje łzy pokuty i żalu, i jednym głosem wzniesie pieśń Bogu na chwałę, sobie na zbawienie. Zdaje się, że w tej uroczystej chwili wspólnego natchnienia niebo się otwiera i anioł pociechy i zgody zstąpił pomiędzy lud Boży, bo nieprzyjaciele podali sobie ręce, a wszyscy darowali sobie wzajemne urazy i winy, bo wszyscy pokochali Boga i w Bogu każdy pokochał wszystkich. O gdyby to zawsze trwać mogło, byłby raj na ziemi! Po skończonym jubileuszu jakaś spokojność i radość objęła wszystkich obecnych, każdy zaweselił się anielską wesołością, bo u każdego czyste sumienie, w każdym zamieszkał Chrystus, a Chrystus dopoty w nas gości, póki sami chcemy.

Wspomnę tu o innej wielkiej uroczystości w Granowie. Ksiądz Markiewicz doniósł księciu Czartoryskiemu, że potrzeba nowego kościoła; pobożny dziedzic Granowa ucieszył się, że może nową Bogu zanieść ofiarę, wnet rozkazał budować świątynię Pańską, a szambelana Jaroszyńskiego uprosił, aby go zastąpił przy obrzędzie położenia kamienia węgielnego. Pan szambelan zaszczytnie spełnił, co mu książę przyporuczyć raczył; przywdziawszy świąteczny kontusz i żupan, zjechał z licznym dworem, suto częstował obywatelstwo, co tłumnie się zgromadziło na wielki odpust. Zbiegowisko wrzało przez parę dni świętobliwą wesołością, bo ma być obrzęd wesół; dawno niewidziani przyjaciele spotykali się radośnie u wrót kościoła albo przy gościnnych stołach; serdeczność, szczerota i swo-

boda na wszystkich twarzach, bo tu pobożność we wszystkich sercach.

Przez dwa dni lud pocziwy oblega stary kościółek, modli się z wiarą i z wiarą bierze odpusty; trzeciego dnia ze wszelką okazałością kościelną, uroczystym pochodem ciągnie na wzgórze, gdzie miał stanąć nowy kościół. Bija w dzwony, chorągwie powiewają poważnie, lud płynie spokojnie; kapłan otoczony sąsiednim duchowieństwem, postępuje powoli z Ciałem Bożem, pod litą oponą, dzwiganą przez najpoważniejszą starszyznę: wstąpił na wzgórze, zaczął pieśń cześci, a lud ją porwał na swoje głosy i wznosił pod obłoki, a rozbijanie się dzwonów wtórzy tej pieśni; lud przykleka, chorągwie pokłon oddają — kapłan błogosławi Ciałem Bożem. Wszystko ucichło, a ksiądz Markiewicz tak mówił:

«Kto Bogu stawia dom na ziemi, ten sobie dom w niebie buduje, a na ziemi jeszcze Bóg błogosławi mu w rodzie i na pokoleniu jego. Starzy ojcowie nasi byli skorsi od nas w chwale Bożej, w pożytku ludzkim, to też Bóg dawał im sławę i potęgę, i błogosławił ich ziemicy, dopóki oni z żywą wiarą i nadzieją, a z gorącą miłością błogosławili święte Imię Jego, dopóki z synowskim posłuszeństwem strzegli prawa Jego. A gdy się zaprzali Imienia Pańskiego, zapominając swojej wiary i swoich obyczajów, Pan długo przebaczał, długo napominał, наконец pokarał ich srodze a sprawiedliwie, i to karanie zostawił na synach, dopóki się nie obaczą, a nie powrócą na drogę zbawienia. Ale my wolim drogę świata, bo to, co świat ma, widzimy, a to, co Bóg zgotował wiernym swoim, tego nie widzimy, ani też słyszymy obietnic Jego. Nie widzimy i nie słyszymy, przebóg! bośmy oślepli na duszy, ogłuchli na sercu; bośmy uciekli od światła wiary, a otoczyli się ciemnością bydląt, co tylko o ciele swoim mają staranie.

«Dawniej, ojcowie nasi pierwsi myśleli o duszy, jak o ciele; pierwsi stawiali Bogu świątynie, aniżeli sobie zamki i grody; pierwsi zakładali schronienia dla nędzy

bliźniego, aniżeli wymyślne gmachy dla zbytków własnych. Dawniej, często obok wspaniałego kościoła stał skromny dworek dziedzica, i tak przystoi; dziś obok wykwintnych zamków próchnieją i chwieją się od wiatru nędzne kościółki. Dawniej, bogactwa skupiały się na ołtarzach Pańskich; dziś pleśnieją w skrzyniach skąpców bar dziej, jakby we wnętrznościach ziemi, albo je wiatr rozpu- sty roznosi, rozmiata, i niema po nich śladu, jeno w pust- kach marnotrawcy, jeno w upadku i nędzy dzieciństwa jego. Przy dawniejszej rządności, szczodrośliwości i hojno- ści ojców naszych były dobre czasy; a dziś i marnotra- wnik i sknera wołają: «Złe czasy!» Zaprawdę, złe czasy, bo ocieżyła nad nami karząca ręka za winy ojców, za na- szą oziębłość w służbie Bożej, za naszą nieczułość na nę- dzę ludzką. Nam trzeba odplacić za winy ojców, a my jeszcze swoje dorzucamy do ciężaru klęski, co naszym niedbalstwem spadnie na syny nasze.

«O niebaczn! pod bokiem walących się świątyń Pań- skich, jakby na urągowisko rozszerzacie swe gmachy, bo w nich za ciasno dla dumy waszej, niema się gdzie roze- przeć. Pod okiem nędzy bliźniego, jakby na urągowisko, rozwijacie wasz zbytek. Chcecie, aby Bóg wejrzał na was okiem miłosierdzia, a niechże kto do was po ofiarę zawoła, niech o wsparcie prosi, odwracacie zimne oblicze wasze; a sami przed sobą tłómacząc się z niemiłości waszej, po- wiadacie, że to co macie mało jest, bo drudzy mają wię- cej. Ja wam powiadam, że wiele macie, skoro są tacy, co od was mniej mają. Dziś powiadasz, że to, co masz, ledwo ci wystarcza na życie, bo ledwo masz dwudziestu ludzi i sto koni na twoich usługach; a jak ci Bóg odbierze twe mienie, jak z możnego pana przejdiesz na ubogiego słu- gę — a gdzież tego częstsze jak u nas przykłady — wten- czas wykrzykniesz: O! gdyby mi choć setna odrobina da- wnego mienia, miałbym się jeszcze czem dzielić z uboższym bratem! Nie czekaj więc, aż ci Bóg odejmie twe dobro, a sam nieś je Bogu na ofiarę, bliżniemu na wsparcie.

«Widzimy codziennie, jak ten strwonił majątek na grach i rozpuszcie; tamtemu wszystko odjęła chciwość, co godzi na cudze; ten z ogromnych bogactw już ostatkiem goni, a jeszcze się pienia; tamtego nierząd i zbytek wygnał z własnego domu, i syny jego po świecie rozpędził, a nie widzimy nigdy, aniśmy też kiedykolwiek zasłyszeli, aby kto stawiając kościoły, albo domy dla starców, chorych lub sierót, popadł w ubóstwo i nędzę; bo Bóg błogosławi tym, którzy mu służą, a karmią i odziewają Go w ubogich Jego; bo wszelkie rachuby ludzkie prędzej później zawodzą, a łaska Boska trwa wiecznie. Starajmyż się o tę łaskę dla siebie i dla następców naszych, idąc śladem czcigodnego księcia Adama Czartoryskiego, w którego starożytnym a świetnym domu, razem ze krwią wielkich królów naszych przechowały się ich wielkie cnoty, w którego starożytnym domu zamożne skarby, zamknięte zbyt komu i marnotrawstwu, zawsze otwarte były ubóstwu, nauce, a nadewszystko chwale Bożej.

«Przy dzisiejszej uroczystości cieszymy się cnotami naszego księcia; dziękujemy Bogu, że pośród nas postawił taki wzór cnót chrześcijańskich i obywatelskich. Prośmy Boga, aby nam pozwolił szczęśliwie dokończyć kościół, któremu dziś kładziemy węgielny kamień; a dla zasłużenia na miłosierdzie Boskie, uświęcajmy się cnotami Chrystusowemi, ażeby czyste a ogniem miłości i wiary gorejące serca nasze stały się kościołem Stwórcy wszechrzeczy i Zbawiciela naszego. Amen».

ROZDZIAŁ IX.

Ślub siostry.

Z jubileuszu hurmem całe sąsiedztwo zjechało się do Hruśki, jakby na pielgrzymkę, dla uczczenia pobożnej i świątobliwej siostry mego ojca, co wśród ogromnych bogactw pędziła życie pustelnicze. U niej w domu zawsze pełno gości, często i huczna zabawa; mąż jej, sędziwy starzec, pociesza się jak może w tem nieszcześciu, że nie ma komu zostawić swych bogactw, a ona trawi dni i noce na modlitwie dla przeblagania Boga za syna, co był jedyną jej pociechą, co zaświecił wielkimi nadziejami, kochał matkę nadewszystko, a zakrwawił jej serce na wieki, odbierając sobie życie w jej własnym domu. Poczciwa kobieta, z natury żywa i popędliwa, z losu pani ogromnych włości, przez cnotę chrześcijańską stała się wzorem cierpliwości i pokory, martwiła ciało, odmawiając sobie wszelkich wygod, a krzepiła duszę ciągłą jałmużną i modlitwą. Stajnia pełna okazałych cugów, wozownia pełna złocistych powozów, stoły gościnne uginały się pod srebrem, komnaty bawialne przeglądały bogactwa swoje we wspaniałych zwierciadłach, jaśniały rześkiem światłem; a ona chodziła zawsze piechotą; zawsze albo modli się w kaplicy, albo w ubogim pokoju swoim, przyjmuje odwiedziny licznych rodzeństwa i częstych gości.

Po kilku dniach hucznego pobytu w Hruśce, jadąc

rubinowym ogniem płoną, rozświeciły szeroką lunę i zaróżowiły śnieg spadający szerokimi płatami. Ściele się droga, dobre będą kontrakty. «Zajeżdżaj!» — dzwonki zadzwoniły, śnieg zachrupotał, kozacy z kagańcami wylecieli za bramę, sanie pomknęły jedne za drugimi — a za nimi powlokły się długie cienie. W głębokiej budzie, w niedźwiedzych szubach, z wilczurą w nogach, śpi się doskonale na skórzanych poduszkach aż do białego dnia; dopiero popas. Rejwach w karczmie, żyd dostał w kark parę razy od kucharza, kozak za pejsy parę razy targnął i w mig wszystko jest, czego potrzeba. Po popasie jedzie się dniem, a że liczne grono, więc wesoło; z sani na sanie przeskakują, strzelają, bawią się, panowie sami powożą; z góry sanie poszły w zatokę, wyrwali się; dopieroż śmiech! Ten już otrzepuje się ze śniegu, tamten jeszcze w kozłach, podnieśli sanie i dalej ruszają, gwarząc, strzelając i wywracając się aż do noclegu. Coraz więcej sani spływa z różnych dróg na wielki szlak; zbliżając się do karczmi, nuż wyprzedzać się; kto pierwszy zajędzie, zdobywa karczmę dla swojego grona; pełna karczma, drzwi zatarasowane, nie puszczamy nikogo; a tam krzyczą: «Otwieraj, żydzie, bo karczmę zapalę!» Żyd w strachu, a my się śmiejemy.

Ognie płoną na kominach i w kuchni, przysmażają bigosy i zrazy, zgrzeją piwo ze śmietaną, zgotują kaszę obwarzaną i wnet obiad wyborny. Szlachta jedna gra w karty, druga strzelby myje, a wszyscy gawędzą i śmieją się aż do późnej nocy. Przede dniem już wszyscy powstawali, już po herbacie, już wszyscy upakowani, i dalej w drogę. Im bliżej Kijowa, tem więcej sani; od Białocerkwi już szlak zawałony saniami, a z ostatniego noclegu od Wasylkowa, to już nie sanie za saniami, a czasem we dwa rzędy jadą, przeganiają się, bo droga szeroka, a tak ujeżdżona, że szkli się, jak lód.

O trzy mile od Kijowa widać już wieżę Zofijskiej Ławry, co najwyżej stojąc i sama najwyższa, dumnie pod-

nosi złotą głowę swoją; dalej jakby z pod ziemi wyrastają różne kopuły i wieżyczki, a wszystkie błyszczą potrójnym złocistym krzyżem.

Kijów rozparł się szeroko, a góry podzieliły go na trzy części. Bolesław ciał w złotą bramę starego Kijowa, i choć już niema tej złotej bramy, ale jest jeszcze mur z jej zwalisk, i każdy Polak, co pierwszy raz wjeżdża do Kijowa, myśli o tej bramie, i nim wjedzie do miasta, wstępuje do niej, choć nie po drodze. Na Peczerskiem, Zofijjski monaster, strzegą go pieczary pełne Świętych i twierdzą; na Peczerskiem także, gmachy rządowe, a na Padole kontrakty. Tam cały ruch, tam ogrzane domy czekają na gości, tam Izba kontraktowa, zabawy, muzyka, piękne wystawy zbytkowych towarów, tam najwięcej smażonych owoców w słojach, a pieniędzy w beczkach. Sanki lekkie pędzą we wszystkich kierunkach, a tak się zręcznie wywijają, jak karty w ręku kuglarza; zwoszczycy krzyczą, piszcza, rysaki kłusują, a skakuny wykręcone jak tancerki, chłodząc się kłębami śniegu sadzą w czwał; i tak cały dzień, i tak przez dni dziesięć.

Tyle ludzi w Kijowie; a jak kto nowy przyjedzie, w tejże chwili wszyscy wiedzą, i wiedzą, gdzie zajechał, bo każdy skoro przyjechał, wchodzi do Izby kontraktowej, a tam wsze wieści spływają wszystkimi ulicami i wszystkimi ulicami wypływają stamtąd na cały Kijów, a z Kijowa wszystkimi szlakami na całą Ukrainę. Wprawny szlachcic kontraktowy rozumie tę izbę, jak Francuz giełdę; wejdzie raz pierwszy, a po liczbie, po gwarze, po twarzach, pozna zaraz czy dobre kontrakty, to jest czy dużo pieniędzy, czy drogie dobra, czy jest kupiec na zboże i wódkę; a jak się raz taki szlachcic przejdzie po izbie, to już może całe kontrakty siedzieć u siebie, bo wie, co ma robić przez całe kontrakty, bo wie, że go znajdą, skoro się dowiedzą, że ma pieniądze. Jeździłem do izby kontraktowej, choć nie miałem tam nic do roboty;

bo się w niej spotyka i towarzyszków szkolnych i znanych ze wszelkich stron, bo tam młodzież cała. Gdzie młodzież, tam ruch i życie, tam się usłyszy i dowcipny żarcik; tam się dowiedzieć, gdzie jaka zabawa, gdzie będą świetne zapusty, gdzie panny piękne; a więc ruszam do izby kontraktowej. Zwoszczyk zajeżdża przed izbę aż zaburczy, wyskakuje się jak kto umie, wbiega się, albo wylazi się na schody; z obszernego ganku sto głosów woła sani swoich, a zwoszczyk tak uważni i wprawni, że kiedy zaledwie głos jego pana doleci, on już zajeżdża; po obszernym rynku dzielne konie sankami krzyżują, i nim do izby wejdiesz, patrzysz na uganiane sanki, jak na zręcznych harcowników. Obrócisz się ku izbie, a z izby jak z ula wychodzi szmer głuchy; snuje się szlachta; wejdiesz do izby, gwar, krzyk, wołanie, tłum ludzi, a ten tłum ciągle się odmienia i tak cały dzień i tak dni dziesięć. Po słupach izby poprzyklejane nazwiska wsi do przedania, albo do puszczenia w dzierżawę; poza słupami wokół izby kramy z rozmaitymi towarami. W końcu izby drzwi do izb sądowych. U tych drzwi wieczorem o zapaleniu świec staje woźny i wykrzykuje, kto komu w dzisiejszym dniu pomimo wyroku nie zapłacił; więc szlachta skupia się i słucha, naprzód dlatego, że ciekawa, potem dlatego, że *cudza bieda ludziom śmiech*, a na koniec, żeby wiedziała, komu nie pożyczać pieniędzy; a woźny matacz, jak mu dłużnik nie da, to po trzykroć wykrzykuje jego nazwisko tak donośnym głosem, jak poczajowskie dudy, a jak mu się opłaci, to raz tylko wymówi, i tak głosem zahuczy, że nikt nie zrozumie.

Cały dzień lata się za kontraktowymi robotami i po odwiedzinach, wieczorem idzie się albo na muzykę, albo na widowisko polskie, co tam z Berdyczowa przyjeżdża, albo też na tańce. W tym roku tańczono i u Fruzi; tańcowałem z nią, jak kiedyś, a pięć lat czasu zniknęło z pamięci.

W tym roku, jak i zawsze, najświetniejsze granie

Lipińskiego, bo on mistrz wielki, a do tego Polak, ulubieniec Polaków. Skoro Lipiński nie przyjedzie kiedy na kontrakty i nie zagra co polskiego z polską duszą i sercem, to zdaje się, że czegoś bardzo ważnego brakowało. Nie jeden szlachcic pierwszej jak o cenę dóbr i zboża, pyta czy jest Lipiński; skoro jest, wszyscy go rwą do siebie, ten na obiad, ten na wieczór; wszyscy go otaczają tą czcią, jaka się należy ludziom niepospolitym, a do tego swoim. W tym roku Lipiński był u nas na obiedzie, bo nas z nim zapoznał, jego i nasz przyjaciel Antoni Nowotny, a to za to, żeśmy obiecali nie bardzo go już wywracać, jadąc z Kijowa. Pan Antoni był człowiek pełen nauki i znawca sztuk pięknych, aleśmy go kochali więcej jak za to, za pocziwe jego serce i za przywiązanie ku naszej rodzinie.

Ostatnich dni kontraktów zwiedziliśmy przedniejsze cerkwie. Wiele jest w nich bogactw i dawnego smaku, każda prawie cerkiew ma swego Świętego; ale wszystkie bogactwa i wszyscy Święci zbiegli się do Zofijskiego monasteru. Tam cerkiew strojna zewnątrz dziewięciu złocistymi kopułami, wewnątrz wygląda jakby jeden klejnot; wszystko od srebra, złota i drogich kamieni, a palące się ognie migocą w nich różnobarwnem a błyszczącym światłem; wonność kadzidła zaprawiła powietrze, cichość do dała powagi temu miejscu, tak, że wchodząc, zazdrości się, że to nie kościół. Obejrawszy cerkiew, weszliśmy na wieżę; powietrze było czyste, dzień jasny; oko spojrzawszy ku dolowi, widzi obszar wielkiego miasta, co błyszczy wszędzie kopułami i potrójnymi krzyżami; widzi Dniepr ogromny, co się tuli do miasta, bo mu zimno, co spokojny, bo on śpi teraz; widzi przestrzeń niezmierną a białą, i tylko z jednej strony pocieniowały ją góry, z drugiej gdzieś tam poczerniły sosnowe lasy. Cudny to ma być widok w lecie, bo też cudne położenie Kijowa, alem go w lecie nie widział.

Zeszedłszy z wieży, poszliśmy do sławnych pieczar. Już czekano nas z zapalonemi świecami, wzięliśmy każdy świecę do ręki; szliśmy długo pod ziemią; ciekawość i mimowolne poszanowanie dla miejsca, któremu tyle milionów ludzi cześć świętą oddaje, zamknęły usta największych niedowiarków; milczenie ma zawsze w sobie coś tajemniczego, bo w milczeniu zawsze człowiek rachuje się sam ze sobą. W tem uroczystem milczeniu weszliśmy do pieczar; przy wejściu ci, co nas przyprowadzili, zostali; a czerńcy, co się modlą w pieczarach, strażnicy pieczar, słudzy Świętych, co tam mieszkają, wskazywali nam drogę podziemną; skorośmy weszli w ziemię, drogi podziemne strzeliły wązkami ramionami na wsze strony, z każdego ramienia nowe drogi rozchodzą się, krzyżują się, w nowe ramiona rozdzielają się, i tak się wiją pod miastem, a nieskończonym biegiem przechodzą na drugą stronę Dniepru. Pieczary te ogrzane milem ciepłem ziemi, pełne są czystego powietrza, a światło, które sam niesiesz, rozświeca ciemność i pokazuje ci błyszczące ołtarze, bogate zasłony, otwarte srebrzyste trumny, a w nich ciała Świętych owinięte w jedwabne, lite szaty; tu przez okienko widzisz Świętego klęczącego, dalej spotykasz ich razem po dwóch, po trzech; dalej siedmiu braci śpiących, co wystawili cerkiew Zofijską, przyszli tu, gdzie ich widzisz, pokładli się i zasnęli na wieki snem błogosławionych; dalej spotykasz św. Jana, co stał kiedyś, a z czasem wchodzi w ziemię, a gdy się cały zagrzebie, to się świat ma skończyć; dziś już się wkopał do piersi. Chodzi się po tych pieczarach przez parę godzin, i tylko małą ich częśćkę obejrzy się, a co krok nowy Święty, a nieomal przy każdym jakieś świętości do nabycia; przy tym obrazki, przy tej krzyżyki, przy tamtej pierścienie. Są, którzy mówią, że urywali tym Świętym słomiane palce, ja tego nie widziałem; ale wkrótce po mnie zwiedzała te pieczary ze swymi przyjaciółmi pewna pani, a zwiedzając śmiała się z prostoty tych, co wierzą w Świętych; w ciągu tej lekko-

myślnej wesołości zbliżyła się do świętej Barbary, na której palcach zawsze pełno pierścieni dla wiernych; płaci za pierścień i chce go zdjąć sama, jak inni czynili; bierze za jeden pierścień, pierścień nie daje się, próbuje drugiego, i drugi zejść nie chce, porywa za trzeci, i trzeci się opiera, ręka jej zakłękła, strach ją objął, przelekła się własnego życia i została pokutnicą.

Cerkwie kijowskie świadczą o dawnej zamożności tego miasta, i każą domyślać się, jaki to był Kijów, kiedy był stolicą; a spojrzawszy na kraśne Kijowianki, to i nie dziw, że Bolesław tu zagościł, że wojsko polskie tu zniewieściano.

Po dziesięciu dniach pobytu w Kijowie, skończywszy roboty, jak kto mógł, ten kupiwszy parę wiosek, ten przedawszy zboże, co się ma urodzić, ten oplakawszy czyjś straty dlatego, że sam na nich utracił, ten ograwszy się jak włoskie skrzypce, tamten zakochawszy się jak kot, a każdy nakupiwszy smażenin i kawioru, herbaty i cukru, śledziów i minogów i nowych książek, wraca do domu. Zmyka się do domu, kiedy sanna ginie, a kiedy trwa sanna, to się jeździ rzemiennym dyszlem, tu polując, tam tańcząc, wszędzie hulając.

Tylko co się wytechnęło w domu, tylko co się obleciało sąsiedztwo jednokonnemi saneczkami, co jak cień czwają za koniem, a już czas myśleć o ostatkach. Jedni ruszają do Winnicy, drudzy aż do Krzemieńca, a każdy pędzi w nowe sobie strony, po nowe piękności. W każdym większem miasteczku zapusty, ale i na wsi zapusty i te najmiłsze, bo wszędzie dobrze, a w domu najlepiej.

My tego roku nie szukaliśmy zapust, bo mieliśmy je u naszej matki. Siostra nasza już dochodziła lat ośmnastu, a ojciec nie chciał, żeby pierwszej szła za męż, więc zbliżał się czas szczęścia dla niej i dla Piotra Sobańskiego, co przez nią wybrany, czekał już dwa lata, bo z moim ojcem trudna była sprawa, co raz postanowił,

tego nie zmienił. Zbliżał się tedy czas, w którym moja siostra po raz ostatni powtórzyć miała swoje przyrzeczenie; a choć jej narzeczony był bardzo zacny człowiek i bardzośmy go lubili, jednak że nam szło o szczęście siostry a nie o to, żeby za męża poszła, próbowaliśmy jej przywiązania na wszystkie sposoby. Tośmy zmyślali, że ojciec powiedział, że jak będzie miała lat ośmaście, to pozwoli jej pójść za kogo zechce, aby nie za Piotra; tośmy udawali, że już panu Piotrowi znudziła się taka przewłoka i już nie wróci. Horcia w płacz, w mdłości, myśmy ją pocieszali, mówiąc, że młoda, łatwo męża znajdzie; stręczyliśmy jej młodych, ładnych i bogatych; nic nie pomagało. Woleliśmy ją męczyć tym sposobem, aniżeli żeby lekkomyślnie wybór uczynić miała; bo co za mąż, to nie do tańca; nie na chwilę, ale na całe życie; i to na życie i młode i stare, w szczęściu i w nieszczęściu. Ale moja siostra była stała w przywiązaniu swoim, warta była tak dobrego męża, jak Piotr Sobański. Pan Piotr przyjechał na dni kilka przed dniem urodzin mojej siostry; jeszcze raz oświadczył się ojcu i matce; w dzień urodzin były zaręczyny, a za parę miesięcy miało być wesele.

Dopieroż pół kopy szwaczek zasiadło do krosien, dopieroż za wyprawą posyłaj na wszystkie strony: i do Odessy, i do Brodów, i do Warszawy. Moją matkę odprowadziłem do Krzemieńca, tam spotkaliśmy Eustachego, który wracał z Warszawy z magistrowskim stopniem, z rozrosłemi barkami, jak gdyby Herkules jaki: wracał do domu z twarzą rozradowaną, dźwigać na tych barkach ciężar milego próżnowania i swobodnego wiejskiego życia. Nażartowawszy się z nim, ale ostrożnie, bo jak ścisnął za rękę, to krew z palców tryskała, wstąpiwszy po rozkazy do cioci, ruszyłem spiesźnie do Warszawy; tam w mgnieniu oka nakupiwszy co potrzeba: i brylantów, i cukierków, i jedwabów, i złota, i różnych czupiradel, sprawiwszy sobie kocz i klawicymbał, sam się ustroiwszy

jak należy, drapnąłem ku domowi, żeby i na czas stanąć i u cioci kilka dni zabawić.

Przyjeżdżam do domu; wybiegają wszyscy naprzeciwko mnie i naprzeciwko sprawunków; chciałem wszystko porządnie pokazać i oddać, ale gdzie tam; zrabowali mój kocz w mgnieniu oka, porozrywali tłumoki, poodbijali walizy, aby prędzej; porozrzucali sprawunki po wszystkich pokojach, a wszyscy razem gadają; to chwałą, to ganią, to jedna drugą stroi w kwiaty, w zasłony, i w co kto złapie; aż ze wszech stron wołają: niema czasu, niema czasu, i jakoś wszystko do porządku przyszło. A było już tylko trzy dni do ślubu.

Na dziedzińcu kończą na leb na szyję chwilowy gmach na uczty i tańce; w mgnieniu oka wyrosły wkoło niego i drzewa i kwiaty; drzewa i kwiaty wcisnęły się do obszernej izby, skromne drzewa po kątach stanęły, a ciekawe kwiaty pną się po słupach, wdrapały się na gzymsy, niektóre wieńcem splotły się, jak gdyby tańczyć chciały, inne spoczawszy na zwierciadłach, dziwują się swej krasie, inne wlażyły na sufit, poczepiały się po oknach i świecznikach. Już szkli się posadzka, już wszystko gotowe.

Pojazdy i cugi pana młodego spoczywają dzień cały, a nade dniem, żeby nikt nie widział, woźnice ujeżdżają konie i uczą je, jakimi płasami w dzień ślubu zatańczyć mają. Muzyka mego wuja ciągnie, jakby oddział wojska, za nią wozy z przyborem muzycznym, jak z bronią, ze strojną barwą jakby ze zbrojami, idąc przez wieś brzmi polskiego, stanawszy na dziedzińcu zwinęła się w kłębek, a z tego kłębka wywinęły się śpiewne dźwięki, świeże i czyste, jak panna młoda; zgodne, jak dobre małżeństwo.

Goście zjeżdżają się tłumnie; u wrót wsi stoją koczacy na koniach i rozprowadzają gości po dworach. Już wszystkie dworki zajęte; w każdym stroją się panie i panny, każdy dworek wnet ustrojony w kobierce i zwier-

ciadła, w adamaszkową kotarę i w srebrną gotowalnię; w mgnieniu oka każdy dworek zmienił się w świątynię dumania i wdzięków, a nad każdym, gdzie są goście, powiewa chorągiew. Gościnne konie spoczywają, a dworskie powozy gości rozwożą; młodzież niecierpliwa a grzeczna, odwiedza i konno i pieszo i powozami; ruch na wsi, jak gdyby w mieście w czasie ostatków.

We dworze cicho. Ksiądz Markiewicz słucha państwa młodych spowiedzi, uczy ich powinności małżonków i rodziców. Panna młoda płacze, pada do nóg matce, dziękuje jej za to, że ją wypielegnowała — płacze; przeprosza matkę za wszystkie jej kłopoty i trudy, za wszystkie uchybienia swoje i jeszcze więcej płacze; matka i córka płaczą, a jak ksiądz Markiewicz powiedział; «Opuścisz dom matki i ojca, a pójdiesz za mężem twoim», i matka i córka zachodzą się od placzu. Matka tuli swe dziecko, pan młody i bracia patrząc na to, milczą i płaczą, a kapłan świątobliwy słowami religii zabrania zbytniej czułości. Tak było dniem przed ślubem. Nikt panny młodej nie widział dnia tego; przeplakała i przemodliła noc całą, a nazajutrz ukłękła do ślubu z suchem okiem, bo już leż nie było.

W dzień ślubu pojazdy pana młodego wjechały z hałasem na dziedziniec, pan młody wyskoczył z pierwszego powozu; woźnice czwaniąc się końmi jak dziećmi swemi, objeżdżają wkoło; dyszlowe tylko ciągną, licowe idą w samych podskokach, naręczny forytarski podniósł labędzią szyję, jak gdyby czuł, że najpiękniejszy, wszystkie parskają na szczęście dla państwa młodych; a młodzież chwali dzielne konie i cieszy się jak swymi.

Okolo południa wszyscy zgromadzili się w bawialnej komnacie. Matka zajęła pierwsze miejsce; pannę młodą prowadziło dwóch braci, pana młodego dwie panny. Weszli, padli do nóg matce, matka błogosławiła; lza spokojna spłynęła po licach. Oderwaliśmy naszą siostrę od

nóg matki i przy odgłosie trąb i kotłów poprowadziliśmy ją do ołtarza. Po ślubie od ołtarza odprowadzali moją siostrę stryj i wuj, oba żonaci, a jej męża dwie panie za-mężne.

Dopieroż zaczęły się zabawy i wrzawa; mężatki ciągną moją siostrę do siebie, a ona do panien ucieka; młodzież droczy się z panem młodym, odgania go od siebie, aż wkupił się do nas obietnicą stuletniego wina na cukrową wieczerzę.

Izba jadalna przystroiliła się w herby państwa młodych, cukry błyszczały ich imionami; państwo młodzi zasiedli pierwsze miejsca; po dwóch godzinach obiadu zaprawionego muzyką i wesolością, po hucznych zdrowiach i państwa młodych i ich rodziców, i kobiet, i różnych obecnych ze starszyny, przyszło na koniec *kochajmy się* i przecież wstali od stołu. Po obiedzie spotykam kuchmistrza stojącego przy drzwiach, z chlubą go pytam:

— A pieczeń losia?

— Była, panie; jakem wchodził, wtedy dano losia — odpowiedział głosem uroczystym.

Rozśmiałem się, a nie było z czego, bo w każdym stanie próżność, bo każdemu prawie zdaje się, że wszyscy na niego patrzą. Nazajutrz pan kuchmistrz przyszedł do państwa młodych z winną polewką po dukaty.

Moja siostra, co wczoraj błyszczała tylko urodą, dziś wystąpiła w perłach i brylantach; co wczoraj miała włosy w kwiatkach, dziś je pod czepek schowała; co wczoraj była w powiewnej bieli, dziś uwinęła się w szal ogromny, bo taki zwyczaj; co wczoraj ją prowadzili do ślubu, ona dziś odprowadzała od ślubu męża ochmistrzyni swojej, bo już ona pani, a choć najmłodsza między nami, już niby najstarsza, bo ten ślub dziwy wyrabia, lotne pannenki przerabia w poważne panie, a stare panny w młode mężatki.

Po trzech dniach wesela i tańców goście zaczęli się

rozjeżdżać, i rozjeżdżali się cały tydzień; potem nuż objeżdżać sąsiedztwo, hulać po sąsiedztwie; nakoniec odprawiliśmy naszą siostrę do jej nowego domu. A matka, co niewymowną boleścią rozłączała się z córką, radaby jednak, żeby dzieci odplaciły się jej wnukami, i nas jak najprędzej pożenićby chciała.

ROZDZIAŁ X.

Szarańcza i polowania.

W 1827 r. było u nas wielkie zjawisko, dla obcych wielka ciekawość, dla miejscowych okrutna plaga — szarańcza. Już lat kilkadziesiąt jak jej nie było, aż raptem napędził ją do nas wiatr z głębi Azyi; przyszyła do nas przez Odesę, spłądrowała kraj wzdłuż i poprzek: siadła na las, to las obłamała, liście mu objadła; padła na zboże albo na step, i poleżała dzień jeden, to ani znaku gdzie była trawka jaka, gdzie było źdźbło jakie, i tylko ziemia czerniała jak gdyby spalona. Szarańczy niczem odstraszyć nie było można, ani strzelaniem, ani tratowaniem; gdy się podniosła, gorsza od gradu i piorunów, wlokła się ponad ziemią, jak chmura ciężarna gradem i piorunami — chmura ta rozwijała się jakby w kłęby dymu, i znowu spadała; przed nią i trzody rycząc rozbiegały się, i wilk ze stepu umykał, i ptaki rozlatywały się, i zając pierzchał, a leciała prosto na wsie, na miasta, na morze, na ogień; zapędzi ją wiatr na morze, to się wytopi, zapędzi na lądy, to wszystko niszczy. Szarańcza siada warstwą na pół lokcia grubą, a leci ławą na pół ćwierci milą szeroką, a na pół mili długą, wiatr ją pędzi, a ona lotem swoim wiatr pędzi: a gdzie naleci tam noc; jak leci, to słychać milionowy szelest skrzydeł, jak legnie, słychać milionowe chrupotanie, a tak jej zasmakował chleb ukraiński, że

u nas zakopała się na zimę. Dopieroż rada w radę, jak ją wygubić; najlepszym sposobem pokazało się, żeby na wiosnę w miejscu, gdzie się szarańcza zakopała i z nasion jej wydobywa się gąsienica, pędzić świnię. Z całych powiatów na te miejsca spędzano świnię, wyznaczano obywateli do nagładania, aby ta posługa krajowa odbywała się porządnie, a myśmy ich nazywali jenerałami świń, o co się wcale nie gniewali. Jednakże wszystkiej szarańczy nie można było wygubić, została i na rok przyszły, i dopiero część jej wiatr wytopił w morzu, resztę tęga zima wymroziła.

Kto nie widział szarańczy w 1827 r. to w 1828 musiał jechać aż ku Odessie.

W tym roku byłem w Odessie. Widziałem jak wiatr pędzi szarańczę na morze; szarańcza szamocze się z wiatrem ale go nie pokona, leci na morze, jak chmura, długo ją widać, coraz mniejsza, na koniec rozplynie się w morzu, morze wyrzuci ją na brzeg, słońce wysuszy, wiatr rozwieje i niema szarańczy.

Jak do Kijowa na kontrakty, tak chętnie jedzie się w lecie do Odessy na morskie kąpiele, na śpiewy włoskie, a co najważniejsza, na targi zbożowe. Pięćdziesiąt lat temu, tam gdzie Odessa, było kilka chat rybackich, dziś miasto rozległe, okazałe, przystań pełna okrętów, okolice pełne pięknych futorów strojnych pięknymi domami, po ulicach miasta ciągle się snują wozy z pszenicą i innem zbożem, ciągle turkoczą drażki kupców; targi pełne ryb wybornych, owoców doskonałych, kramy pełne towarów zagranicznych, domy i ulice pełne ludzi zagranicznych, bo to wolne kupieckie miasto, co na stepach wygląda jak wyspa, na której spoczęły rozbitki wszystkich narodów. To też Odessa nie ma żadnego piętna narodowego.

Jadąc przez stepy oddzielające Odessę od Ukrainy, ciągle spotykasz walki czumaków, idące z pszenicą i innem zbożem naszym do Odessy, albo idące do nas po pszenicę i wódkę, albo wracające z suszoną rybą, z krymską

solą, z winem lub innymi płodami. Dojeżdżając do Odessy, już walka trzyma się walki, i takim łańcuchem ciągnie aż na Peresyp, po którym dawniej hulały bałwany morskie, a dziś stoją ogromne domy i stanowią przedmieście Odessy. O cztery mile sinieje morze, a bieleją domy co się rozrzuciły po równinie wyniesionej nad morze, a maszty wyglądają jak gdyby las, na którym wczoraj była szarańcza.

W Odessie ulice proste i szerokie, domy obszerne, wygodne i kształtne; co dom to i parę składów dwupietrowych: ten co miasto zakładał, stepu nie żałował, więc i dziedzince wielkie, i rynki ogromne, tak, że Odessa wygląda niby zbiór zamków; a rozparła się szeroko, jak gdyby bała się, żeby nie zniknęła między morzem a stepem.

Na lato zjeżdża się do Odessy wiele rodzin polskich; ojciec sprzedaje pszenicę, matka kupuje stroje, dzieci uczą się śpiewać po włosku, a wszyscy kąpią się w morzu; słaby żeby był zdrow, zdrowy żeby nie był słaby, chudy żeby utył, tłusty żeby schudł. I my też raniutko jeździliśmy do kąpieli, w dzień zamykaliśmy się przed kurzawą i słońcem, na obiad jedliśmy doskonale kambuły i byczki morskie, a kawony, pomarańcze i winogrod, przez cały dzień służą za napój zwyczajny: po obiedzie jeździliśmy do ogrodu na sławne lody, dziesięć razy lepsze jak w Paryżu; wieczorem idzie się albo na *operę* włoską, albo na przechadzkę z kobietami, albo na jakie zbiegowisko.

Najprzyjemniejsza kąpiel na świecie, jest kąpiel morska, ale tam gdzie niema przybywania i ubywania morza. Kąpiąc się, gdy morze spokojne, widać dno, jak gdyby wody nie było; dno piaszczyste, białe, równe, miękkie jak aksamit, a po niem to cień ryby przeplynie, to cień ptaka przeleci, to cienie chmur czolgają się powoli, to cień twój własny ruch twój malpuje; a cichość zupełna, a woda spokojna jak zwierciadło.

Przed wschodem słońca, powoli — powoli, morze czerwieniąc się, zapłonie całe jak wstydliva dziewica, a z łona

jego pierwsze promienie słońca ognistym słupem trysnęły do góry, drugie złotym warkoczem rozsypały się po całym morzu, a morze z radości zadrżało, i całe drży złotą łuską swoją, dopóki słońce nie wywinie się z objęcia jego. Jasne i czyste słońce, z błękitu nieba patrzy na błękit morza, przygląda się jego i swoim wdziękowi, patrzy na morze jak gdyby dziękowało za rozkoszną kąpiel; a morze żał za słońcem, podnosi się ku niemu, dopóki się nie uszamocze, i w ciągłym jęczeniu i wzdychaniu wygląda powrotu słońca — i tak codzień. Niechże się kiedy słońce nie pokaże, natenczas morze piętrzy się w straszliwe bałwany, wyje okropnie, pędzi do lądu, jak gdyby go pochłoniąć miało, roztrąca się o skały, jakby z rozpaczyci chciało się zabić, albo uciec het, ze swego łóżyska, a ci co w kąpieli, igrają z bałwanami, bo nie myślą o tem, że w tejże chwili, może rozbija się okręt jaki, a na tym okręcie są ludzie.

Przepędziwszy kilka tygodni w Odessie, a potem nakupiwszy sprawunków, bo bez tego szlachcic polski miasta nie porzuci, wraca się do domu, bo zbliża się czas polowania.

Wracając z Odessy strzelamy ogromne kulony i wrony morskie nad Limanem, a po stepach orły, i co się nawinie. Zajeżdżamy do Trzech Dębów i tam kilkanaście dni polujemy po stepach, na kuropatwy, kaczki, pardwy, dropie i jarzabki przelotne; do przepiórek szkoda prochu, a bekasów tam niema. Najzabawniejsze polowanie na dropie; i głównie wyjeżdża się na nie, a inne ptactwo, którego jest mnóstwo, strzela się z łaski, jak się nadarzy. Kilkanaście jest sposobów polowania na dropie, a każdy na tem zależy, aby się dobrze podkraść, bo to ptak ostrożny; najczęściej używaliśmy sposobu, który mój brat Edward, podług nauki wojskowej wymyślił: ale do tego trzeba wielu strzelców, tak jak to u nas bywało. Skoro zoczemy dropie, co pod jesień kupią się w ogromne stada,

objeżdżamy je wokół; od strony, ku której one ciąg mają, jeden po drugim o półtorasta kroków, jadąc rzucamy się z bryczki albo w burzan, albo pod miedzę, albo za kopiec siana, i leżymy nie ruszając się; jeden zostaje na bryczce i wielkim pędem od strony przeciwnej jedzie wprost na dropie; jak dropie dosiedzą, to i on strzela, jak nie dosiedzą, to zrywają się i lecą lawą, prawie zawsze na strzelców; jak zaczynają wymijać, strzelec zrywa się i strzela w dropia jak w kapużę, tym sposobem czasem kilka dropin od razu: czasem i na jednego dropia tak zasiadamy, czasem też na stado pardew, bo to także ostrożna zwierzyzna, a dobra. Jak dużo gości, to cały dzień tak jeżdżymy po stepach, chłodząc się najslawniejszymi kawonami, i wstępując to do owczarni, to do trzód, to do stada, to do młynów na Bohu, to do pasiek, to na basztan po świeże kawony, to do sadów, to do kosarzów, to do żeńców, to nakoniec do tej albo do owej wsi. Tak polując, mój ojciec gospodarzył, goście unosili się nad pięknnością sławnego bydła jego, a on im figle płatał. Niespodzianie wjeżdżają do lasu okopanego, a tu pięćdziesiąt buhajów pędzi za bryczką, a spojrzenie ich dzikie, a rogi ogromne: gość nieświadomy ogląda się, radby zmykać, a tu bryczka staje, buhaje lecą wprost na bryczkę; jak który poliże gościa, albo jak go rogiem zalechta, gościowi mroz przechodzi poza skórą, zimny pot występuje, włos się jeży aż czapka ucieka, a mój ojciec najspokojniej pokazując mu to tego, to tego, trzyma za rękę i niby się nie domyśla przestachu; a to buhaje przybiegły po chleb, i napierając się chleba, tak przymilają się ludziom.

W polowaniu na ptaki przedewszystkiem mają pierwszeństwo orły i jastrzębie, bo te łapią kuropatwy, a tamte zające; więc jak się zajrzy orła, to zjeżdża się go i zabija. Raz patrzymy na step, a tam coś naksztalt koni przechadza się; zbliżamy się, a to orły takie ogromne, dalejże do nich; zerwały się z daleka ale zaczynają krążyć, poznajemy że to sępy, a nie mieliśmy lotek; jeden najcie-

kawszy nalatuje nad wózek, a tylko jedna strzelba była nabita zajęczym śrótem, dają mnie tę strzelbę, jak wytnę z jednej i z drugiej rurki, trzask, trzask po piórach, zachwiał się sęp, i bokiem, bokiem poleciał na wskos ku ziemi, usiadł, ale aż się zatoczył; my z wózka i za nim, a on już tylko na piechotę zmyka; dobiegliśmy, przytrzymaliśmy kolbami, związaliśmy dziób i łapy, spętaliśmy mu skrzydła; oglądamy gdzie postrzelony, patrzymy aż i leb i piersi zakrwawione, ale śrót odbił się od kości, lecz jedno ziarnko naruszyło trochę ostatnią lotkę prawego skrzydła, i sęp dlatego lecieć nie mógł; wsadziliśmy na bryczkę, jedzie sęp na polowanie i dziwuje się. Ten sęp wkrótce wyleczył się, ulaskawił się tak, że jadł z ręki i przychodził do pokoju, a był tak piękny i ogromny, jak nigdy nie widziałem ani żywego, ani wypchanego. Sęp ten bawił w naszym domu blisko rok; wyjechaliśmy gdzieś na długo, nie odmienili mu pętów, pęta dawne przerwały się, i sęp poleciał; długo jeszcze po swój obiad na mur przylatywał, ale nie dał się złapać; a jak dowiedział się, żeśmy przyjechali, już więcej nie wrócił; bardzośmy go żalowali, bo był dobry sęp, i był ozdobą naszego dziedzińca.

W późnej jesieni zaczyna się uroczyste polowanie na wilki. Kozacy latają z uwiadomieniem, gdzie kiedy polowanie; zapraszające listy przychodzą jeden po drugim, ale pierwszeństwo przed innymi ma pan starosta Czeczeli; choć to daleko od nas do Samczyk, bo jest mil ze trzydzieści, jednak, że starosta dawny przyjaciel mego ojca, jeździliśmy do niego na polowanie prawie co rok. Daj Boże po wiek takiego gospodarza jak Czeczeli, taki dostatek jak u niego, tyle wilków i lisów, tak hojne przyjęcie, tak porządne i wesołe polowanie, które wygląda jak turnieje i zapusty, i jarmark i kontrakty. Tam wsie przedają, tam małżeństwa układają, tam różne szachry na konie, na bronie, tam popis zręczności jeźdźców i strzelców, tam

popis na wdzięki i dowcip ślicznych Podolanek i Wołyńanek.

Już się zjechało sto, dwieście osób, a wszystkim wygodnie. Zrana gospodarz objeżdża gości, rozwołując im dzień dobry, i przepraszając, że dziś polowania nie będzie, bo wilki nie odezwały się. Więc cały dzień przechodzi na niewieścich zabawach. Zamek piękny w pysznym ogrodzie, to jest gdzie pohulać przez cały dzień, jest gdzie wyhasać się noc całą. Nazajutrz polowanie. Starosta pojechał do kniei, co tuż za ogrodem; a wszyscy czekają na powrót starosty. Kobiety w rannem ubraniu w oknach i na krążanku: młodzież w myśliwskich strojach, jedna przymila się do kobiet jak może, a każdy polowanie swoje zamysła na szczęście tej, którą sobie upodobał; druga czwani się bronią i swój strój wychwala, inna harcuje na koniach po obszerzym dziedzińcu i wyzywa się z sobą na swoją zręczność, na lotność i zwinność swych koni. Myśmy wystąpili na to polowanie w czerkieskich strojach, a na czerkieskich koniach czerkieskie rzędy, a czerkieskie konie koń przez konia przesadzi, a jak błyskawica po ciemnej chmurze, tak koń czerkieski leci zygzakiem, gdzie nim myśl jeźdźca powinie. Na dziedzińcu zamiany na broń, na konie, niesłychany hałas. Starosta wjeżdża — i cicho — bo on zawsze uprzejmy i miły, a w dzień polowania srogi, a nikt nie chce mu czoła zamarszczyć. Starosta poważnym ukłonem powitał młodzież, szczerą prostotą pozdrowił rówieśników swoich, a przed paniami zdjął czapkę, zajaśniał rumianem licem, błysnął srebrnym włosom, i słodkimi słówkami zapytał, czy panie chcą nam polowanie umilić obecnością swoją? Zajeżdża piętnaście cugów, za nimi dwadzieścia koczów, koczyków, kozacy trzymają ze czterdzieści wierzchowców, wszystko to czeka aż państwo zjedzą śniadanie. Starosta dał znak, zajeżdżają; kobiety szcziebiocąc siadają, starosta podając im rękę mówi, że w kniei szcziebiotać nie wolno, a one się śmieją: powozy jedne za drugimi wyruszyły z dziedzińca, starosta i jego przyja-

ciel podkomorzy Kamiński, wyprzedzili je na koniach. Zbliżając się do lasu taka cichość, jakby jechali po śniegu, jakby się wszyscy pospali; czasem tylko jeździec zatętni, a wilkom śni się, że to im koń jaki idzie na wieczerzę: poczekajcie no, a zobaczycie, co wam starosta na obiad zgotował.

Na najlepszym stanowisku panie zajęły kobierce i krzesła. Podkomorzy rozstawił strzelców, obiegił knieje, nakazał baczność i wraca do starosty, który go przy paniach czeka cierpliwie, bo mu wesoło. Starosta odezwał się dyszkantem, i wszyscy poznali trąbkę jego, a głos jej jak śpiew dziewicy przez uszy wniknął do serca, aż serce zadrdzało i chce się wyrwać tam, skąd głos wdzięczny przez powietrze płynie, i szumi rozgłosem po lesie, brzęczy i rozbija się po jarach.

Psy wpadły na gniazdo wilków i nagle poczęły ujadąć, wrą jak w kotle — wilki całem gniazdem uderzyły na sieci, odpędzone latają pomiędzy strzelców, a tu nie wolno strzelić póki nie wypalą z moździerza, a moździerz czeka póki wilki nie przeciągną po przed panie nasze. Moździerz wypalił — wilki rozpierzchnęły się po kniei — dopieroż *paf, paf, na cu cu, na cu cu,* — chybiłeś bratku! Huk strzałów, wrzawa dojeżdźczaków, odgłos harapów, granie psów, wre w powietrzu cudownem brzmieniem polowania; krew myśliwca prędzej krąży, serce mocniej bije, oko lepiej widzi, ucho czujniejsze jak zawsze. Strzelono sto razy, już niema wilków; jeszcze tu i owdzie psy pogonią, poznają, że to tropy nieboszczyków, i utną; jeszcze ujadają za lisem, pogonią zającą na oko, nakoniec wszystko ucichło. Strzelcy schodzą się chwalić zdobyczą swoją; dopieroż śmiechy z tych co pochybiali, co przeslepili, z tych komu strzelba nie wypaliła; a nic się nie ukryje na polowaniu, bo każdy ma dwóch zazdrosnych sąsiadów. Ściągają zwierzynę; sześć wilków, cztery lisy — starosta krzyknął — «a gdzie reszta, było jedenaście, żaden nie wyszedł, zakładaj psy» — wtem mój ojciec nadchodzi, i mówi —

«są wszystkie, oto mój jeden, a resztę moi chłopcy postrzelali». — Ja zabiłem dwa. Rad starosta, myśliwi zazdroszczą, kobiety chwalą, a jak kto oglądał nasze wilki chcąc niby poznać i dowodzić że postrzelił, mówiliśmy mu — ten sam, do któregoś chybil.

Po polowaniu strzelamy jeden drugiemu w lot do czapek i rękawiczek, żeby psy zwabić; dojeżdźczace grają pojezdnego w dobrane trąbki, a my ze śmiechem i hałasem wracamy do Sameczyk. Od wrót wszyscy rozjechali się po dworach, a za godzinę już postrojoni, już w zamku, zasiedli bogate stoły, i jedzą obiad wspaniały.

Po obiedzie znowu się goście rozprysnęli, a za godzinę już strojni do tańca, napelnili okrągłą izbę. Młodzież czeka, żeby się Polskie prędko skończyły, bo chce wywijać Mazura; a tu pan starosta i pani starościna tańczą po kolei ze starszyzną. Nigdzie Polski nie jest tak piękny jak u nas, bo nigdzie niema tak wspaniałych kobiet, tak poważnych starców, tak pięknych dziewczę, tak dziarskiej młodzi; to też nigdzie się na Polskim nie znają, a czyż może być co piękniejszego, jak zbiór cudnych żyjących obrazów, co przesuwają się uroczym łańcuchem, wiją się w wieńce piękniejsze od wszystkich kwiatów razem, i rozwijają się we wstęgę powabniejszą oku jak tęcza; a cały ten widok uroczy, obwija się wdziękiem poważnej i słodkiej muzyki, jak kwiat obwija się wonią, słońce promieniami. Daj Boże doczekać zacnemu staroście, abym ja u niego widział w Polskim moją matkę i siostry.

Takie to polowanie powraca co rok około 20 września, a trwa dni dziesięć. Ktoby chciał mieć chińskie wyobrażenie tego polowania, jadąc szlakiem wielkim z Dubna do Starego Konstantynowa, niech wstąpi do pięknej wsi Kolki, podkomorzego Kamińskiego; tam we dworze będzie gościnnie przyjęty, tak jak ja kiedyś, zobaczy pięknego karego stępaka, co podkomorzy ma ode mnie, i malowidło wyobrażające polowanie w Sameczykach. Jest to obraz w swoim rodzaju jedyny, robiony na urząd; tam wszystko

nie tak jakby malarz rozumiał, ale jak podkomorzy chciał, a chciał: żeby był las i żeby było wszystko widać co jest w lesie, i wszystkie wilki, i wszystkie psy, i wszystkich strzelców, i wszystkie sieci, i starostę strzelającego do wilka, i podkomorzego jednego na koniu, drugiego takiego samego wlokącego wilka zabitego, i mego ojca, i rozmaite przygody myśliwskie, i na koniec grono pięknych Polek: więc choć w Chinach nie był, wymyślił chiński sposób, poustawiał wszystko w piętra, i tak jak chciał, wszystko widać, i wszystko poznasz jak ci podkomorzy rozpowie; i powiesz, że wszystko nie tylko bardzo podobne i piękne, ale jeszcze doskonalsze jak żywe; bo czyżbyś chciał zmartwić Polaka w kontuszu? Poczciwy podkomorzy całą zimę poluje, a całe lato patrzy z rozczeniem na ten obraz, gdzie widzi swoich przyjaciół i polowanie; chciałby jeszcze, żeby z tego obrazu było słyhać strzelanie, i trąbkę, i psy gończe; ale sztuka nie wystarczała uczuciu. Tak to często bywa, a podobno i zawsze.

Z polowania od Czeczela wracaliśmy spiesźnie do siebie, aby wypolować swoje i okoliczne knieje; bo goście sproszeni, a czas blizki. Tak polujemy całą jesień po kniejach z gończymi albo na obławę, po rudach z gończymi na lisy, po polach z chartami na wilki i na lisy, i na zające, ale tylko po czarnej stopie, bo po śniegu nie sztuka. Mieliliśmy najwyborniejsze charty do wszystkiego.

W polowaniu niemasz piękniejszego obrazu, jak szczucie starego wilka. Jak lisa z tyłu, tak wilka szczuje się w oczy, kiedy się wymyka z kniei lub z burzanów. Jak wilk tęgi a charty nie zuchy, to udają, że wilka dopędzić nie mogą; a gdy śmiały poszczujesz, mały chart skubnie i odskoczy, wielki porwie za szarawary, sunie się za wilkiem, nadbieży drugi i trzeci, i wilka osadzą; wilk odcina się jak może, czasem skaleczy charta, chart zaskomli i w nogi, a czasem chart zepnie się z wilkiem i wilka powali: najtęższy chart rzuca się wilkowi na kark, chwytając ucho; dwa albo trzy tęgie wilczarze osadzą tak wilka,

że wilk ani ruszy; dopiero kto najbliżej, albo spisa wilka kole, albo trzonkiem od harapa grzmotnąwszy w nos zabija, albo pali mu w łeb z króciocy, albo wiąże go smyczą jak barana. Związanego wilka zamyka się do owczarni, żeby wachał to co lubi, a nazajutrz dawszy mu skobel w zęby, szczuje się go młodymi chartami. Najczęściej wilk ucieknie, kiedy za wiele chartów, bo jeden drugiemu przeszkadza.

Raz szczuliśmy starego wilka kiedy było wiele gości; każdy chciał ze swoimi chartami popisać się, wszyscy spuszczały ze smyczy; charty otoczyły wilka, wilk z nimi w perewerty; co przytrzymają wilka, ani przystąpić do niego, ani strzelić, bo naokoło charty, a wilk odciawszy się na prawo i na lewo, wyrzywa się i już pod lasem, już tylko ma rów przesadzić i byłby przepadł; miałem tęgiego konia, zabiegam od rowu, charty wilka znowu przytrzymują, zeskakuję i puszczam konia, a wilk wyrzywa się i obces na mnie; umknąłem lewą nogę, wilk przemyka, a ja *kindżałem* dźgnąłem go pod łopatkę, i wilk powalił mi się pod nogi; inaczej byłby wilk uciekł, choć pomiędzy hurtem były tegie charty.

Jest jeszcze inny rodzaj polowania na wilki, a to uganianie je końmi; to się udaje na stepach, a najlepiej w zimie po miękkim śniegu. Wołochy najczęściej tak polują, a jeden z naszych Wołochów, jednej zimy czternaście wilków zabił tym sposobem. Zoczywszy wilka, pędzi się za nim, ale nie bardzo, wilk topi się w śniegu, więc mu ciężko, a za nim goni się tak, aby nie spoczywał, i aby go z oczów nie stracić; jak wilk zaczyna się oglądać, to koniem napiera się na niego; jak wilk zaczyna śnieg chwytąć, to już źle z nim; wtedy napiera się go coraz bardziej; wilk przysiada, na koniec zmożony kładnie się, i nie ma już siły ukąsić; wtedy mordujesz go, jak on ci owce mordował. I po czarnej stopie można tak wilka ugonić, ale trzeba znać przechody wilcze i wiedzieć którędy będzie biegł; rozstawiwszy się na kilku koniach, podaje się go jeden

drugiemu i goni się go nagle, to czasem na końcu pogoni, wilk w biegu skostnieje i pada nieżywy. Najprzyjemniej jest wilka pierwszym pędem dogonić, i albo go arkanem złapać, jak robią Kałmucy, albo w pędzie zabić z króciicy, jak mi się raz wydarzyło, ale trzeba mieć konia po temu, a taki koń jeden na tysiącu.

W ciągu polowań naszych codzień z rana, albo tropią wilki, albo je wypatrują, albo do lasu naganiają, i po dług tego polowanie. Pewnego razu dano znać, że trzy wilki zaległy w burzanie, a była ziemia mroźna i tylko gdzieś śnieg przypruszył; na takie pola charty pazury zrywają, a mój koń ani kuty, bo to czerkies; nie było co robić, jedziem z chartami. Rozciągnęliśmy się lawą na ćwierć mili, najlepsze konie na skrzydłach; ja na prawem, a wilki ruszyły z lewego skrzydła; dwa wykradły się gdzieś burzanami, a jeden wysforował się daleko na goły step, co zwolna podnosił się, jak gdyby na to, żeby było dobrze widać co się na nim dzieje. Wypuszczam mego bieguna, a był to biegun nad biegunami; wymijam jeźdźców jednego po drugim, wymijam charty, doganiam wilka co był w całej sile swojej, wilk wpada na sugłuwę — ja za nim — coraz bliżej — równam się z wilkiem — nachylam się ku niemu, i strzelam — wilk się wywrócił — ja z konia — wilk w nogi — ja na konia, a drugiej króciicy nie miałem; wilk *farbuje* po śniegu, stratowałem go koniem raz i drugi, aż mój brat dobiegł i swoim strzałem powalił go na ziemię. Było to arcycieżło myśliwskie.

Do polowania miałem wielkie szczęście, mianowicie na wilki; zabijałem po dwa wilki jednego po drugim, jakby dwa bekasy, a raz na jednym stanowisku w pół godziny zabiłem pięć wilków, a wszystkich było sześć, a strzelców było ze trzydziestu. Jednak sam polować nigdy nie lubiłem; polowanie uważałem za stratę czasu, polowałem tylko albo z moim ojcem, albo żeby gości zabawić, albo kiedy kto dla nas dał polowanie. Wołałem hulać na koniu jak mi się podoba, aniżeli jak się podoba wilkowi albo zają-

cowi; wołałem bawić się z kobietami miłą gawędką, aniżeli słuchać jak psy gonią, jak wilki wyją, albo jak wiatr świszcze; wołałem biegać po kwiecistej łące, aniżeli brnąć po błocie za bekasami. Ale mój ojciec nazwałby mnie niewieściuchem, gdybym się z tem wygadał, a mówił, że polowanie usposabia do wojny; więc trzeba było polować, i polowało się nieźle.

Tak nam czas przelatywał, huczno, wesoło, ale kiedy niekiedy wstrzymał się pęd jego na tę myśl, co dalej będzie? Ojciec zapytywał nas często, co z sobą myślimy robić? — Edward był już marszałkiem, Eustachy wybrał się z Leonem Lipkowskim na wędrowną podróż po cudzych krajach, a ja odpowiedziałem memu ojcu rozprawą o przeznaczeniu Polaka; długośmy rozmawiali o tem, a Edward skończył, mówiąc wesoło — jakoś to będzie.

ROZDZIAŁ XI.

Niezwykłe postacie.

Nim to, co przyjść miało, przyszło, nawinęło mi się niemałe zatrudnienie. Mój ojciec od lat dziesięciu chorował przez zimę; napróżno co lato jeździł do wód różnych i do zagranicznych lekarzy, słabość wracała zawsze; w tej ostateczności zamierzył leczyć się podług Le Roy, którego sława z lekarstwem i z książkami przyszła do nas przez Odesę. Wszyscy prosili mego ojca, żeby się sam nie leczył, i ja prosiłem, powtarzając za wszystkimi, że owo ogólne lekarstwo to nie do rzeczy. Mój ojciec odpowiadał, że kiedy mu dotąd nic nie pomogło, to mu już wolno wszystkiego próbować; w dzień sam czytał książkę, a przy świecach ja mu ją czytałem. Kiedy ustęp jaki trafil memu ojcu do przekonania, mówiłem, że nie znam całości, że wnioski prawdziwe z mylnej zasady są mylne, że lekarstwo nie może być ogólne. Ojciec mówił: To przeczytajże całą książkę! A ja odpowiadałem: Dziękuję. Aż pewnego wieczora mówi mi: Przetłumaczno ten dwudziesty rozdział dla Nelickiego, co ma przyjechać na święta. Patrząc, a ten dwudziesty rozdział to czwarta część książki, a do świąt niedaleko, a robota nudna; ale cóż robić, ojciec prosi, trzeba tłumaczyć: i wziąłem się do roboty z tą myślą, że się przypodobam ojcu i przysłużę się przyjacielowi jego,

staremu a dzielnemu niegdys porucznikowi kawaleryi narodowej, co jeszcze jak lew wyglądał, choć miał lat ośmdziesiąt; tylko mu noga nie służy, bo parę kul ugrzęzło mu w nodze, choć ta, co trafiła w czoło, odbiła się. Wziąłem się do roboty i nocami, kiedy goście pozasypiali, ja ślecząłem nad książką; robota już gotowa, a porucznika niema; zasłabł, nie przyjechał, aż na wiosnę. Tymczasem mój ojciec leczył się i wyleczył się, co mnie tak zachęciło, że całą książkę przeczytałem, przetłumaczyłem i do druku podałem, i że się wziąłem sam do leczenia naszych ludzi. Odtąd i aż do końca mego pobytu w domu, stałem się eskulapem. Leczyłem i w podróży i w domu; co dzień dwa razy bywałem w domu chorych, do którego przychodziłem kto się nawinał, a słabych ze wsi naszych nim zaczęli z ochoty przychodzić, siłą zwożono. Nie pamiętam, żeby to lekarstwo któremu słabemu zaszkodziło, a owszem, często najcudowniej i bardzo prędko na najdziwniejsze i najprzeciwiejsze sobie choroby pomagało. Sława mego leczenia rozeszła się szeroko; z dalekich stron przyjeżdżano do mnie albo po zdrowie; albo za zdrowie dziękować.

Przyjeżdża Nelicki, a już się o tem wszystkiem nasłuchał, a książka była już wydrukowana; a ciekawy, a niecierpliwy. Prosi, żebym mu dał książkę.

— A rozpowie pan porucznik sprawkę pod Złotopolem?

— Rozpowiem, tylko dawaj prędko.

— Pokażę, ale nie dam, proszę rozpowiadać.

— Ot ze starym, jak z dzieckiem droczy się, a to przekora! Ta jużście to słyszeli.

— Słyszeliśmy, ale dawno; a ot oni Lipkowscy nie słyszeli, ani pan Modzelewski, nowy nasz sąsiad, ani Dembowski, a to nasi przyjaciele; a umyślnie tu przyjechali, żeby poznać porucznika.

Starzec mówił, a myśmy słuchali.

Opowiadał nam także o Humaniu, o hucznych zjazdach tam na św. Piotra i Pawła.

Humani, nie wielkie miasto, w tej porze co rok napelnia się mnogą ludnością. Przez tydzień brzmi muzyka, turkocze pojazdami, weseli się tańcem, zabawia się narodowem widowiskiem, bo szlachta polska zjechała się z rodzinami swemi na odwiedziny do Zofijówki. Niema pięknieszego ogrodu na świecie, jak Zofijówka na św. Piotr; nigdzie nie zebrano razem tyle cudów i sztuki, nigdzie tak donośny wodotrysk, tak szumny wodospad, tak przeźroczysta woda, tak bogate ozdoby, tak rozmaite widoki, a nadewszystko nigdzie takich kwiatów, bo kwiatem Zofijówki w tej porze są dziewice polskie, co się rozsiały po całym ogrodzie; nie policzysz ich nigdy, bo na każdej wzrok twój tak długo spoczywa, że liczby zapomnisz; wszystkie podobne, bo każda piękna, wszystkie różne, bo każda inna; a tak trudno rozpoznać, która najpiękniejsza, jak pomiędzy spadającym śniegiem, który najbielszy, jak pomiędzy drżącym liściem, który najzieleniejszy, jak pomiędzy śpiewem skowronków, który najmiłszy.

Moja matka zaczęła była na zdrowiu zapadać, idąc za radą lekarzy, wyjeżdżała za granicę do wód, a moją siostrę młodszą zostawiała pod opieką panien Wizytek w Romanowie, gdzie przełożoną była panna Choloniewska, osoba wielkiej nauki, pięknego wychowania i świątobliwej pobożności. Odwoziłem moją siostrę do Romanowa.

W Romanowie zastałem wojnę mniszek z senatorem. Senator Iliński, sławny dziwak, co te zakonnice z Wilna sprowadził na miejsce Jezuitów, chciał je koniecznie u siebie zatrzymać; ale wspaniały klasztor na błocie zbudowany był tak wilgotny, że zakonnice i dzieci drżały ciągle febrą, a sufity zapadały się. Iliński temu nie wierzył, bo u niego było sucho, a zakonnice chciały się przenieść do Kamieńca, gdzie gubernator Grocholski, szwagier panny Choloniewskiej, założył im klasztor. Mojem przybyciem na-

winałem im się na rękę. Iliński swoją powagą bardzo je ciemieżył; gubernatorowa Grocholska, co tam wówczas była, silnie popierała sprawę Wizytek; na jej rozkaz poleciałem do gubernatora wołyńskiego do Żytomierza, sprowadziłem zjazd urzędników. Zjazd ten osądził, że wilgoć jest wilgotna, zakonnice wygrały, wyjechały do Kamieńca, a Iliński aż się rozchorował i z rozpaczy wyjechał do Jezuitów do Tarnopola, a stamtąd do Rzymu.

Był to człowiek osobliwy.

Z ogromnemi bogactwami osiadł on na Polesiu i chciał na bagnach założyć sobie stolicę, a nazwał ją skromnie: Romanów (*Roma nova*). Zakreślił na miasto obwód szeroki, porysował ulice i rynki; w parę lat wyrosły z bagien ogromne gmachy, i zamek, i kościół, i szkoły, i rękodzielnie rozmaite; złoto i marmury świeciły po ścianach zamku, Jezuita osiedli w klasztorze, dziatwa brała w skórę na ławkach szkolnych, śpiewano włoską *operę*, rzemieślnicy pracowali po rozmaitych rękodzielniach. Wszystko było na podobieństwo królewskiej wystawy. Iliński siadywał na wyniesieniu jak na tronie, u stołu dawano mu osobne potrawy, przy pojazdach biegli szybkobiegacze, na koldrach i na chałatach gwiazdy, a wszędzie herby. Ale to wszystko nie długo trwało. Z Jezuitami upadły szkoły, Włochom na bagnach żaby głos odebrały i znowu skrzeczą, jak pierwwej, mury wilgotne zaczęły się walić, rękodzielnie poupadały, zamek opustoszał, bo szlachta wydziwian pańskich znosić nie chciała, dochody szczuplały przez nierząd, i pan *senator imperyi*, jak się sam mianować raczył, kiedy chciał się komu tego postawić, pan *senator imperyi* zamiast stolicy w państwie swoim, doczekał się zwalisk własnej roboty, i teraz od nich ucieka, jak od upiora.

Jak Ilińskiemu nie udało się założyć stolicy na błotach romanowskich, tak i Rzewuskiemu, co miał arabskie konie, nie udało się założyć Arabii na sawrańskich piaskach i stepach. Ognistej wyobraźni Wacław nosił złotą

brodę, nosił czerwony szarafan, a ten podarł się; zniknął strój, a zostały tylko obyczaje arabskie. To do nas do Trzech Dębów zajechał na polowanie, to rozbijał namiot na dziedzińcu i tam koczował. Przyjaciel naszego ojca i nasz, a przytem lubiący sposobić młodzież polską do konia, uczył nas po wschodniemu obchodzić się z koniem, ciskać *dzirytem* i wywijać *spisą*, a dla przypominania sobie chwil po rycersku przepędzonych w Arabii, lubił pokazywać, jak się Arabowie modlą; do swoich koni, choć się w Sawranu porodziły, gadał po arabsku; u siebie częstował potrawami arabskimi, których nie można było wziąć w usta; to też nikt u niego nie zagościł, ale gdzie był gościem, to wszędzie mu radzi, bo czy to nucił posępną dumę, czy słodką mową bajął o arabskich *oazach* i rozkoszach piaszczystej pustyni, czy też czytał jaki ułamek z podróży swojej, czy też rozprawiał o koniach albo o dziejach świata; zawsze miło go było słuchać, bo w mowie jego pełno było wdzięku, w opowiadaniu pełno życia, co silnie w nim wrzało i rade było choć w słowach parować. Coś tajemniczego osiadło na jego duszy, zasepiło twarz jego, ale temu orłowi coś obarczyło skrzydła i nie wywinął nigdy orlego lotu. Rzewuski na to, czem był, był albo za mały, albo za wielki, bo wszystko u niego było nieporządnie i w gospodarstwie i w domu. Nie mógł się złota dogospodarować, myślał, że go się dokopie; szukał skarbu, o którym mu baba powiedziała, marzył o skarbie w murach zamku w Podhorcach i już zabierał się burzyć te mury. W komnatach jego pełno bogatych sprzętów i broni kosztownej, pełno osobliwości ze wszystkich części świata, a nie było gdzie spocząć wygodnie. Zdaje się, że nie było rzeczy, którejby Rzewuski nie umiał, bo to i wojownik, i mąż stanu, i dziejopis, i wieszcz, i muzyk, i malarz. Tworzył opery, malował bitwy, pisał poemata; wiele rzeczy ciekawych po nim zostało, ale tak jak i on, gdzieś zaginęło. Szkoda, bo były między innemi poezye, pisane wierszem nierymowym, pełne wschodniego ognia i pięknej

polszczyzny. Lubilem czytać te jego poezye, a on lubił je słuchać z zamrużonemi oczyma, żeby większą siłą skupić na zmysł słuchu i silniejszym czuciem rozpoznawać dźwięki wyrazów i moc języka. Roili mu się rozmaite wielkie myśli, a żadnej nie wykonał, i zamiast stać się wielkim człowiekiem, ginąc z pośrodku nas, zostawił żal po sobie i po tem, że tyle zdolności zmarniało i z nim zaprzepadło.

Najlepiej się udało opanowanie Marchockiego w Mińkowskich pod Kamieńcem, bo państwo to kwitnęło i przeszło z ojca na syna, bo Marchocki aż do śmierci urzędownie liczył lata panowania swego, aż do śmierci trzymał pisarza, co chodził za panem i zapisywał każde słowo pańskie; aż do śmierci obchodził uroczyscie święta Cerery i Bachusa; miał bielutką a długą brodę, jak święty Onufry, nosił kapelusz ogromny, lagę złocistą, rasę aksamitną; a tak strojny, wyglądał, jak najwspanialszy metropolita. Marchocki aż do śmierci wojował z gubernatorami, klócił się, pieniał się ze wszystkimi, żył z bracią szlachtą, a na wyborach miewał do niej mowy pełne zapалу i uczuć.

ROZDZIAŁ XII.

Kamieniec.

Ślicznie leży Kamieniec, zbudowany pomiędzy górami na wspaniałej skale, co się otoczyła głębokim rozdołem, opasała się bystrym Smotryczem i wygląda, jak wyspa, do której tylko po powietrzu zapłynąć można. Skala ta nad swój poziom wyniosła swe brzegi i stała się murem nieprzebytym, twierdzą bezpieczną dla tych, co schroniwszy się do niej, zbudowali w niej miasto, które tylko wierzchołkami swych domów i wieżycami swojemi za skalę wznosiła. Po rozdole opasującym Kamieniec i poza rozdół, ku górom, wybiegły wesołe przedmieścia, zieleniejące ogrodami, bielejące schludnymi domkami; po górach rozrzuciły się przylaski i pociągnęły ku wielkim lasom, a góry co się oderwały od Karpatów, potoczyły się rozlicznymi pagórkami aż do gór Miodoborskich. Wewnątrz skały miasto porządnie zbudowane na czarnej ziemi, którą ręka Stwórcy nasypała do tej skały, jakby na znak, że tam ludzie zamieszkać mają. Nad miastem panują wieże, a nad wieżami złocisty posąg Boga Rodzicy, co stanął na tureckiej dźmii i na tureckim półksiężycu, jakby na znak Turkom, że wiara ich pod nogami wiary chrześcijańskiej.

Od kiedy ludzie zamieszkali podolskie płaszczyny i wzgórze, musiało też być zamieszkane i to miejsce, na

którem dziś Kamieniec, bo kraj wokoło miły i wdzięczny, ziemia urodzajna, a w powietrzu wiele woni i ciepła, a miejsce bezpieczne. Od niepamiętnych czasów było to miejsce schronieniem i obroną od napadu hord rozlicznych, co się błakały po stepach zadniestrowych. W dawnych wiekach było tu miasto zwane *Petrydawa*, co znaczy Kamionka; zniszczyli je Polowcy i książęta Czerniechowscy, a kiedy już i ślad jego prawie zaginął, jeden z Koryatowiczów, książąt litewskich, odebrawszy Tatarom ziemię podolską, w r. 1331 odbudował to miasto, które wkrótce stało się jedną z najważniejszych, a nigdy niezdobytą warownią.

Turcy, Tatarzy, Wołochy i Kozacy oblegali Kamieniec wielokrotnie, ale napróżno. W r. 1621 sultan Osman na czele wojska przyszedł pod Kamieniec, objechał go na wszystkie strony, popatrzał i spytał:

— Kto tak obwarował to miasto?

— Bóg! — odpowiedzieli pokornie przybocznicy sultana.

— Niechże je Bóg dobywa! — i ruszył z wojskiem pod Paniowce, a wkrótce i tę warownię Bogu zostawiwszy, poszedł skąd przyszedł.

W r. 1633 Kozacy i Tatarzy wielką siłą oblegli Kamieniec; hetman Koniecpolski miasto obronił, oblegających potężnie zgromił i odpędził. W 1656 roku 120.000 Kozaków oblegało Kamieniec równie bezskutecznie. W r. 1672 Kamieniec dostał się w ręce Turków, choć go nie zdobyli. Oblegał go naówczas wielki wezyr z ogromnem wojskiem. Dowódzca Kamieńca czy to, że ufał w moc twierdzy, czy to, że obyczajem polskim był w waśni z Janem Sobieskim, nie przyjął jego załogi; po jakimś czasie prochownia twierdzy, zapalona przez nieostrożność, wyleciała w powietrze; nie było czem strzelać, nie było dość siły, aby wyjść na Turka, i pan generał ziem podolskich musiał rokować. Tym sposobem straciliśmy twierdzę niezdobytą a bardzo ważną, twierdzę, z której panowanie rozlega się daleko. Na znak ważności takiego nabytku, Mahomet IV odpra-

wując wjazd uroczysty do Kamieńca, wjechał na koniu do kościoła katedralnego, tak jak Mahomet II po zdobyciu Konstantynopola, wjechał był do kościoła św. Zofii. Kamieniec zostawał w ręku Turków aż do zgody Karłowickiej, zawartej w r. 1699; przy tej zgodzie Turcy oddali nam Kamieniec i poprzysięgli przyjaźń, dopóki słońca i księżyca. Odtąd Kamieniec znacznie się podnosił, przybywało mu kościołów, mieszkańców i bogactw, i zawsze był uważany za twierdzę niezdobytą.

Wysoka i długa grobla murowana, jakby wyspę z wyspą, łączy jeszcze Kamieniec z zamkiem, co dawniej bronił przyległe góry, i w którym osadzano więźniów, skazanych na całe życie. Mury miasta poszły już w gruzy, a jednak Kamieniec wygląda jak twierdza, i w każdej przygodzie bardzo łatwo na twierdzę da się zamienić; bo gdyby murem opasany jest skałą, co w gruzy nie pójdzie; a tak opasany, że oprócz trzech wjazdów, z których jeden tylko zapomocą wysokiego podmurowania nieco wygodniejszy, jest zewsząd tak nieprzystępny, że i koza nie ma którejdy wydrapać się.

Kamieniec od dawnych czasów zamieszkały był przez Polaków, Małorosyan i Ormianów, którzy z Armenii, ojczyzny swojej, rozwłóczyli się kupczyć po świecie. Ormianie osiedli dość licznie w Kamieńcu, we Lwowie i po innych miastach; zasługiwali się nieraz nowej ojczyźnie swojej, a za to otrzymywali szlachectwo i rozmaite przywileje na wolność kupczenia po miastach i na rządzenie się swoim obyczajem. Przywileje te były potwierdzane prawie przez każdego króla, a mianowicie w 1443 roku przez Władysława Warneńczyka, roku 1496 przez Jana Alberta, roku 1502 przez Aleksandra, roku 1507 przez Zygmunta I, a później przez Zygmunta II, Henryka Walezyusza i Stefana Batorego. Jan Kazimierz w 1650 r. rozszerzył te przywileje za męstwo i wierność Ormia-

nów w czasie najścia Tatarów i Kozaków pod Chmielnickim.

W Kamieńcu za dawnych czasów — około 1450 r. i później — Polacy na czele swego urzędu mieli *prokonsula*, Ruś zaś swoich, a Ormianie swoich, wójta i ławników. Wójtowie byli mianowani przez króla; Kazimierz Jagiellończyk pozwolił Rusi wybierać sobie wójta i wyjął ją z pod władzy wojewodów, kasztelanów i starostów. Oprócz tego był starosta czuwający nad porządkiem i mający sądy nad szlachtą w sprawach uczynkowych.

Jak się tam tyle rządów między sobą godzilo, nie wiem; musiało to tam być tak, jak pod koniec w całej Polsce, kiedy ledwie nie każde miasto rządziło się inaczej, ledwie nie każdy chciał się rządzić po swojemu i rwał porządek, dopóki nie zapanowały nad nami nieład, bezrząd, duma, chciwość. Jeśli wina upadku Polski ciąży bardzo na szlachcie, cięży też nie mało, a podobno i więcej na królach naszych, co nie umieli wziąć w ryzę swawolnej szlachty, co zamiast rządzenia w całej Polsce jednym prawem, jedną żelazną wolą, dla pochlebiania tym lub owym stronnictwom, jednym częściom Polski nadając przywileje, drugie uciskając, jedne ośmielili do swawoli, drugie pobudzili do buntu. Przez bunty odpadła Kozaczyna, przez swawolę, którą królowie wypieścili, wezbrała duma szlachty i wyróciła karność wszelką.

Że już dawno Polska chyliła się ku upadkowi, i że ten upadek sama zgotowała, mamy na to liczne dowody nawet w papierach kamienieckich. Papiery te uwożone przez Turków, były na okrętach, kiedy mnóstwem pieniędzy własnych wykupił je od zaprzepaści Szumlański, biskup kamieniecki. Papiery te są bardzo ważnym zabytkiem dla szlachty ziem ruskich, bo tam ich rodowody, tam prawa ich własności, tam ich dzieje prawie od założenia Kamieńca.

Do tego zbioru przybył później własną ręką podpi-

sany okólnik Stanisława Leszczyńskiego, z dnia 6 lipca 1706 roku. W tym okólniku król zawiadamia o oswobodzeniu ojczyzny, wyrzuca szlachcie domowe zamieszki, naczyna sejmiki w Kamieńcu na dzień 27 lipca 1706 roku i kończy życzeniem, *aby na tym sejmie województwo podolskie uśpioną ledwie nie letargiem cnotę staropolską wzbudziwszy, na obronę wolności głowę niosącym asystować chciało*. Drugi, także bardzo nauczający okólnik jest Piotra I, podpisany własną jego ręką w Żółkwi, 1707 r. w styczniu. Piotr I ogłasza, że w pomoc Rzeczypospolitej przeciwko Szwedom daje wojsko swoje i krew swoją. „*Oświadczam się przed Bogiem i przed światem, że czynię to ze szczerej przyjaźni i nie żądam od stanów Rzeczypospolitej, jeno utrzymania onych w dawnym stanie przy prawach i wolności zwykłych, osobliwie przy wolnej elekcji*“.

Kamieniec był miastem bardzo ważnem dla Rzeczypospolitej, a obywatele Kamieńca odznaczali się męstwem i wytrwałością, w licznych oblężeniach i bojach; to też królowie zaszczycali go swą łaską, a Zygmunt III rozszerzając jego przywileje, porównał go ze Lwowem i dał mu przywilej może najużyteczniejszy ze wszystkich, zakazując Żydom osiadać lub zamieszkać bądź w mieście, bądź na przedmieściach; podróżującym Żydom nie wolno było dłużej bawić w Kamieńcu jak trzy dni, a to pod karą utraty majątku. Przywilej ten dowodzi, że już dawno spostrzeżono, że Kazimierz Wielki zaszczerpiając w Polsce żydostwo, wielką zaszczerpił plagę. Michał Korybut Wiśniowiecki, za nowe dowody męstwa i wierności przywilej Zygmunta III Kamieńcowi potwierdził w 1670 r. Po odzyskaniu Kamieńca od Turków August II znowu wszystkie dawne ustawy i przywileje temu miastu przyznał, bramy jego powierzył straży władz miejskich, a nadto zaprowadził tam Towarzystwo strzelców, czyli *kurkowe*, jak to już było w Krakowie, we Lwowie i w Poznaniu, i z temi samemi przywilejami, a z tym dodatkiem, że król

kurkowy miał prawo sprowadzić sobie sto beczek wina węgierskiego bez opłacania cła.

Towarzystwo strzelców nazywało się *kurkowe* od tego, że przy corocznej uroczystości strzelcy strzelali do koguta, to jest kura, kurka drewnianego, zwykle o dwieście kroków kulą ze strzelby. Strzelanie to trwało z wielką uroczystością czasem tydzień cały; od celnych strzałów kurek rozlatuje się w drzazgi, a kto ostatnią drzazgę kulą roztrzaska, o tym się mówi, że zbil kurka i ten z wielkim hałasem okrzyczany *królem kurkowym*, przywdziewa znaki swojego dostojenstwa. Król ten otoczony niepoślednią czcią i poważaniem przez cały rok, przewodniczy Towarzystwu kurkowemu; a pierwszego dnia panowania swego na czele Towarzystwa obchodzi miasto z wielką uroczystością, a okrzyki wesolości, suta uczta i zabawy przeciągają się długo w noc.

Za panowania Augusta II Żydzi zaczęli się wkradać do Kamieńca, ale w 1750 roku na mocy wyroku urzędowego, wygnani zostali w przeciągu 24 godzin, ich szkołę zburzono, a domy ich poszły na własność miasta. Zdaje się, że dopiero po upadku kraju, Żydom pozwolono osiadać w Kamieńcu.

Stanisław August pierwszy pozwolił urzędowi miejskiemu w Kamieńcu używać szabel, a tym sposobem mieszczanów kamienieckich porównał z mieszczanami stolic i najglówniejszych miast Polski; po miastach bowiem drugiego rzędu, urzędnicy miejscy nie mieli prawa noszenia szabel, a na znak dostojenstwa swego nosili tylko łaski.

W Kamieńcu było niegdyś piętnaście czy osmnaście kościołów, z których dziś pozostało tylko sześć czy siedm; reszta spustoszała i znikła, najwięcej za czasów Turków, którzy piękniejsze tylko kościoły zachowali, przerobiwszy je na meczety. Tym sposobem ocalała katedra, przy któ-

rej Turecy wymurowali wysoką, na podstawie kwadrato-
wej okrągłą wieżę, z której krużganku widać cały Kamie-
niec i okolice jego, aż do Chocimia; na wierzchu tej wieży
pozostał jeszcze pozłacany księżyc turecki, a na nim sta-
nął piękny posąg Najświętszej Panny, o którym wspomnia-
łem. Katedra kamieniecka jest gotycka; po wyjściu Tur-
ków odnowił ją biskup Dembowski, a niedawno ktoś ka-
zał pobielić ją wewnątrz i myśli, że to pięknie. W Ka-
mieńcu była też bardzo wspaniała cerkiew; dawniej słu-
żyła wielkiemu wezyrowi za meczet. Piękny też jest ko-
ściół pojezuicki, co teraz jest szkolnym kościołem; ten
także pamiętał czasy tureckie.

Klasztor i kościół panien Dominikanek w Kamieńcu,
tem jest zajmujący, że był założony przez pannę Elżbietę
Cieplowską, która po nawróceniu się na wiarę katolicką,
została Dominikanką. Kościoły i klasztory Dominikanów
i Bernardynów, odbudowane zostały po wyjściu Turków,
głównie staraniem i kosztem Michała Potockiego, starosty
Trembowelskiego. Po wyjściu Turków, zaraz Trynitarze do
Kamieńca wprowadzeni zostali, dla wykupowania Polaków
z niewoli tureckiej: święty to cel i godny sług Bożych.
Wiadomo, że zakon Trynitarzów w tym celu ustanowiony
został; wymownym jego obrazem w Kamieńcu jest piękny
posąg na kościele Trynitarzy, wyobrażający anioła uno-
szącego dwóch niewolników.

Każdy zakon katolicki miał w początkach swoich
cele święte i użyteczne; wiele z nich i dotąd dochowało
tej cechy, a bezbożni krzyczą: mnichy próżniaki! Idźno,
ty niby pracownikowi, i popracuj z tymi niby próżniakami,
a przekonasz się, żeś ty dziś próżniak. Idź za jednymi za-
konnikami rozsiewać światło, kształcić młodzież; za dru-
gimi żyć w modlitwie i ubóstwie, a jeszcze wspierać ubo-
gich; za tymi pielegnować sieroty i chorych; za tamtymi
jeszcze ginąć śmiercią męczenników; za wszystkimi roz-
krzewiać wiarę, w zwątpiałe serca wlewać nadzieję, dźwi-

gać upadającą cnotę, czuwać nad trzodą pańską dzień
i noc, w złej i dobrej porze, być gotowym na jej usługę;
idź za zakonnikami przechadzać się pomiędzy zapowie-
trzonych i razem z nimi do grobu się zabierać, a wtedy
uderzysz się w piersi i wyznasz, żeś był oszczerca.

ROZDZIAŁ XIII.

Berdyczów.

Byłem też i w Berdyczowie, bo jakżeż nie widzieć tego miasta, co jak Kijów w czasie kontraktów, tak w czasie czterech jarmarków swoich, jest zbiegowiskiem ukraińskiej, podolskiej i wołyńskiej szlachty; tego miasta, co leży w środku ziem ruskich i całą Ruś jakby serce ożywia. Jak tylko jaka ważniejsza kupiecka a pilna robota, tak do Berdyczowa; jak tylko jaki ważniejszy sprawunek, czy gospodarski, czy domowy, do Berdyczowa; jak tylko potrzeba nowożeńcowi koni i powozu, pannie młodej wyprawy, pijakowi wina, kosterze gry, jakiemu młokosowi bójki, tak do Berdyczowa. Jedzie kto z Ukrainy w dalszą nieco podróż — a którądy, bracie? na Berdyczów. Między młodzieżą niema pół godziny rozmowy, żeby Berdyczów, niby Paryż jaki, na plac nie wyjechał. Berdyczów każdemu wygodny, każdemu po drodze, stąd przysłowie: *Pisuj do mnie na Berdyczów.*

I po co to miścisko usiadło tam na tych błotach, gdzie i miejsce nieobronne, i powietrze niezdrowe, i wody dobrej do picia niema, nikt tego nie wie, a każdy rad, że przynajmniej tam siedzi. Dlaczego miścisko to takie niechlujne? Bo to stolica Żydów, co jak żaby skrzeczą i mnożą się nieustannie w swem błocie.

Z Żytomierza do Berdyczowa mil ukraińskich cztery. Jedzie się pocztowym traktem. Pod samym Berdyczowem wieś Hryszkowce, mieszkanie Radziwiłłów, dziedziców Berdyczowa. Między tą wsią a Berdyczowem rzadka dębina, czysta dąbrowa, bo ją wiatr zamiata, ciągnie się na prawo aż ku rzeczce błotnistej Hnyłopiat, nad którą leży jeszcze błotnistszy Berdyczów. Po tej dębinie wieczorem przechadza się cały Berdyczów; zdaje ci się, że to mnóstwo Żydów i Żydówek *moremorejne*, poumywane, bo to szabas, postrojone, bo wielkie państwo żydowskie idące pieszo kaczkowatym krokiem, albo kiwające się na leniwych koniach, jakby w bożnicy, jakby prosiło Pana Boga, żeby dosiedzieć na koniu; zdaje ci się, że to mnóstwo izraelskiego wybranego ludu, pomiędzy którym widzisz mnóstwo innych mieszkańców Berdyczowa, jako to Szwajcarów, Francuzów, Niemców, zdaje ci się, że to wszystko, dowiedziawszy się, że jedziesz z Żytomierza, wyszło na twoje spotkanie; a to nieprawda: wszystko to ciągnie spokojnie i cicho do ogrodu hryszkowieckiego, w którym wolno im z daleka wachać owoce i kwiaty. Chłopi tylko, szczątek kozaczego rodu, co pierwszy osiadł i zaludnił Berdyczów, nie mając wstępu do ogrodu, mogą tylko przez częstokół do niego zaglądać, ale za to mają przywilej przechadzać się po dębinie, w której za Augusta II, poprzednik ich kozak Paley, pułkownik owruckiego pułku, stłukł szlachtę, prowadząc Doroszeńkę na atamaństwo.

Za dębiną obszerne błonia, po których w jesieni i na wiosnę strzelają bekasy, a w lecie wypasają konie w czasie jarmarków. Za błoniami, dom na domie, leży Berdyczów. Nad miastem i nad okolicą, panują wieże karmelińskiego wspaniałego kościoła, co dotąd otoczony wysokim murem, stanowił niby twierdzę, która w dawnych czasach wytrzymała wiele oblężeń i szturmów, odepchnęła wiele najazdów, chroniła wielu rycerzów polskich. W murach tego kościoła i w samym kościele dotąd jeszcze sterczy wiele kul działowych, świadków krwawych bojów,

z których najpamiętniejszy jest bój z Turkami, jeszcze za czasów Jana Alberta; kiedy Turcy ośmieleni zdradą hospodara wołoskiego w czasie przechodu Polaków przez Bukowinę, pustoszyli całą Ukrainę.

Szczątki ludu ukraińskiego zamknęły się w murach twierdzy berdyczowskiej, której załogą dowodził Tyszkiewicz, może dziedzic Berdyczowa, bo Berdyczów był dawniej dziedzictwem Tyszkiewiczów. Turcy oblegli miasto, a gdy go dobyć nie mogli, odwrócili koryto Hnyłopiata, żeby obleżonych pozbawiając wody, przymusić do poddania się. Obleżeni cierpieli już głód i pragnienie, i już na łaskę zwycięzcy zdawać się mieli; wtedy mnich Karmelita, z obrazem Matki Najświętszej z dawna cudownym, staje przed radą starszyny, gromi ją za słabość duszy, ognistą mową zapala wszystkich do męstwa, z cudownym obrazem w ręku występuje na wały, i Turków rozcina. Podanie niesie, że w czasie tego boju, strzały tureckie mocą cudownego obrazu, wracały i Turków zabijały; podług drugich, obraz ten, w czasie boju tak zajaśniał, że niewierni od tej jasności poślepli; rozbiegali się na wszystkie strony, a sami nie wiedząc gdzie lecą, wpadali w ręce ludu ukraińskiego, który mszcząc się krzywd swoich, wymordował ich do szczętu. Cały obóz niewiernych stał się łupem zwycięzcy, i nie mało przyczynił się do wzbogacenia miasta i świątyni co je broniła. Odtąd sława cudowności obrazu Matki Najświętszej, rozeszła się daleko, kościół się upiększał a miasto powiększało się.

Dziś kościół zachowuje się w dobrym stanie; gotyckiej budowy, obszerny i podwójny, górny i dolny. Dolny kościół okazały, ma kilkanaście bogatych ołtarzów; górny jeszcze okazalszy, oprócz wielu ołtarzów co go zdobią, ma piękne malowidła wyobrażające zwycięstwa Polaków i Kozaków nad Turkami: ma piękne dudy, a nadewszystko bardzo bogaty ołtarz wielki, w którym jest cudowny obraz. Wieść niesie, że *wota* zawieszane na tym obrazie i około niego, w perłach, drogich kamieniach i złocie, warte są

około 2 miliony złp. Klejnoty te w 1825 r. skradzione zostały; złodziejowi świętokradztwo ciążyło bardzo na sumieniu, skarb odniósł, rozgrzeszenie otrzymał, a księży dochowali tajemnicy spowiedzi. Oprócz bogactw obrazu, klasztor berdyczowski posiada obfity skarbiec pełny bogatych strojów kościelnych. W czasie tylko wielkich odpustów odsłaniają ten obraz ze świąteczną okazałością; a wtedy oblicze Najświętszej Panny, tak błysnie na cały kościół promieniami jasności swojej, że mimowolnie korzą się czoła, uginają się kolana, i niejeden niedowiarek, w takiej uroczej chwili, tam się nawrócił.

Niejednego też nawrócili pobożni i wymowni a liczni i przykładni księży Karmelici. Odpusty berdyczowskie tak są sławne jak częstochowskie i poczajowskie. Spowiednicy tam roztropni a surowi. Na kim wielki grzech ciąży, albo kto czuje w sobie wielką skruchę, idzie spowiadać się pod łaskę; to jest przed spowiednikiem, który ma łaskę ogromną, kościółowi berdyczowskiemu przez Rzym nadaną; pokutnik nim po spowiedzi rozgrzeszenie otrzyma, uklęka przed spowiednikiem, na znak pokory nachyla się ku ziemi, a spowiednik dotyka go łagą; czasem trafi się spowiednik, co grzmotnie łaską jak się należy, raz i drugi; był tam ksiądz Józef, co nieraz i fuknął na grzesznika, a jednak przed nim zawsze nacisk, zawsze skrucha i prawdziwa pokuta, bo był to kapłan wybrany.

Księża Karmelici berdyczowscy są ludzie uczynni i pełni chrześcijańskiej miłości dla bliźnich, wspierają ubogich i dają przytułek chorym. Któż ze szlachty ukraińskiej, nie ma wdzięczności Ojcom Karmelitom za sławny coroczny kalendarz berdyczowski, w którym święta choć na bibule ale czerwono drukowane; a skoro w kalendarzu pisze czerwono, nabożny szlachcic zakazuje robocizny, a sam jedzie z jejmością i z dziatwą do kościoła na mszę. Pocziwa szlachta z tego kalendarza uczy się i gwiazdziarstwa, i tajemnic gospodarczych, i wie co tam stało na wyborach obywatelskich, i wie kiedy ślota, kiedy pogoda,

kiedy ciepło, a kiedy ma być zimno; podług kalendarza orze i sieje, i dobrze jej się dzieje.

Wjeżdżasz do miasta zajęty wspomnieniami, a tu cię z marzeń twoich budzi wrzask Żydów, co szarpia twój powóz, twoich ludzi, twoje konie, ciągnąc ten do siebie, ten do siebie, a wrzeszcząc; i to jest sposób zapraszania do zajezdnych domów, z których każdy jest zwyczajną żydowską karczmą polską, czasem trochę porządniejszą. Tylko coś wszedł do gospody, musisz drzwi zamykać przed *faktorem* i kupeczykami; zamknąłeś drzwi, oni w okna laza, zamknąłeś okna, oni przez szyby pokazują swoje noże, brzytwy, grzebienie, ołówki; krzyczą, hałasują; jak co u którego kupisz, drudzy go biją za to, i tak przed każdym domostwem. Skoro drzwi otworzysz, wpada kupa Żydów *faktorów* i naprzykrzają się, a nastawiają się, żeby uderzyć, a żeby potem za to zapłacić. Wyjdiesz na ulicę, to ta chalastra wokoło ciebie uwija się, jak komary, i niema innego sposobu odegnać się od niej, jak wziąć *faktora*; *faktor* jest to niby karta bezpieczeństwa po brudnych ulicach berdyczowskich; on rozpędza motloch, a na barki swoje zbiera wszystkie kuksy zazdrosnych towarzyszków; on długim a obdartym sarafanem zamiata przed tobą ulicę. Idziesz gdzie chcesz, *faktor* wszystko pokaże, przeprowadzi bezpiecznie przez ulice pełne kramów żydowskich i wrzasku; a z każdego kramu, jak z klatki, Żydowica z głową oprawną w złoto i perły, piszcząc przerażliwie, wychyla się jeszcze po twoje srebro; a w oczach każdego Żydzia taka chciwość i przebiegłe szachrajstwo, że trudno ci pogodzić litość dla tego rodu z pogardą; szczególnie, że go nie obchodzi uczucie twoje.

Kto chce obywatelić Żydów, zapraszam go do Berdyczowa, a jak mu się tu uda, to mu powinszuję. Jak zaczęto brać w rekruty Żydów w Berdyczowie, w tej stolicy żydowskiej, gdzie najbogatsi Żydzi, najwięcej *bankierów* i przemycarzów żydowskich; gdzie jest rząd żydowski, trzymający na nieszczęście w garści swej cały prze-

mysl, rząd mający szpiegów i *faktorów*, rząd mający swoje stosunki zagraniczne, swój skarb, swoje dzienniki, swoich gońców, swoją pocztę latającą codziennie czterokonną budą do drugiego państwa żydowskiego, do Brodów, po towary zakazane; w tym sławnym Berdyczowie, w tej Jerozolimie, był sądny dzień.

Nie cały jednak Berdyczów zaplugawiony żydostwem; jest od Machnówki porządniejsza część miasta, gdzie jest kilka pięknych kamienic, w których sklepy winne i piękne kramy z towarami; ale na nieszczęście wszystkie te bogactwa są własnością Niemców. Bo gdzieżby tam szlachcic polski kupczył, kiedy do kupiectwa nie potrzeba przesądów, a u nas ich pełno, kiedy do kupiectwa trzeba obrotności i pracy, a my choć sprytni, ale leniwi. Nauka i praca są nieocenionej wartości, człowiek bez jednej albo drugiej jest mogolem indyjskim, trutniem ukraińskim.

A u nas jak to bywało? Chłop rolę uprawił, zasiał, zebrał, ziarno zawiózł na targ, albo na wódkę przepędził, bydło wýhodował i gdzie trzeba zapędził, wszystko na rozkaz pana; pan sprzedał, naładował trzosa, jeden jedzie za granicę wytrząsać z niego złoto, jakby to był piasek; drugiemu dosyć do Berdyczowa zajechać, za jedną część trzosa kupi wina, albo przepije, drugą przegra, za trzecią nakupi strojów dla żony, różnych cacek niepotrzebnych i zegar grający, bo sam grać nie umie, a jak się zgra, na tym zegarze odegrywa się — ot i po trzosie; trzeci człowiek porządny, gospodarny i takich nie mało, ten i chłopą zapomoże i radby całe gospodarstwo podnieść; wie, że są na świecie *machiny*, czuje ich dobrodziejstwo, ma gdzie i ma za co postawić; więc sprowadza *mechanika*, ile możliwości cudzoziemca, co i nie wiele umie i z chłopem się nie rozmówi, a zwykle okpiwacz; stawia a stawia, buduje a buduje, pan czeka a czeka, płaci Niemcowi a płaci, Niemiec rozkoszuje w pańskim domu, nakoniec stanęło czupiradło; jeśli to młockarnia, to pewno nie młóci, jeśli to młyn,

to pewno nie miele. Jeden z takich młynów stoi w samym Berdyczowie, na przestrożę całej szlachcie; wspaniały, kosztował sto tysięcy, wygląda jak wieża babilońska, przy której język i mózg mechanika Niemca pomieszał się, i młyn nie mel, nie miele, i mleć nie będzie.

Prześwietna szlachto racz się postarać, żeby cudzego rozumu nie potrzebować, bo już czas umorzyć to przysłowie: *Francuz wymyśli, Niemiec zrobi, a Polak głupi kupi.*

Dziwną jest rzeczą, że Berdyczów miasto tak ludne, bo ma z górą 40.000 mieszkańców, że w mieście takim jest tylko nędzna szkółka powiatowa.

Nie zna Berdyczowa, kto go nie widział w czasie jarmarku; nie zna szlachty ukraińskiej, kto jej nie widział w Berdyczowie na Onufreja, a przynajmniej na Preczyste. Sześciu szlakami ciągną do Berdyczowa tabuny i zgony, hurmy i stada; sześciu szlakami prowadzą konie powodne, zwożą powozy, sprzęty gospodarskie i wszelkie towary. Już wszystkie stajnie Berdyczowa pełne koni, wszystkie sklepy pełne towarów, wszystkie klatki na Machnowieckiej ulicy pełne tabuńskich koni, po wszystkich bloniach pełno wszelkiego bydła, wszystkie piwnice pełne wina. Dopiero wtedy szlachta polska z dworem jak kto może licznym, w strojach jak kto może nowych a swojego wymysłu, sześciu szlakami wali do Berdyczowa, i wierzchem, i wózeczkami, brykami i kolasami, młodzi i starzy, i panie polskie ze ślicznymi córkami. Wszystko to jedzie jarmarkować, co znaczy i kupować, i sprzedawać i bawić się, i hulać, i tańczyć, i żenić się, i ogrywać, i zgrać się; co się komu podobą, wszystkiego dostanie.

Owo jarmarkowanie trwa cztery tygodnie, a w mieście taki hałas, taki zgielk, a każdy tak zajęty, tak się spieszy, jak gdyby jarmark tejże godziny się kończył. Każdego dnia od rana do południa otwarte stajnie, konie wymuskane, srogiem okiem patrzą, rzucają się, jak gdyby chciały wszystko rozburzyć, bo świerzbą baty nocne, albo pieprz gryzie, albo też i wre w koniu niecierpliwa krew

polska. Od rana do południa wodzą ręczne konie po Machnowieckiej ulicy, przejeżdżają się dżusy na dżusach. Po stajniach i po ulicach targi na konie, a przy tych targach szczególnie przypowieści, zachwalania, omawiania wad końskich, zaklęcia koniarskie, tak, że nigdy nie zgadniesz, co prawda. Niejeden kupił ślepego, niejeden pijanego, niejeden wydętego, niejeden ukarmionego wapnem, starego za młodego, kalekę za zdrowego; a ten, co cię okpił, kpi jeszcze, i jak mu się skarżysz, powiada ci: *Od żłobu do żłobu, kto kogo okpi, chwala Panu Bogu!*

Jeszcze i Boga miesza do szachrów swoich. Bo to szczególniejsza moralność na tym świecie; każdy pocziwy — tylko koniarz wymówił sobie, że będzie oszukiwał na koniach; myśliwy, że będzie polował na cudzym gruncie i cudze psy do siebie zwabiał; literat, że będzie książki pożyczał a nie oddawał; kupiec, że będzie okpiwał tylko na tym towarze, którym kupczy; zresztą wszyscy pocziwi, i jeszcze koniarz wykrzykuje: Czyż to się godzi psy kraść? Myśliwy trąbi: Czyż to się godzi na koniach okpiwać? i tak dalej.

Jedna tedy szlachta okpiwa i okpiwa się na koniach po stajniach i po ulicach, druga w tabunach tatarskich wybiera sobie dzikusy, na których będzie za wilkiem ugaśniać; trzecia za rogatkami Białopolskiemi. Tam przeszło sto tysięcy rozmaitego bydła zaległo obszerne blonia. Woły ukraińskie z rozłożystymi rogami, ogromne jeden w drugiego, srebrno siwe jeden w drugiego, gdyby woda, a spaśne; jedne ciągną od wody niby rzeka, drugie w ogromny hurt skupiwszy się, stoją niby jezioro. Tysiące owiec tam beczy, tysiące wieprzów kwiczy, bydło ryczy, a wszystko wesołe przy rannym chłodzie, wybrykuje na znak szczęścia; a tysiąc hajdajów klaszcze z biczów, i po swojemu ofukuje i pilnuje bydło swoje. Tam szlachta jedna już targu dobija, druga pod szalasami już pieniądze liczy, trzecia zajada i już zapija sprawę, inna trzyma się w cenie, zma-

wia się i do Włodawy się wybiera; a Żydzi wszędzie *faktorują*, szachrują i okpiwają.

Młodzież mizdrzy się do panienek; przez całe rano odwiedziny jedne po drugich, dziewczęta przemigają się chłopcom, jak kwiaty pędzemu czwałem po łące, a dzieciwzutom stają przed oczy coraz nowi chłopcy, tak jak młoda ich wyobraźnia stawia im przed płochą myślą coraz nowe widziadła. Po obiedzie bydło i konie wychodzą na wypas, po obiedzie już mniej robót, więcej zabawy. Jedni drugich zapraszają, obiady gromadne, sute, jak to zwyczajnie u nas na Ukrainie; wesole, jak to zwyczajnie u szlachty polskiej, a jeszcze z kobietami.

Po obiedzie pierwsza część zabaw, konne wyścigi. Tam to dopiero powszechne wyścigi na piękność i stroje kobiet, na przepych powozów i cugów, na dzielność koni, na zręczność jeźdźców. Co żyje w Berdyczowie, wyjeżdża za Machnowieckie rogatki. Lsknią się złociste szory, ale piękniejszy połysk wymuskanego konia, co tak błyszczy wodą, jak gdyby brylant; toczy się powóz za powozem, a każdy wygląda, jakby pęk kwiatów, bo w każdym pełno pięknych kobiet, strojnych w kwiaty i w pióra, w perły i w brylanty. Chcesz wiedzieć która najpiękniejsza? Ta co najmniej strojna; bo u niej oczy brylantami, ząbki perłami, kraśne lice kwiatami.

Powozy w kilka rzędów wyciągnęły się wzdłuż drogi, a młodzież pomiędzy powozy szaleje koniem, tak jak ich myśl szaleje obrazem kochanki. Tam się napatrzysz, jak to szlachta harejuje; tam się przekonasz, że się nie odrodziła, i w najodleglejszych pokoleniach nie odrodzi od przodków swoich; zalotna, dzielna, żwawa.

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach, a słońce już trochę ostygło, wtedy mirzowie tatarscy ze szlachtą polską pędzą na wyścigi milę blisko, od lasu ku miastu po płaszczyźnie, co się nieco w górę dźwiga. Skoro ich spostrzegą, zrazu zaszumi szmer pomiędzy patrzącymi, a potem cicho. Każdemu serce wali młotem, bo wielkie zakłady,

bo każde współubieganie się wzbudza przychylną uwagę, bo wszyscyby radzi, żeby Polacy wygrali, i tak też bywa. Po całej przestrzeni rozlega się tętent ścigających się koni, co z daleka dochodzi ucha niby uderzenie pulsu, wzmacnia się coraz a coraz, jeźdźcy zbliżają się, konie wyciągnięte jak charty, już mety dobiegają, już zdaje się, że ten wygrał, i wszyscy go chwalą przeciągłym okrzykiem; aż tu często ostatni, rozwija zapas nowej siły, wyrzuca jednego po drugim, stanął u mety; a nim najtęższy koń po nim doleciał, on się już zwrócił, i dumnie patrzy na swoje zwycięstwo.

Już się skończyły wszystkie wyścigi; we wszystkich zawsze był jeden pierwszy a jeden ostatni, tak jak na całym świecie od początku świata. Marna rzecz na pozór, ale ważna dla tych, co się ścigają, bo czy wielka czy mała wygrana, zawsze jej źródłem miłość własna, a za nie drożdże, tak miłość własna wszystko podnosi do kształtów olbrzymich.

Po wyścigach wszystko ciągnie do Berdyczowa, tak jak z niego wyciągnęło, tylko jeszcze tłumniej, jeszcze gwarniej. Temu, czyj koń zwyciężył, zdaje się dnia tego, że król, ale drudzy nie myślą o nim, bo każdy już tylko o tem myśli, która z dziewięć wyścignie inne prostotą i wdziękiem, która dzisiejszej uczty będzie królową; każdy myśli, że jego kochanka, tak jak każdy myślał, że jego koń wszystkie wyściga.

Przez cały ciąg jarmarku, uczty, widowiska, muzyki, roboty i szulerka; a pod koniec zawsze jakaś zabawna sprawka, zawsze jakieś nowiny, co żydowską pocztą lecą prędzej, jak gońcy, zawsze jakiś dziwoląg, co bawi szlachtę, a straszy Żydów.

Tak szumny jarmark bywa tylko na *Onufreja*, chociaż główniejszych jarmarków w Berdyczowie jest cztery do roku, a każdy z nich trwa blisko cztery tygodnie. *Onufrejski* jarmark przypada 12 czerwca, *Preczyste* 15 sierpnia, *Kosmy i Damiana* 1 listopada, a *Pochwalne* 24 marca. Na

Onufreja i na *Preczyste* jarmarki najliczniejsze, na *Pochwalne* jarmark głównie na ogiery, bywa ich po kilka tysięcy; na *Kosmy* i *Damiana* głównie na powozowe i wierzchowe. Tabuńskich koni nie masz na tych dwóch ostatnich jarmarkach, ale bydło, roboty wszelkiego rodzaju i pijatyka zawsze bywają. Szczątki nieszczęśliwej pijatyki obywatelskiej polskiej, co tyle krzywd sprawom ojczystym zadała, szumią jeszcze po jarmarkach berdyczowskich. Niejeden w ciągu jarmarku przepił cug śliczny; niejeden zboże co jeszcze na pniu, tak przepędził na wino i tak się sam i swoich przyjaciół uraczył, że do domu wracał bez pieniędzy i bez wina.

Taka to szlachta jarmarkowa, podchmielewszy sobie pierwszego dnia, nie wytrzeźwia się aż w domu, a przez cały ciąg jarmarku jest w stanie upojenia, w którym dziwy wyrabia za zdrowie żywych i umarłych. Krzyczą i piją, a wypiwszy, szklanki gryzą, aż się pojuszą. Taką szlachtę nazywaliśmy *jarmarkowiczami berdyczowskimi*. Szczęściem, że ich coraz mniej.

ROZDZIAŁ XIV.

Kijów i Krzemieniec.

Na początku 1830 roku, jak zwykle, pojechaliśmy na kontrakty kijowskie. Pieniądzy było dosyć, nadzieje zysków wielkie, a cena zboża niska, bo kupcy zmówili się — szlachta piszczy. — Spostrzegłszy to wszystko, mówię do Leona Lipkowskiego, kupujmy pszenicę. Skoro to słowo wpadło na Izbę kontraktową, pszenica skoczyła od sześciu do ośmiu złotych korzec; a my nakupiliśmy mnóstwo pszenicy, i daleko i blisko, i z dostawą do Odessy i bez dostawy, i za pieniądze i na wiarę. Szlachta cisnęła się do nas, dając nam pszenicę bez pieniędzy, a zawierając nam aż do przyszłych kontraktów; ale baliśmy się brać zανάdo na barki nasze, a jeszcze przy pierwszej próbie; a i tak mieliśmy z kupnem naszym nie mało zatrudnienia. Wyreeczaliśmy się wzajemnie, pięknie i zgodnie. Z kolei zostawiłem cały kłopot kochanemu Leonowi; a sam na sanki, i ruszyłem do Krzemieńca na zapusty.

Ruszyłem pod noc, droga była kopna, ale to nic; konie pocztowe rwą co siłą, a sanki mkną w tumanie śniegu jakby w obłokach: w nocy zerwała się zamieć, wiatr silny a w oczy, ćwicz szronem po twarzy, wpędza śnieg ostry poza kołnierz, tarasuje drogę wzdymkami, ale to nic; konie lecą a lecą, za nimi sanki tłuką się po wybojach, zataczają się po stronach, skaczą przez wzdymki; zawieru-

cha nasiadła noc ciemną, i ciemniej jak w nocy, ale to nie; konie znają drogę i lecą; mróz okrutny aż szyby obmarzły, aż drzewa co pilnują szlaku, tulą się do śniegu pod ciężarem śniegu; aż ochota bierze zakopać się w śniegu, bo tam cieplej, i jak niedźwiedź zasnąć aż do wiosny, ale to nie; szuba broni od zimna, o szubę wiatr się rozbija, nogi w berlaczach tańczą pod ciężką wilczurą, palce w ogromnych rękawicach rozgrzewają się wzajemnie, młoda krew grzeje, zwoszczyk zagrzewa ręce bijąc się po ramionach, koniom gorąco, bo para z nich idzie jak z kotła, i tylko dzwonek zmarzł tego, bo ledwo go słychać. Lecę po tej ciemnicy, a tej ciemnicy godzin z piętnaście, ani jej przespać, bo niebezpiecznie na taki mróz zasnąć, ani jej przegadać, bo wiatr gada, to szumi, to wyje, a grozi śniegiem każdemu kto usta otworzy, całą zabawa myśl ścięta mrozem, zacinana szronem, przykuta do zimy, a więc nie bardzo rozkoszna; całą zabawą oczy, których przymknąć nie można, bo by ci je mróz zamknął gorzej jak na klódkę, więc oczy moje wyteżyły się w ciemnicę i widzą w niej straszdyła i widma, i gmachy niknące, i góry co wznoszą się i zapadają, i przepaście co się otwierają i wnet zamykają, i lasy co razem biegną ku mnie i umykają; czasem jasność niby podziemna, błysnie mi z oka na tę straszną ciemność, i znowu do oka powraca, i jeszcze ciemniej, i jeszcze straszniej, ale to nie; ja znowu patrzę, i znowu oczy moje pasują się z ciemnością, a ciemność znowu zmyślając dziwne widziadła, naśmiewa się z mych oczów. Aż z nagle, niedaleko przed nami, zaświeciło cztery ognie, niby świętojańskie robaczki, wpatruję się, a to wilcze oczy, tylko wilków niedostawało do tej strasznej nocy. Komu strach to strach, a mnie zabawka; równam się z wilkami, jak palnę z dwururki, jedno wilczysko zaryczało i padło, drugie uciekło; blask strzału jakby pięścią uderzył nas w oczy, ale pokazał gdzie wilka szukać. Wilka darowałem zwoszczykowi, a reszta nocy weselej już zeszła, na rojeniu o przygodach myśliwskich.

Druga noc, już daleko od domu, była jasna, niebo nadzwyczajnie iskrzyło się gwiazdami, co niemal, że się nie przeglądały w powierzchni śniegu zeszlonej od mrozu; konie i sanki mkną po tej powierzchni, jak po lodzie, konie i sanki podwoiły pędu i zda się, że i noc spieszniej ubiegła. Nadedniem na wschodzie niebo zapaliło się czerwona przesilną luną; luna ta pociągnęła się po całym obłoku, zaróżowała całe niebo i całą ziemię najpotężniejszą barwą, co po kryształkach śniegu łamała się jak po brylantach: za taką zorzę mało jednego słońca. To też trzy słońca stanęły na różowej bieli ognistymi słupami, co się wzniosły aż do pół nieba i długo świeciły, nim ze średniego słupa słońce dzienne wytoczyło się do góry, zabierając z sobą jasność pobocznych słupów. Cudne to było zjawisko, a u nas bardzo rzadkie; przypada tylko w ogromne mrozy i w cichą pogodę. Widziałem je raz tylko w moim życiu i podjąłbym się jeszcze dwie nocy marznąć, żeby raz jeszcze je widzieć.

Przez dwie nocy uleciałem czterdzieści mil ukraińskich, i drugiego poranku, nie zwalniając pędu, jużem się spuszczał z góry Krzemienieckiej.

Ciekawy byłem bardzo zapust w Krzemieńcu, o których mówiono zawsze z wykrzyknikami i westchnieniami, jak o miejscu rozkosznych zabaw, wyborowego towarzystwa, wykwinnych obyczajów i tak zwanego wielkiego świata. Przejeżdżałem już parę razy przez Krzemieniec; widziałem tam miasteczko żydowskie w głębokim dole pomiędzy górami, z ciasnemi i za lada deszczem błotnistemi ulicami; widziałem mnóstwo porządniejszych domów, będących własnością to nauczycieli, to rozmaitych obywateli wołyńskich, co polubiwszy Krzemieniec, tam się pobudowali, żeby mieli gdzie zimę a czasem i lato przemieszkąć; widziałem na pięknym wyniesieniu wspaniale stojący kościół pojezuicki, co wtedy był kościołem szkolnym i klasztor obszerny, co mieścił w sobie liceum z bogatym księ-

gozbiorem i rozmaitymi zakładami naukowymi. Z góry Zamkowej, co się wyniosła wysoko nad miasto, a na swym grzbiecie dźwiga cierpliwie rozwaliny zamku, widziałem Począjów, słynący cudownym obrazem Najświętszej Panny i niezmiernemi bogactwami kościoła i klasztoru; widziałem z tej góry rozległe błonia, opasane ciemną sośniną, a strzeżone pasmem gór, co od Krzemieńca zwolna się piętrząc, poszły łańcuchem swoim ucześcić się wspaniałych Karpatów.

Tam u stóp tej góry Czacki założył i uposażył sławną szkołę krzemieniecką. Czy wybrał to ustronie, aby uczniowie nie spuszczały z oka świętego miejsca; czy wybrał to ustronie, aby przynęcić naukę a odstraszyć zabawę, niewiadam; dosyć, że jak na miejscu niepokąźnem powstał Berdyczów, co skupił w sobie źródło bogactw i marnotrawstwa, tak też na miejscu bardzo niepoczesnem powstał Krzemieniec, źródło nauki i zabawy: tak to pospolicie na tym świecie zło obok dobrego, pokusa obok cnoty.

Krzemieniec powstał silną a pocziwą wolą jednego człowieka. Czacki uzbierał skarby na założenie i utrzymanie po wieczne czasy znakomitej szkoły; Czacki uzbierał jeden z najliczniejszych i najszacowniejszych księgozbiorów w Polsce; Czacki zebrał do Krzemieńca nauczycieli zdatnych we wszystkich naukach; usilnem staraniem księcia Adama Czartoryskiego, wyjednał dla tej szkoły wielkie przywileje i pod ich tarczą zaszczerpił i rozkrzewił w młodzieży, ochotę do nauk.

Krzemieniec rzucił na całą okolicę, jak gdyby promienie polysku i nauki; rodzice osiadali przy dzieciach swoich, naglądać postęp swych synów, wychowywać i ubogacać swe córki w dobrą naukę i w piękne sztuki, bo Czacki zgromadził do Krzemieńca wszystko, czego Polakom i Polkom potrzeba do ukształcenia serca i smaku; Czacki chciał, żeby Polacy i Polki pod pozorem wychowania swej dźiatwy, mianowicie córek, nie wywozili za granicę pieniędzy, a w zamian za nie nie przywozili cu-

dzoziemskich narowów. Lecz kiedy panie i panowie, co przedtem włóczyli się poza granicą, szukając zabawy, osiedli w Krzemieńcu, skrzywili nieco myśl Czackiego, bo za wiele z sobą przywieźli ochoty do zabaw. Zło bardzo się łatwo rozkrzewia, a jeszcze zło tak ponętne i na pozór niewinne, jak zabawa; a więc zabawa w Krzemieńcu zaczęła już była silny bój staczać z nauką; już młodzież zaczęła już myślała o zabawie, za wiele jej używała; już się przejmowała próżnością światową, i znaczna część jej wychodziła na tak zwanych *trefnisiów krzemienieckich*, a do Krzemieńca jechał już nie tylko ten, co się chciał uczyć, ale i ten co się chciał bawić. Wielu o mil kilkadziesiąt ciągnęło na zapusty do Krzemieńca, jak lud pobożny ciągnie na odpust do Począjowa; i ja też byłem ciekawy zobaczyć owo cudo, owe zapusty krzemienieckie.

Sąsiad mój, Gotard Sobański, już mnie był tam uprzedził i rozgospodarował się, więc nie dając mi się nawet ogrzać, jak się należy, porwał mnie natychmiast z sobą w wir wielkiego świata krzemienieckiego, w którym dzień i nocy kręciłem się. Ci, co poprzyjeżdżali na początku zapustu, nie dziesięć, ale czterdzieści dni i nocy przetańcowali, przebulali. Prawda, że towarzystwo krzemienieckie arcypowabne, że panny prześliczne, gospodynie arcyuprzejme; tańczą tam ślicznie, jedzą doskonale, ochota prawdziwie polska; szkoda tylko, że to wszystko przypruszone cudzoziemszczyzną, jakby pyłem jakim; szkoda tylko, że tej zabawy zanadto. Pan Jezus czterdzieści dni pościł i płakał za nas, a tam, jak gdyby o tem zapomniano, czterdzieści dni najhuczniejszej zabawy.

Z Krzemieńca wróciwszy do domu, wziąłem się do roboty kupieckiej; naprzemian z Leonem wyprawialiśmy pszenicę i jeździliśmy do Odessy. Wozy łamały się pod pszenicą, taka ciężka; bryki łamały się pod pieniędzmi, tak wiele ich było! A miałem ludzi tak pewnych, że kiedy raz idąca za moim koczem bryka z pieniędzmi obłamała

się, nie czekałem aż ją naprawią, i sam ruszyłem naprzód do domu, zostawując pieniądze o kilkanaście mil od domu na stepie, z którego ludzie, co wieźli pieniądze, mogli byli drapnąć z niemi na koniec świata. Poczciwy bo ten lud ukraiński! Słudzy moi lubili mnie dosyć, i ja też ich lubiłem; dwa razy zdarzyło mi się uderzyć człowieka przez niecierpliwość i dotąd nie mogę tego sobie przebaczyć. A raz kozaka kazalem ukarać, ale tego nie żałuję, bo pan kozak ufny w łaski pańskie, targnął się był na starca wobec ludzi dworskich, więc też wobec tych ludzi poniósł był karę.

Po kilku miesiącach zajmujących trudów, żartem, zarobiliśmy przeszło sto tysięcy złotych. Szczęśliwa ta próba zachęciła do kupiectwa całą okolicę, a sąsiad nasz i wielki przyjaciel, pan Jan Modzelewski, człowiek przeznacny i z głową, który już od kilku lat szczęśliwie kupczył z Odessą, z tej próby naszej powziął był myśl założenia domu kupieckiego polskiego w Odessie. Kilka milionów złotych miało stanowić pierwszy zakład tego domu; pieniądze te można było zgarnąć w jednej chwili, ale niewinnie stanąłem temu na przeszkodzie. Chciano bowiem, żebym przyjął na siebie zarząd tym domem. Myśl zakładu pochwaląłem bardzo. Uśmiechała się temu domowi nadzieja wyrwania kupiectwa z rąk Żydów i nadania nowego życia bogactwom ziemi, nie dałem się jednak zachęcić tym pięknym nadziejom; gotów byłem oddać temu domowi pieniądze moje, ale osoby mojej poświęcić nie chciałem, bo w mojej głowie i sercu już dojrzewiała myśl inna.

ROZDZIAŁ XV.

Pierwsza myśl kapłaństwa.

Płynął mi roku po roku, jak Boh nasz płynie, strojnie, szumno, wesoło i szybko, jak Boh płynie na wiosnę, kiedy zapominał o tej zimie, co przeszła, a nie myśli o tej co przyjdzie. I pocóżbym miał się troszczyć o przyszłość, kiedy miałem spokojność i zdrowie, kiedy zmysły moje żyły pięknnością i dostatkiem wszechrzeczy, kiedy serce moje żyło miłością rodzeństwa i przyjaciół, kiedy duszę moją karmiła myśl święta, co panowała nade mną słodko, rozkosznie; co jak morze swe krople, tak ona pochłania wszystkie uciechy i radości moje, i życie moje wynosiła nad życie; co jak powietrze niewidzialna, lekka i lotna, wciskała się pomiędzy mnie, a wszystko co mnie otaczało, co mnie bawiło, co mnie smuciło, co mnie poprawiać albo psuć mogło; ona mnie obwiewała swoją wonnością i mocą, a duszy mojej była za skrzydła; porywała ją nieraz zachwytem niebieskich rozkoszy i unosiła z sobą aż do stóp tronu Pańskiego. Ta to myśl cudowna i czysta stworzyła i wypieściła we mnie zamiar wielki i święty. O gdyby człowiek nie miał zmysłów, co duszę jakby ołowiem ciągnął do ziemi, jak szponami wiązał, dawnoby już ten zamiar ustalił me szczęście; ale nim się dusza wywinie ze wszystkich mamideł i sidła, nim pokona zmysły, nim zapanuje nad człowiekiem, ubiegają dnie, miesiące, lata, czasem

i śmierć zaskoczy, a wtedy biada ci nędzniku, coś się ociągał!

W całym biegu młodości mojej przemieszkowała we mnie myśl oddania się Bogu, służenia Bogu i ludziom przez stan kapłański. Łaska Boska, co strzegła młodość moją, natężyła mnie tą myślą, którą rozwijało coraz bardziej, i wewnętrzne a niezbadane uczucie i wspomnienie na znikomość rzeczy ludzkich, na wieczność, i cudza bezbożność, i brak dobrych kapłanów, i widok szczęścia wewnętrznego, jakiego używa tu na ziemi jeszcze kapłan świątobliwy.

Nie raz modląc się westchnąłem i zawolałem: Boże, jeśli wola Twoja, przyjm mnie za sługę Twego! Może pozwolisz mi odprowadzić do Twojej trzody choć jedną zbłąkaną owcę; może gdy ja się poświęcę służbie Twojej, Ty wejrzysz na rodzeństwo i na przyjaciół moje. Boże, zabierz sobie młodość moją, niech ja do Ciebie należę!

Tę prośbę wymawiała ciągle dusza moja, te myśli ściagały mnie wszędzie i były obecne wszystkim zabawom i uciechom, wszystkim troskom moim, a jednak jak się ubrałem raz w suknię księdza Markiewicza, spojrzawszy w zwierciadło, zapłakałem. Taka to ciężka walka ze światem!

Markiewicz śmiał się i powiedział:

— I mnie tak było markotno, jakem pierwszy raz włożył sukienkę, i moja matka zaklinała mnie, abym nie był księdzem; a dziś, widzisz, jakem szczęśliwy i moja matka szczęśliwa.

Ksiądz Markiewicz utwierdzał mnie w zamiarach moich, przywoził mi przykład Kazimierza, Stanisława Kostki, Franciszka Salezego i wielu innych Świętych, co dla chwały Bożej rzucili większe jak moje, bogactwa i uciechy świata. Matka domyślała się chęci mojej, nie raz zapłakała. Markiewicz odводził ją od płaczu, mówiąc święte słowa; ona mówiła, że można w każdym stanie dośługiwać się nieba dla siebie i dla drugich; a ja nie miałem innego sposobu utulenia jej, jak mówiąc, że tak bę-

dzie, jak Pan Bóg zechce, i że sam nie wiem, co uczynię. I w rzeczy samej nie wiedziałem, biedząc się z myślami moimi jak z sierotami.

Nie raz zanęcił mnie powab małżeństwa, nie raz szukałem chciwie, czy jest w tem dla mnie wola Boża, nie raz zachciałem, żeby była; szukałem, nie jedna twarzyczka wpadła mi w oko na chwilę, nie jedno serce wydało mi się jak lza, i czyste, i czule; ale Pan Bóg spojrzeniem żadnej dziewicy nie napisał w sercu mojem: *To twoja*. I znowu wracała myśl pierwsza; i tak walczyłem sam z sobą.

ROZDZIAŁ XVI.

Podróż po Szwajcaryi.

W końcu stycznia 1832 r. pospieszyłem do Genewy na spotkanie brata mego. Jadę trzy dni i trzy noce, a Szwajcaryi jak nie widać, tak nie widać. Czwartego dnia niebo było pogodne i czyste, słońce nad zachodem łagodnie patrzyło w tę samą co i ja stronę, sanki wywijając się z ostatniego zakrętu drogi, wśliznęły się na wyniosłość gór *Jura*, a widok wspaniały niespodzianie zachwycił wszystkie zmysły moje; siłę wszystkich zmysłów skupilem w oczy i całym sobą patrzyłem. Góry całej Szwajcaryi stały potrójnym rzędem, spinając się jedne nad drugie, jak gdyby wszystkie chciały oglądać zachodzące słońce i zachwycić jego ostatnich promieni; a wszystkie w jasnej a miękkiej bieli świeżego śniegu; im słońce niżej spada, tem one wyżej się wznoszą, jak gdyby za niem gonily; słońce spozrzało na nie raz ostatni i uciekło, a jego promienie ugrzęzły na górach i długo jeszcze świeciły osieroconej od słońca krainie; nakoniec słońce zbiera i te ostatnie promienie, bo ze wszystkimi musi iść na służbę drugiej połowie świata; góry pasowały się ze słońcem, słońce się im wydarło, a one poczerwieniały od złości i różanym ogniem płoną, i tak najpiękniejsze. Między mną a górami położyła się zielona dolina; na tej dolinie, jak na dłoni widać wsie i miasta; na prawo największe

miasto, to Genewa; przy niej jezioro czyste jak niebo, spokojne jak niebo, a wszystko co to jezioro otacza, pochowało się w niem, i pod wodami jego pozawieszało obrazy swoje. Spuszczałem się coraz niżej, a góry podnosiły się coraz wyżej, bladły, światu na dobranoc poświęciły jeszcze trochę białością swoją, potem obwinęły się szarym płaszczem i poszły zasnąć w miękkich obłokach; a ja do Genewy jechałem jeszcze ze dwie godziny.

Uściskałem mego brata; uczucie długo miotало sercem mojem, bo długo wypytywałem się go o szczegóły, długo rozmawialiśmy o nieocenionej matce naszej, co jakby nasz Anioł Stróż, w każdej ciężkiej próbie staje nam ku ratunkowi. Teraz dopiero zaczęliśmy czuć całą srogość rozłączenia się naszego, całą samotność naszą. O! jak nam drogie były wspomnienia każdej matczynej pieszczoty, jak drogą pamięć matczynego błogosławieństwa! Nasza matka była między nami, czuliśmy ją w każdej chwili, zdawało się, że liczymy dnie i godziny, co nam z nią przemigają jak błyskawice, a jak łza oschnie a matki nie widać, łza powraca i matka powraca.

Zwiedziliśmy Szwajcaryę wzdłuż i wszerz. Płynąc z Lucerny widzieliśmy to uświęcone miejsce, z którego Wilhelm Tell strzelił do swego ciemieżcy i to miejsce, gdzie Wilkenryd piersiami swojemi sto grotów pochłonał, a śmiercią swoją zwyciężył nieprzyjaciół ojczyzny i dał życie wolności ziemi swojej. To też tym bohaterom, pomnikiem całą Szwajcaryę.

Z Lucerny chcąc dostać się do południowej Szwajcaryi, musieliśmy się przeprawiać przez górę św. Gotarda, a było to w takiej porze, kiedy ta góra cała zasypana ogromnym śniegiem; wtedy tylko dwa razy na tydzień poczta listowa jednokonnemi saneczkami przemyka. Ale my do śniegu przyzwyczajeni, obwinawszy się w nasze szuby ruszamy. Każdemu z nas dają jednokonne saneczki bez dyszla, przyczepione tylko do konia postronkami, któ-

rymi koń ciągnie; chcą nas przywiązać do sani, a my pytamy, czy to my tłomoki, czy wiązki siana, czy co takiego? Szwajcarowie śmieją się, pobrali rydle, jak gdyby nas gdzie zakopać chcieli. Siadamy na owe ich saneczki, jak na konie, a trzymamy się za sznur jak za grzywę, i dalej w drogę.

Pod górą św. Gotarda, Szwajcarzy pokazują nam most dyabli (*Pont du Diable*), patrzymy, niema nic dyabelskiego, ruszamy dalej. Tylko cośmy wjechali trochę na górę, jak się zerwie zawieja, jak zacznie nam sypać śniegiem w oczy, jak zacznie nas szczypać mrozem po twarzy, jak zacznie miotać sankami naszemi, jak złączą sanki wierząc, nieraz wiatr zdmuchnie je na przepaść i tylko wiszą na koniu, który wtedy stanie jak wryty, Szwajcarzy wywindują sanki i dalej ruszają; trzymamy się za sznur z całej siły; domyśleliśmy się wtedy, dlaczego to chciano nas przywiązywać, dlaczego to wożąc tamtędy tchórzów, powijają ich w piernaty; spozieramy jeden na drugiego, pytając, czy śpi. Po trzech godzinach takiej tarapaty, dodrapaliśmy się na wierzchołek góry, stanęliśmy, konie sapaly, a my oglądaliśmy się na wszystkie strony. Straszny widok, wszędzie albo śnieg bieleje, albo przepaść czernieje, albo góra straszydło, której i śnieg uczepić się nie chce, suchą skałą, jakby trupa kością sterczy nad śniegiem. Zmykajmy stąd, bo tu siedlisko śmierci, tu grób ziemi. Sanki powinny się ku dołowi, konie szły rażniej, pogoda jaśniała, śnieg chrupie, sanki zataczają się to na prawo, to na lewo, i przypomniana się domowa sanna. Od strony południowej mróz mniejszy, a od dołu wionął czasem wiatr ciepły; na koniec majowa zieloność doliny chwyciła nas za oczy, a wiosna ożeniona z zimą, wyglądała jak rumiany młodzieniec, któremu siwizna przez pomyłkę głowę ubieliwszy, na przeprosiny wdzięczy się do niego, i od jego oczów sama młodnieje. Na górze nawet wilki wyć nie chcą, a na dole już śpiewa skowronek; na górze szumi wiatr i śniegiem pomiata, na dole szumią bujne

wodospady, a odbryzgiem wód swoich karmią kwiaty, co ją otoczyły: góra zazdrosna wdzięków doliny, z piorunowym trzaskiem ciska w nią olbrzymie bryły śniegu i zabija nimi igrające kozy, zawala domy swobodnych pasterzy. Wolę dolinę, a górę dlatego tylko lubię, że z niej i przy niej piękniejsza dolina. A zresztą niema co i wymyślać, bo wszystko piękne, co Bóg stworzył, i to tak piękne, że nic piękniejszego myśl ludzka wyobrazić sobie nie może, choć czasem w opętaniu swoim myśli, że świat byłby piękniejszy i lepszy, gdyby Stwórca był się jej radził. Spuszczamy się coraz niżej, szczyty gór chowają się poza nas, jakby się wstydziły złości swojej, a przed nami roztwiera się widok obszerny i daleki, i oko po dolinie aż do Włoch się potoczyło.

Przebiegliśmy piękną Belincone, a zatrzymaliśmy się czas niejaki w Lugano, gdzieśmy się zaprzyjaźnili ze znakomitym obywatelem tego miasta, a dawnym tułaczem włoskim *Ciani*.

Z Lugano pojechaliliśmy popływać po rozkosznem jeziorze *Lago Maggiore*. Zagościliśmy dni kilka na cudnych wyspach Boromeusza; przyroda i sztuka, ustroiły je na wyścigi, a w tem cudownem ustroniu osiadły na zawsze słowiki i wiosna: wyspy te, kochanki jeziora, woda ogrzewa je w zimie tchem swoim, a w lecie ochładza rosą i świeżym powiewem swoim. Ale nic mnie tak nie zachwyciło nad brzegami tego jeziora, jak posąg świętego Karola Boromeusza, niegdyś pana tych wysp i tego jeziora i rozległej krainy; pana, który stawiał najwspanialsze świątynie, zakładał i uposażał największe domy dla chorych i ubogich, a sam sobie nakazał największe ubóstwo. Potomność odplaciła dobrodziejstwa pomnikiem, a chcąc nim doścignąć miary dobrodziejstw, na pierwszym wyniesieniu jednej z gór otaczających jezioro, wystawiła posąg olbrzymi. Kiedym pierwszy raz spojrział z jeziora na tego olbrzyma, nie było góry ni przed nim, ni za nim, widziałem go całego na obłoku i byłem zachwycony. Olbrzym ten wyo-

braża świętego biskupa błogosławiącego lud; spokojność i świętość w całej postawie, a słońce otoczyło w tej chwili głowę jego promieniami swymi. Wysiedliśmy na ląd, aby się przypatrzeć temu cudowi sztuki. Posąg ten jest tak kształtny, że i z bliska widziany nic nie traci ze swego wdzięku. Stoi na podstawie granitowej, kilkanaście łokci wysokiej, a sam ma wysokości stóp 72. Głowa i ręce wyłane, reszta wykuta z miedzi; po drabinie, którą przystawiają dla śmiałych podróżnych, wleźliśmy po pod fałdy sukni aż do głowy: w księdze, którą ten posąg trzyma pod lewą ręką, czterech ludzi się zmieści, a w nosie jego wygodnie usiąść można. Posąg ten kosztował trzy miliony złotych. Posąg ten tak mnie zachwycił, jak najslawniejszy obraz Rafaela, wyobrażający Najświętszą Pannę, a znajdujący się w Dreźnie.

Wracaliśmy przez górę świętego Bernarda, tam mieliśmy przeprawę krótszą i łatwiejszą, jak przez górę świętego Gotarda: przejechaliśmy potem *la via mala*, po bardzo dobrej drodze; a wszędzie góry, przepaście, na górach jeziora, na dole jeziora albo huczące strumienie, po bokach wodospady; w tem wszystkiem i podobieństwo i różnaitość; a mówiąc po prostu, góry taj góry, i zaśpiewaliśmy sobie sławną piosneczkę: *kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu, kamień na kamieniu*. Otóż to Szwajcarya, a jak chwalono jaki wodospad, to mój brat mówił, że nic osobiwego, bo zawsze idzie z góry na dół, a nigdy z dołu na górę; tym sposobem droczył się ze Szwajcarami. Przyprowadza nas Szwajcar w Szafuzie do sławnego spadu Renu, i patrzy, a mój brat mówi mu: prowadźże mnie już do twego sławnego *Reinfal*. Zapewne, że wspaniały jest ten spad Renu, ale tyle o nim nagałano, żeśmy go sobie wyobrazili byli przynajmniej trzy razy wspanialej; nasze Dnieprowe porohy piękniejsze i wspanialsze od niego, jednak nie żałuję, że go widział, choć potem musiałem zejść piechotą z Szafuzy do Zurich w dziewięciu godzinach bez spoczyniania.

Zajechaliśmy na wypoczynek do Bernu, gdzieśmy mieli znajomego a przyjacielskiego generała Różyckiego.

Z Bernu jużemy mieli spieszyć do Francyi. Ale generał Różycki mówi nam:

— Nie spieszcie się, niema pogo; a szkoda żebyście odjechali ze Szwajcaryi, nie widząc *Oberlandu* berneńskiego.

— A długo to tam trzeba po tym *Oberlandzie* chodzić?

— Za trzy dni wróciecie.

Więc wybraliśmy się na trzy dni, to jest poszliśmy nie z sobą nie biorąc, a przyodziałwszy się w najgorsze suknie, bo mieliśmy się tam drapać po skałach.

Już i Bern ślicznie leży na wyniesieniu, otoczony zewsząd doliną; a ta dolina ściśnięta górami, pobiegła na prawo aż do jeziora Tun. Wyszliśmy z Bernu środkiem tej doliny zieleniejącej rozkosznym majem. Cała ta dolina, trzy mile długa, niby jeden ogród; po całej dolinie rozpięchnięte domki chędogie a wesole; poprzecinały ją drogi i rzeki, ozdobiły kwitnące drzewa owocowe, ubogaciło prześliczne bydło, zaludnił piękny i strojny mieszkaniec. Dolina ta, wijąc się, ścięła się pokornie po pod stopy gór strasznych, jak gdyby się prosiła, żeby jej nie zasypały, a wije się z takim pędem, że przeskoczyła jedno jezioro i drugie, i dalej pędzi.

W mieście Tunie, u brzegu jeziora, gotowe już łódki czekają podróżnych, jak gdyby u Styksu, ale zamiast Charona piękne Szwajcarki. Do łódki wskoczysz wesolo i ochoczo; bo śliczne brzegi w wodach jeziora dwoją wdzięki swoje; widzisz pod wodą i kwitnące drzewa, i życie ludzkie, i góry olbrzymie, i całe obłoki, i dziwisz się, jak się to wszystko umieściło w jednym jeziorze, a czyż nie większy to dziw, iż to się umieściło w oku twojem, jak gdyby na ciągłą przestrożę o wielkości świata i Stwórcy jego, a o twojej małości. Westchniesz i zamysłisz się. Szybka łódka mknie dalej a dalej; już na środku jeziora; małe przedmioty znikły ci z oczu, góry zewsząd

zaskoczyły ogromem swoim, ścisnęły jezioro, zda się, że już cię na zawsze od świata odcieły; a same piętrzą się wyżej a wyżej, i już ci śniegiem pogroziły. Westchniesz do Stwórcy jeszcze serdeczniej, myśl twoja pnie się ku niemu po nieprzeliczonych szczytach gór i na nich ukleka, wtedy dopiero strach cię odejdzie; góry rozsuwają się powoli, łódka do brzegu się zbliża, i znowu widzisz czarujące brzegi, a przed okiem twojem pomiędzy dwoma jeziorami, rozwija się jeszcze cudniejsza dolina.

Piękniejszej doliny nigdy nie widziałem, ani wymyślałem. Dwa jeziora po dwóch brzegach; po dwóch bokach dwa gór łańcuchy; jeden prosto w górę wyrasta z doliny i zamyka ją szczelnie; drugi łańcuch jeszcze wynioslejszy, jeszcze zda się potężniejszy, ale dolina odepchnęła go nieco dalej, pokruszyła go tu i owdzie, i różnymi wyłomami patrzy daleko między góry, widzi szczyt góry *Jungfrau*, a dalej widzieć, ani chce, ani może. Dwie bujne rzeki, jak dwie srebrne wstęgi przepasują całą dolinę; a do tych rzek, niby błyszczące nitki, zbiegają się z wielkim pędem, z gór zmykające strumyki w szumnych wodospadach. A cała ta dolina jest niby jednym najpiękniejszym ogrodem: miasteczko *Interlaken* i kilka wiosek rozrzuciły po całej dolinie najpiękniejsze szwajcarskie domy, zamieszkane przez najpiękniejsze i najpiękniej strojne Szwajcarki.

Wysiadłszy z łodzi, tym cudnym a tak pełnym obrazem nie mogłem napaść oczów moich, nasycić duszy mojej; wbiegałem z jednego urwiska na drugie, żeby oczami do pamięci mojej nachwytać jak najwięcej tych czarujących widoków. Było to z rana; słońce najmilsze rozweselało całą okolicę, a takie tam powietrze, że jak niem napelnisz piers całą, to ci go żal oddawać, radbyś je połknąć, bo myślisz, żeś zachwycił najwonnejszą, najrzeźwiejszą cząstkę jego.

Na wypoczynek wchodzimy do jednej gospody; pusto, ludzie byli na robocie, bo choć w Szwajcaryi pięknie,

swobodnie, ale trzeba bardzo pracować. W trzecim czy w czwartym pokoju znajdujemy śliczną dziewczę, uczącą czytać małe dzieteczki; przyjęła nas uprzejmie, a nim przygotowała śniadanie, siadam do klawicymbału, i pełny wrażeń dnia tego, dźwiękami pieśni wtórowałem myśli mojej. Dziewczyna za śniadanie zapłaty przyjąć nie chciała, mówiąc: «panowie jutro tędy wracać będą, to razem zapłacą».

Poszliśmy w dalszą drogę, zapuściliśmy się na górę *Jungfrau*, tak daleko, jak można było w tej za wczesnej porze. Zaszliśmy w takie miejsca, gdzie już obumarła ziemia sterczy nagiemi skałami, albo już zagrzebana wiecznym śniegiem; tam napatrzyliśmy się odwiecznych lodozwałów, tam napatrzyliśmy się strasznych śniegospadów, co w owej porze najobfitsze. Zmykając z tej nieludzkiej krainy, zziębli i przemoczeni, zagraliśmy się i osuszyliśmy się przy niespodziewanym a nieszczęśliwym ogniu. W pewnej wiosce gorzał dom ubogich; pomagaliśmy gasić go jakieśmy mogli i nie odeszliśmy wprzód aż ogień ugaszono. Przysmaliwszy i obszarpawszy podróżne suknie nasze, wracaliśmy do Interlaken, mówiąc: pięknie się pokazemy tej ślicznej Szwajcarce, co wystrojona jak lalka.

Przyszedłszy do Interlakenu późno wieczorem, zastaliśmy ze stu Szwajcarów, co już od kilku godzin na nas czekali; jeszcze tam nie widziano Polaków; dopieroż nas witać i oglądać. Prosimy o skromny posiłek, a nam zastawiono wspaniałą wieczerzę. Myślimy sobie: o! to nas zedra. Po wieczerzy chcemy już spać, a jutro wracać do Bernu, ale Szwajcarowie powiadają, że trzeba jeszcze koniecznie zobaczyć wodospady Gisbach i Aar, popłynąć do Meiringenu, tam przypatrzeć się najpiękniejszemu Szwajcarcom, wrócić napowrót i z nimi zabawić przez całą uroczystość strzelniczą całego kantonu, która się tam rozpocząć miała. Wymawiamy się tem, że nie mamy z sobą ani bielizny, ani sukien; nie nie pomaga, kilku Szwajcarów ciągnie nas, każdy do swego powozu, żeby nas za-

wieźć na noc nad drugie jezioro *Briens*, żeby przed wschodem słońca być już na jeziorze. Trudno się było oprzeć. Wyjeżdżając, pytamy cośmy winni, powiadają, nie; prosimy, żeby nam pozwolili zapłacić, nie nie pomaga.

Przy wielkiej radości Szwajcarów, a przezwyciężając ile możliwości wstyd nasz, zwiedziliśmy cały *Oberland*, nic nie płacąc, wszędzie znajdując powozy, łodzie, przewodników, obiady i wieczerze wysmienite; przy każdej osobliwszej piękności miejsca, Szwajcarki jak gdyby rusalki, wyjdą z lasu, przy szumie wodospadu zaśpiewają zgodnym głosem szwajcarskie pieśni i znowu znikną. Zdawało mi się, że zajączę do jakiejś zaczarowanej krainy; co spotkam kobietę, młodą, ładną, strojną jakby w największe święto; co znajdę do jakiego gospodarza, uprzejmy jak gdyby sługa mojego domu; jak gdyby sąsiad polski; a to wszystko w najpiękniejszej krainie, której rozlicznych wdzięków oko nałapać, myśl nachwytać nie mogła.

Jeszcze zwracają się oczy za tą lub ową górą albo doliną, a tu druga zastępuje jej drogę, a tak się mili i wdzięczy, że trzeba powiedzieć, piękniejsza. Jeszcze jeden wodospad dalekim rozgłosem szumi i lekką pianą srebrzy się z daleka, a tu kilka innych rozrywa wzrok twój i każdy ciągnie ku sobie, a każdy inny: ten skacze ze skały na skałę, pniąc się ze złości, że żadnej nie wyrwie; tamten z płaskiego urwiska szerokim płatem zapada w przepaść i zwierciadłem błyszczy; inny znowu z wierzchołka wyniosłej góry, wytryska daleko w dolinę, rozplata się niby warkocz, a na dolinę już deszczem spada, a od skwaru słońca zasłania się tęczą; ten z szumem i loskotem prosto wpada w jezioro, po którym płyniesz, a gdy się zbliżysz, on igra z łodzią twoją, a góry skacząc śmieją się ze strachu twego. Lubujesz się wdziękami każdego wodospadu, dopóki wszystkich tych wdzięków razem nie ujrzysz w jednym wodospadzie Gisbachu, który nim z wierzchołka wyniosłej góry spadnie do jeziora, po dziesięciu stopniach

skacze olbrzymim skokiem, a zawsze w nowym kształcie i z nowym wdziękiem; tam spada prostopadle i zwiija się w wir straszny, i z tego wiru rozwija się w kilka ramion; znowu zbiera wszystkie ramiona i ciska się potężną rzeką wysoko jak z wieży, a z takim pędem, że się aż w luk wygnie, a pomiędzy tym łukiem a skałą, z której spada, możesz przejść suchą nogą, ochłodzić się po trudach przechadzki i przez tę rzekę jak przez szkło patrzeć na piękną okolicę zasloniętą tym wodospadem, jak na piękną dziewczynę osłoniętą przezroczystą lecz zazdrosną zasłoną; dalej ta rzeka skacząc po skałach, roztrąca się w rosę, co jak błyszcząca para buja w powietrzu barwami tęczy; nakońiec kipi spienionymi wałami, co białe jak śnieg, przezroczyste jak woda, toczą się jedne przez drugie, jedne przez drugie skaczą w jezioro, jak gdyby wiedziały, że tam odpoczną; a patrząc na nie, to aż ćmi się w oczach i zda się, że oczy przewracają się z nimi, że z nimi spadają. Odwrócisz oczy od tego wodospadu, i żal ci za nim, a patrzysz na wodospad, to żal ci za cudną okolicą, w której ten wodospad jest tylko małą odrobiną. I nie wiesz, czy puścić wzrok na dwa niebieskie jeziora, co tak ożywają te góry, jak piękne niebieskie oczy ożywają twarz piękną; czy toczyć nim po różnokształtnych górach, u spodu strojnych białokwitnącem drzewem, u góry białobłyszczącym śniegiem; czy skakać nim po ludzkich mieszkaniach, co tak się poczepiały po górach, jak muchy po ścianach, jak gwiazdy po niebiosach. Radbym się był urodził w tem cudnem miejscu, gdybym się nie był urodził nad brzegami Bohu.

Zabawiwszy przy Gisbachu tak długo jakeśmy mogli, wróciliśmy do Interlakenu, gdzieśmy już zastali Szwajcarów licznie zgromadzonych na uroczyste strzelanie, które cały dzień trwać miało. W miejscu ku temu najstosowniejszem, dziesięć tarcz stało, do każdej tarczy zapisało się kilkadziesiąt strzelców; poczyniono z największą dokładnością wszystkie potrzebne przygotowania; naza-

jutrz ma się rozpocząć strzelanie. W najbliższych gospodach gromadnie zebrani, bawią się weseli Szwajcarowie, wszyscy równi, wszyscy sobie bracia, i bogaty i ubogi, i urzędnik i kupiec; wszyscy poufale a grzecznie, nie wrzaskliwie a wesoło. Nas postawiono w najlepszej gospodzie, a gospodynie, trzy piękne Szwajcarki, opiekowały się nami, jakby wybranymi swymi. Zniesiono nam mnóstwo sukien i bielizny na wybór, i przecież porządnie wystąpiliśmy w tem liczmem zgromadzeniu.

Równno ze dniem zagruchotały bębny; oddział gwardyi narodowej szedł naprzód, a za nim strzelcy, przymusiwszy nas, abyśmy szli na ich czele; pociągnęli na miejsce strzelania; tam rozdzielili się pomiędzy budki odpowiadające tarczom, a tak jak i tarcze, postrojone w chorągwie narodowe. Za danym znakiem palnęły strzały ze wszystkich budek i grzmiały aż do wieczora, a za każdym strzałem wybiegał stróż tarczy w czerwonym ubraniu, z czarną bulawą w ręku, ukazywał, i znaczył strzały, a kto w sam środek tarczy ugodził, temu stróż padał plackiem na ziemię, niby zabity; choć strzelają tam o trzysta kroków, mało który strzał chybi do kręgu mającego pół łokcia średnicy. Tak strzela każdy Szwajcar, a jeszcze się wprawia: każdy Szwajcar ma broń, każdy strzelec gotowy, każdy po skałach drapie się jak sarna, każdy lotny jak chart, każdy kocha Szwajcaryę jak ojczyznę, a wolność więcej jak życie. Nad wieczorem wielki powszechny obiad. Posadzono nas jako gości na pierwszym miejscu i pierwsze kielichy wzniesiono za nasze zdrowie.

Nazajutrz i dni następnych jeszcze większa serdeczność Szwajcarów. Chcieli też widzieć jak Polak konia dosiada; przyprowadzili najdzielniejszego, jakiego mieli, i ten był na moje usługi, i musiałem na tym koniu harcować, zataczać nim, jak w boju, używać palasza i spisy jak w boju, strzelać w pędzie jak w boju. Szwajcarowie i Szwajcarki dziwowali się temu, bo u nich między górami mało używają konnej jazdy, mało też dobrych jeźdźców.

Tak przebulawszy dni kilka, upomnieliśmy się o suknie nasze, oddano je nam odnowione, jak można najlepiej; ledwośmy uprosili, żeby od nas odebrano te, które nam pożyczono; musieliśmy na pamiątkę zachować sobie po chustce jedwabnej, aniśmy się mogli doprosić, żeby od nas przyjęto zapłatę.

Wróciwszy do Bernu, napisaliśmy do naszych Szwajcarów, dziękując im za gościnność, i zapraszając ich do domów naszych.

ROZDZIAŁ XVII.

Podróż do Anglii.

W 1835 r. pośpieszyłem zwiedzić Anglię, tę ziemię wzorową wolności i oświaty, rolnictwa i przemysłu, kupiectwa i bogactw. Puściłem się w tę podróż w miesiącu czerwcu, a byłem z niej rad nadspodziewanie.

Morze było spokojne. Przez cieśninę zajrzałem już białe brzegi Anglii, od których krainę tę starożytni Albionem nazwali. Nim siadłem na parowy okręt angielski, poszedłem wykąpać się w morzu. Właśnie wtedy morze ubywało; szedłem tedy po dnie morskiem, jak niegdyś Żydzi przez Czerwone Morze; równo, piaszczysto, a co najdziwniejsza sucho, choć dopiero morze tam było. Idę ciekawie po dnie morskiem przynajmniej przez ćwierć godziny, rozmyślając nad tym cudem, że morze ściślej jak żołnierz, dokładniej jak zegar, jak wszystko co człowiek wymyślił, odbywa służbę swoją, którą mu Bóg nakazał.

Tak dumając, idę sobie tuż za morzem; wtem morze jakoś inaczej zagrało i zaszumiało balwanami, poszło w dziwny taniec; i co łagodnie usuwało się ode mnie, spina się ku mnie, i wał za wałem pędzi za mną, a huczy!! Bijże się tu z niem! Niema co robić, więc w nogi! Pędzę, jak mogę; jakem trochę uciekł od strachu, oglądam się dopiero, czym uciekł od morza; patrzę, aż morze da-

leko. Stoję, nie prędko przychodzi, więc się oswoilem z niem, jak ptaki ze straszylem; zostawiłem suknie z daleka, a sam w morze, i z morzem do nich przyplynałem i znowu je dalej odniosłem; i znowu siadałem na morze, jak ptak na powietrze, i mówiłem mu: Nieś mnie! I niosło dopóki mnie się podobało; i nie życzę sobie, żeby tego podobania się kolej na morze kiedy przyjsć miała.

Nad zachodem słońca siadłem na okręt angielski parowy, śliczny jak pieścidelko, zgrabny jak zabaweczka, szczelny jak orzech, lekki jak koncha, szybki jak ryba. Odbiliśmy od brzegu. Okręt w cwał zbierał kołami, mknął po morzu, jak mój koń po stepie. Francya od nas ucieka, Anglia do nas biegnie. Słońce ogromne tonęło daleko w wodach i swoją krasą okrasiało całe morze. Księżyc omdlały, wymokły, powoli z morza wyziera, a jak się słońce schowało, jemu dopiero życia przybyło; po drobnouchnych zmarszczkach morza puścił swe promienie i te zmarszczki przemienił w srebrną łuskę; wytoczył się wspaniale na ciemnobłękitne niebo wyszyte gwiazdami; gwiazdy migają jak mogą, na znak, że żywe, a księżyc nie gasi ich zupełnie, bo przy nich piękniejszy. Powiew morski ogarnął nas wodnym chłodem, rzeźwi nas, aż zęby dzwonią; kto chce zmyka z pokładu, a ja przez całą noc patrzałem, to w wysokość nieba, to w głębokość morza, zamknięty między morzem i niebem, jakby w kuli jakiej, ogromnej jak cała przestrzeń, cudownej jak dzieło boskie. Nie mogłem rozeznąć, gdzie niebo spoilo się z morzem, bo niebo i morze pociągnęły się jedną barwą, bo wypukłość nieba i wklęsłość morza zasiane gwiazdami, tylko te, co w morzu, drżą jak gdyby pomarzły. Kiedy niekiedy mignął światelkiem podróżny okręt; kiedy niekiedy plusnął rozkosznie jakiś mieszkaniec morski, ciekawy zajrzeć, kto mu tam po suficie jeździ.

O wschodzie słońca byliśmy przy ujściu Tamizy; a do Londynu jeszcze trzy godziny płynąć mamy, ale te trzy godziny zbiegły, jak trzy minuty, bo rozmaite obrazy

rozerwały czas pomiędzy siebie. Rozkoszne brzegi Tamizy, okryte łakami cudnej zieloności, jakiej nie widać na stałym lądzie, a na łakach różnego kształtu ludzkie mieszkania, a wszystkie skrętne a czyste, jakby się codzień kąpały; dalej domy te zaczęły się gromadzić i pociągnęły się nieprzerwanym łańcuchem przynajmniej mil parę aż do Londynu; na pobliskich wzgórzach ogrody i zamki, dalej zbrojownia morska Wulicz, w której 25.000 dział okrętowych leży na zapas, a jeszcze nowe świdrują; dalej Grynicz, mieszkanie wysłużonych żołnierzy, sławne wspaniałością budowy; o milę patrzy na Londyn i nie boi się żadnego gmachu jego. Tamiza zważa się coraz, ale jeszcze szeroka, a już wygląda niby ulica dla okrętów; parowe statki mijają się już tak gęsto, jak powozy w wielkim mieście; a każdy statek strojny, pełen strojnego ludu, na każdym brzmi muzyka, każdy z nich zwozi ludzi i towary ze wszystkich stron świata, albo towary i ludzi na cały świat wywozi. Jeszcze do miasta daleko, a już na Tamizie wrzawa jak na ulicy, już niepolicone okręty stojące wzdłuż brzegów pociągnęły się w miasto podwójnym i potrójnym rzędem, a miasta nie widać. Aż nagle skręca się Tamiza i otwiera się widok dziwnie wspaniały.

Miasto straszne nieprzejrzanym ogromem położyło się po obu stronach Tamizy. Na prawo kościół świętego Pawła, największy na świecie po kościele świętego Piotra w Rzymie, usiadł na wierzchu miasta wspaniałą kopułą; dwie wieże gotyckie świątyni westminsterskiej panują po lewej stronie. Tamiza niby główna i najludniejsza ulica Londynu, przecina miasto; kilka mostów strasznych wysokości swoją, przerzuciło się przez Tamizę. Z daleka widać sterczące nad brzegami niby obeliski, niby pomniki, a to wyższe od wszystkich pomników i obelisków kominy rozlicznych rękodzielni. Ciekawe oko zapuściło się w głąb miasta, ale je wnet na prawo odrywa widok najcudowniejszej przystani; w ogromnych sadzawkach, niby jeziorach, zdziałanych ręką ludzką, a niby w skale wykutych, nie-

policzone mnóstwo okrętów wszelkiego rodzaju; różne ich barwy, różne na nich powiewają chorągwie, a ludzie po tych znakach, jak po piśmie poznają, co który przywiózł, co ma wieść, gdzie i kiedy płynie; a taki ruch wszędzie, tak przedmioty migają, że ani ich okiem nałapać, ani myśłą objąć. Okręt nasz płynie, jakby szedł stępem, tak mu ciasno; nakoniec staje. Kilkanaście łódek otacza go, przewoźnicy zdobywają okręt i rozrywają nas pomiędzy siebie, krzycząc: Sześć pensów, sześć pensów!

Wylądowałem.

W mieście ruch niesłychany, powozy i omnibusy w szybkim pedzie migają tylko; i piesi też spieszą, bo każdemu pilno, każdemu daleko; tu nikt nie wyszedł na przechadzkę, ale za zyskiem; chęć zysku wypędziła go z domu, popędzi nim wokoło świata, i wróci go do domu spokojnym, jak gdyby wczoraj dopiero z niego wyjechał. Każdy Anglik szuka zysku, szuka wygody; cała też Anglia znalazła wygodę, pokój i wojna poddane tam zysku rachubom, służą zyskowi.

Jeśli nadzieja zysku popchnie do wojny, Anglia będzie prowadzić wojnę z tą samą zimną krwią, z jaką dziś używa pokoju. Tam, czy wojują, czy pracują, czy się uczą, czy kupeżą, wszystko to czynią dla wygody, jak dawniej dla dumy narodowej. Wątpię, żeby jeszcze kiedy Anglicy poświęcili co dla dumy narodowej, bo tak ją już wypaśli, że im się zdaje, że nic nad Anglię. I prawda. Bo czy spojrzeć po miastach angielskich, wszystkie ludne, czyste, oświecone gazem aż poza przedmieścia, a pełne ogromnych rękodzielni; czy spojrzeć po wsi angielskiej, wszystko uprawne, a tak ślicznie zabudowane, tak ozdobione ochędostwem i prostotą, że cała Anglia zda się być jednym ogrodem; a ten ogród poprzecinany kanałami i drogami, po których nieustannie z nieporównaną szybkością ludzie przejeżdżają się; ani znać, że to podróżni, takie śliczne powozy, takie śliczne konie, a tłumoków nie widać, a wszyscy siedzą na wierzchu, żeby patrzeć na ten ogród, co im

przemiga rozlicznymi obrazami. Po księgarniach angielskich przepych i mnogość książek; po rękodzielniach dokładność i ogrom. A jaka w Anglii wolność, a przy tej wolności jakie bezpieczeństwo! Obfitość i ruch pieniędzy niesłychany, a najwięcej złota. Nie znać wcale, że w tym kraju tyle ubogich, bo każdy zaopatrzony jako tako z dochodów narodowych.

Przejechałem różne miasta angielskie; wszystkie ludne, we wszystkich kupiecki i przemysłowy ruch wielki, wszystkie wygodne, czyste, pięknie oświetlone; z każdego miasta rozchodzą się owe piękne powozy na wszystkie strony; w każdym mieście wygodne gospody i wszędzie cena jednostajna; ale wszystkie prawie miasta mają wejrzenie smutne; nie widać w nich zabaw, bo Anglik tylko o wygodzie myśli i cieszy się życiem domowym; jemu dobrze, ale cudzoziemcom i podróżnym smutno. Nadto wszystkie miasta pępne, bo zamiast wież i pomników sterczą ogromne kominy licznych rękodzielní i rozścielają po ulicach dym, zamiast rosy; stąd miasta ciemne i okopcone.

Ale za miastem wieś prześliczna, zieloność nieporównana. Taką wsią przy chłodzie wieczornym pędząc rozkosznie, wpadam do Celtenhamu, pomiędzy prześliczne domy, ustawione w szerokie ulice. Każdy dom innym kształtem, a jasny jakby z kości słoniowej; każdy dom obwinięty ogrodem, jak gdyby wieńcem. Wieczór zapadł, tysiące ogni oświetliło to miasto, ten ogród, i zda się, że jeszcze piękniej, jak w dzień. Po ulicach cicho uwijają się cudne powozy, po każdym ogródku przechadzają się Angielki piękne jak lilie, po mieście ruch najwykwintniejszej zabawy, a wszystko skromnie i cicho, bez gwaru ulicznego. Chodzę po ulicach, jak po ogrodzie, i nachodzić się nie mogę. Zaszedłem do jakiegoś ogrodu, kazali mi zapłacić szylinga, alem za to widział ogród ubrany w ogień, jak gdyby w kwiaty; Angielki w bieli przesuwają się, jak gdyby duchy; z daleka zabrzmiała muzyka, błysnął sztuczny

ogień i zagaśł; nikt do mnie nie przemówił, ja do nikogo. Idąc z ogrodu, długo się snulem po ulicach, aż mnie dźwięk harfy przywabił przed okno; widziałem rześisto oświetlone, bogato ubrane komnaty, młode kobiety przemykają się po kwiecistych kobiercach, jak rusalki po miękkiej trawie, a poważna niewiasta siedząc przy stoliku, wodziła oczy za nimi. Patrzałem na to grono rodzinne, na szczęście domowe, i zdało mi się, że i ja do tej rodziny należę; zdawało mi się, że mi Bóg pokazał matkę i siostry moje. Wejdę do tego domu, choć cudzem szczęściem duszę napoić. Ale tam się śmieją, a jam zapłakał... Nie wejdę.

Przechodząc się wzdłuż przystani w Liwerpolu, przypatrywałem się, jak jedne okręty przychodzą, drugie odchodzą: jak jedne ładują, drugie wyładowują. Okręty idące do Ameryki, wewnątrz kosztownie i wygodnie ubrane, opatrzone we wszystko, co podróż długą i nudną uprzyjemnić może. Niektóre mają też piękne klawicymbały wprawione w ścianę okrętu, jak gdyby z niej wyrosły. Jeden z podobnych okrętów, parowy, wybierał się w drogę. Ruch wielki na okręcie i w okręcie; u brzegu mnóstwo ludzi tak jak ja patrzących, podróżni wchodzą na okręt, a z nimi i ci, co ich żegnać przyszli. I ja też wszedłem na pokład, z pokładu wzięła mnie ciekawość popatrzeć, jak też tam w izbach. Tymczasem na okręcie zadzwoniono, chcę wybiegnąć na pokład, ale nimem się z tłumu wydobył, koła zaczęły buchać po wodzie i pchnęły okręt na morze; wybiegam na pokład, już brzeg daleko; na brzeg nie wyskoczę, okręt się nie zawróci, więc rad nie rad jadę za morza — może do Ameryki! Pytam Anglików, gdzie mnie pan Neptun prowadzi? Anglicy śmieli się i było nam wesoło. Płynęliśmy do Dublina. Chwała Bogu, że nie daleko.

Morze stało spokojnie, jakby je lód spętał, a różnobarwne smugi po morzu zapowiadały, że się rozkołysze. Nad wieczorem majtkowie mówią:

- Idzie burza!
- A skąd?
- Z Dublina!

To się tu zaraz spotkamy; a bardzo byłem ciekawy burzy na morzu. Patrzę w stronę Dublina, a tam morze poczerwniało, po morzu ciągnie się jakaś niby kurzawa, za tą kurzawą dźwiga się morze i niesie ku nam swe wały. Wokoło nas morze się zaruszało, okręt się zakolysał, zachwiał, morze zarysowało się, rozpadło w głębokie wały, miota tymi wałami, wały okrętem miotają, okręt nami miota. Nakoniec morze zawyło straszliwie; okręt zaskrzypiał, rozhojdał się, jak szalony, pędzi po wałach jak szalony, koła okrętu już tylko kiedy niekiedy o wodę uderzą, jakby tylko chciały nam donieść o sobie, że zdrowe. Czasem okręt tak przez wał przesadzi, iż zdaje się, że go nie dotknął, a potem wpada między dwa wały jak w przepaść jaką, już się głową zanurzył, ale się pchnął ogonem, i znowu na wierzch wypłynął; i tak się ciągle szamocze z wałami; wały się pienią od złości, że go nie wywrócą, skaczą na okręt jeden za drugim, okręt wymyka się każdemu, ale burza się wzmaga, wycie morskie wzrasta, a noc przyniosła strach większy. Niebo czarnymi chmurami zsunęło się na morze, jak gdyby zadusić je chciało; gęste błyskawice przecinają niebo i morze ognistym wężem, i co chwila pokazują gniewliwe niebo i straszne morze. Od błyskawic ęmi się w oczach, od tańca burzy w głowie się kręci, choć się trzymał za sznury, nie mogłem już ustać na pokładzie, i przeziębły, przemokły, stoczyłem się na dół do izby. Patrzę, a tam wszyscy leżą już w swych łóżkach jeden nad drugim, bo trudno się na nogach utrzymać: więc i ja chowam się w łóżko jak w trumnę. Okręt skrzypi, bałwany tłuką się, burza hałasuje, czerwone światło oświeca izbę ponuro; nikt nie śpi, a wszyscy leżą cicho, jak gdyby pomarli. I ja leżę cicho, bardzo cicho; czasem westchnę żałośnie, myśląc sobie, lepiej burzy nie widzieć; a po co ja tu wlażem nieproszony, niedzięko-

wany; pięknie będzie, jak się tu okręt rozbije; mnie pewnie Pan Bóg nie wyniesie z wody jak Jonasza, bom sobie na to nie zasłużył; a kto powie rodzinie mojej, gdzie ja się podział, kiedy nikt nie wie, gdzie ja. Zebrałem myśli moje, porachowałem się z sumieniem, westchnąłem do Boga: bądź wola Twoja, i oczy sam zamknąłem, bo któżby mi je był zamknął.

Nie czułem siebie przez chwilę. Nakoniec burza zgruchotała okręt. Przejęty zimnem śmierci, spadam przez całą głębokość morza, i przez dno morskie wpadam nagle na tamten świat. Ciepło nowego życia ogarnęło wszystkie zmysły moje, a tak je zaostrzyło, jakby w każdym zmysle cała dusza siedziała. Do niezmierzonej przestrzeni, niby od ziemi prowadzą gwiazdziste schody, po tych schodach ciągle zstępuje ród ludzki promieniejący nowem życiem. Cała przestrzeń ujęta w dziwne światło, to światło jest żyjącą pięknoscią, promienie jego przybierają coraz nowe barwy, coraz nowe kształty, i ta gra promieni sprawia rozkosz niepojętą żadnym zmysłem, żadnem uczuciem, chyba uczuciem miłości Boskiej; a to światło tak jasne, tak przeźroczyste, że jednako widać z bliska i z daleka, a widać bez końca, wszędzie razem i wszystko razem. Tam czas bez końca; wieki mijają jak błyskawice, a każda chwilę wybijają rozkosze duszy niepojęte, niezmierzone. A w całej przestrzeni brzmią niebieskie dźwięki; a całą przestrzeń napelnia woń wiecznej a coraz młodniejszej świeżości. Tam jest się wszędzie razem, czuje się pełną szczęśliwość swoją i wszystkich; a tylko tęskni się za tem, żeby co prędzej oglądać oblicze Boskie, żeby się otwarły błyszczące tysiącem księżyców i słońce podwoje nieba, bo tu dopiero jego przysionek. W tem pożądaniu, zdało mi się, że już zasłyszał trąbę archaniola. Przebudzam się, a to dzwon okrętu donosi, żeśmy przy brzegu.

Nadedniem, chodziłem już po szerokich ulicach Dublina, otoczonego wzgórzami, co się około niego rozrzuciły

w podkowę przytykającą do morza. Wyszedłem za miasto do jakiegoś ogromnego zwierzyńca; patrzę z pewnej wyniosłości, a tuż za zwierzyńcem morze; idę ku temu morzu; morze jakby się oddalało, ale morze taj morze; idę godzinę, spieszę jak mogę, dogonić nie mogę; aż słońce podniosło się, morze uciekło i znikło. Złudzenie to miałem w stronie zupełnie przeciwnej od morza.

Obejrzawszy w Dublinie, co było główniejszego do widzenia, tejże samej nocy siadłem na okręt, który mię zawiózł do Bangoru; tam oglądałem most wiszący, rzucony przez odnogę morską z lądu na wyspę; tam z gór popatrzałem daleko na morze, i widziałem kilka wysp zupełnie oblanych wodą, i przypomniały mi się moje ostrowy na Bohu.

Z Liwerpolu jechałem do Manchestru drogą żelazną; pęd niesłychany, ale tego pędu siedząc w powozie nie czuć bynajmniej; kto go chce poczuć, niech siądzie na wierzchu powozu, a przekona się, że pędzi prędzej od wiatru; zabawnie patrzeć, jak drzewa pochylają się mocno od wiatru w tę stronę, w którą się jedzie, a czuć silny wiatr w oczy, tak, że ledwo można dotrzymać płaszcz na ramionach, czapkę na głowie; a tym przeciwnym wichrem i dymem, dmie pęd nagły. Wygodna to rzecz dla podróżnych te drogi żelazne, ale niewygodna dla mieszkańców tych okolic, przez które te drogi przechodzą; bo drogi żelazne przecinając pola psują gospodarstwo, a dym wozów parowych, odbiera żyzność przyległym polom i łąkom: drogi żelazne i tę jeszcze mają niedogodność, że wiele kosztują, i nie prędko na nie wszystkie kraje i okolice zdobyćby się mogły. Zdaje mi się, że rozum ludzki za pomocą boską, wymyśli coś mędrszego, jak drogi żelazne, a wtedy szczątki dróg żelaznych, będą świadczyć o dzieciństwie sztuki dzisiejszych czasów, tak jak zwaliska dawnych wodociągów, świadczą o dzieciństwie sztuki w dawnych wiekach. Nim jednak nastąpi ta hańba dla dróg

żelaznych, radbym, żeby były wszędzie, żeby już były zaraz, natychmiast.

Ile u nas w Odessie składów na zboże, tyle w Manchesterze ogromnych rękodzielni, a najwięcej przedzalni i tkalni, a nad każdym tym gmachem, wynosi się komin na 200 i 300 stóp wysoki. Takie kominy sterczą po całym mieście i poza miastem, dzień i noc ziewają czarnym dymem, co się rozściela po ulicach, i przez najmniejsze szczeliny wchodzi do domów; dlatego to może, tak wydoskonalona w Anglii szczelność drzwi i okien. Z daleka Manchester wygląda jak jeden kłęb gęstego dymu, niby ciemny obłok zalegający ogromną płaszczyznę: gdzieś tam śpiący komin sterczy w tym dymie, jak wysmukła topola w rannej mgłę wiejskiej; w dzień zda się, że tam dnia nie ma; a w nocy ile kominów, tyle ogni bucha jaskrawym światłem, i zda się, że tam mieszkanie złych duchów. Właśnie już noc zapadała, kiedy wleciałem z dymem do dymu, z płomieniem między płomienie. W mieście, jasność gazu przemogła ciemność dymu; widno wszędzie, pięknie, porządnie.

Nazajutrz przypatrzawszy się mądrości ludzkiej co wleciała w rękodzielnię, nocnym powozem wybiegłem do Birminghamu; w mgnieniu oka uciekliśmy z dymu, pomiędzy wsie śliczne, droga czysta i biała jak ulica ogrodu; czasem prosto strzeli, czasem się powinie powabną wstęgą w prawo lub w lewo: cztery świeczniki rzucają donośne światło na okolice i pokazują piękne, spokojne mieszkania ludzkie, i śpiące kwiaty, co od chłodu rosy tulą się jedno do drugich. Cztery dzielne a cudnej piękności konie, czwają ochoczo, za nimi pędzi powóz tak równo i cicho, jakby po powietrzu leciał; chłód nocny stulił podróżnym usta, roztworzył oczy: wszyscy milczą i patrzą. I ja patrzę i widzę z daleka tysiące ogni, co jak gdyby wulkany, z pod ziemi biją żywym płomieniem, rzucają dymem: te ognie rozesłały się szeroko, wpatruję się w to cudo i nie wierzę oczom moim, a ledwom oczy przetrął, czarne ko-

nie nasze wniosły nas pomiędzy te ognie i pomiędzy niemi wniosły nas godzin parę aż do Birminghamu; przy każdym takim wulkanie niby mogły wyrzuconej lawy, a cała tam ziemia w popiół obrócona, i ani tam trawa zazielenieje, ani woda zabłyszczczy; czasem od ognia do ognia suną się jedna za drugą małe mogilki i gdzieś zapadają; czasem mignie czarna postać ludzka i zniknie; nie słyhać tam głosu stworzenia, ani głosu szumiącego drzewa, ani głosu szemrzącej wody, a tylko jakieś podziemne wycie: zdaje się, że to kraina piekiel. A to po prostu tysiące kopalni, przy których tysiące machin parowych dobywa węgiel i żelazo, z którego po całej Anglii i zaraz w Birminghamie wyrabiają wszelką broń, nożyczki, igły i brzytwy.

Kiedym się już z powrotem zbliżał do Londynu, noc już zapadała. Z daleka Londyn wydał mi się wtedy jak morze światłości; nad miastem, które zda się bez granic, jaśniała biała luna, rzucająca blask swój aż na obłoki. W tem morzu jasności, jak gdyby wyspy, pływały szczyty gmachów; a z tego morza rozplywały się rzeki światła na wszystkie strony. Jeszcze daleko do miasta, a już ruch wielki, powozy zbiegające się z dróg różnych, pędzą po jasnych drogach; jednemu drugiego wyścigać nie wolno, ale tak pędzą, że choćby i było wolno, toby nie wyścignął. Takim pędem wpadamy do miasta: od tej strony szerokie ulice, a pełne powozów i ludzi, a gazem oświecone tak rześście, że zdaje się, że ktoś tu porozlewał strumienie ognia; pełno snujących się ludzi, pełno bogatych pojazdów krzyżujących się ustawicznie; a wszystko tak piękne, tak wspaniałe, że zda się, że dziś jakaś niezwykła uroczystość; a to tak codziennie.

Obejrawszy, co mi zostało jeszcze do widzenia w Londynie, po dwóch miesiącach przejażdżki po Anglii, choć chciałem jeszcze dłużej bawić w tym kraju, bo i pogoda sprzyjała, i wszystko mi się tam podobało, i znalazłem dobre przyjęcie, jednak pospieszyłem do Paryża.

Człowiek tak się łatwo przyzwyczaja do tego co dobre, wygodne i mile, że ja choć krótko bawilem w Anglii, zdawało mi się jednak, że wszystko co tam widzę, jest bardzo proste, a wcale nieosobliwe; ale za to jakem wjechał nazad do Francyi, wszystko mi się tu wydało brudne, i miasta, i drogi, i powozy, i domy; wszystko w dzieciństwie, chociaż to i we Francyi nie bardzo złe; chociaż i Francya ma swoje piękności i wiele dobrego. Wyższość Anglii nad Francją i nad Europą pod względem uprawy i bogactw, tem bardziej uderza, tem jest widoczniejsza, że Anglia od Europy oddzielona wodą, ma zupełnie osobny swój wyraz, swoją cechę nie skrzywioną wpływem żadnej cudzoziemskiej. Niemasz w całej Anglii ani jednego miasta, ani jednego zakątka, gdzieby było coś z niemiecka, albo z francuska; wszystko tam ma wybitne piętno angielskie. Anglicy nikogo nie naśladowują w niczem, bo czują, że wyżsi od wszystkich; stąd ich obyczaje i zwyczaje nie naginają się do obyczajów i zwyczajów cudzoziemskich, i jeśli cudzoziemiec chce mieć dobre przyjęcie u Anglików w Anglii, musi się poddać ich upodobaniom społecznym.

Polakom łatwa sprawa z Anglikami, tak jak ze wszystkimi cudzoziemcami, bo w usposobieniu polskiem chociaż jest odrębne piętno, mieszczą się cnoty wszystkich narodów, a przytem wielka przywara naśladownictwa cudzoziemskiej; stąd każdy krajowiec lgnie do nas prędzej, jak do innych cudzoziemców. Anglicy to mają z nami wspólnego, że są otwarci, szczerzy, w oczy i poza oczy jednacy; a chociaż w gościnności są niżej od nas, jednakże dla tych, których dobrze znają, albo których im polecił przyjaciel jaki, są przyjacielscy i serdeczni.

Ze wszystkich cudzoziemek, najbardziej mi się podobały Angielki, bo najwięcej mają zbliżenia do Polek. Angielki tak jak i Polki posiadają cnoty domowe; mają pełno szczerości, prostoty, skromności; a chociaż nie tak

zgrabne jak Polki, jednak bardzo są piękne, rysów szlachetnych, nie trzpiotostwa francuskiego; piękność angielska jest poważna i cześć nakazuje. Angielki nie błyszczą dowcipem, ale mają zdrowy sąd o rzeczy, nie mają grzecznych słówek i lez na zawołanie, ale mają wiele serdecznej czułości.

ROZDZIAŁ XVIII.

Podróż po Belgii, Francyi i Niemczech.

Jeszcze w 1835 r. zwiedziłem Belgię. Kraj równy, bogaty, doskonale uprawny i bardzo tani. Rękodzielni tam wiele, osobiwości mało. Najpiękniejszą tam rzeczą jest wieża katedry antwerpskiej i sławny obraz Rubensa, znajdujący się w tym kościele, a wyobrażający zdjęcie z krzyża Pana Jezusa. Rubens był rodem z Antwerpii i stworzył w malarstwie flamandzką szkołę.

Znałem już północną i zachodnią część Francyi, widziałem kilka jej morskich przystani na północy, i znaczniejsze kupieckie i przemysłowe miasta; patrzałem już nie raz ze szczytu wieży strasburskiej na nadreńskie krainy, a za każdą bytnością moją w Strasburgu odwiedzałem najpiękniejszy może na świecie grobowiec marszałka de Saxe. Rycerz ten zstępuje do grobu, a Francya nie opuszcza go; myśl piękna i cudnie wykonana. W tymże kościele jest nagrobek Fryderyka Ludwika Kunawskiego, pułkownika w wojnie trzydziestoletniej, wystawiony 24 listopada 1645 r. Sarmata ten, jeszcze i na grobie swoim stoi zuchowato z wąsami i z karabelą.

Na ziemi francuskiej spoczywają też zwłoki dwóch królów polskich.

W 1836 roku zwiedziłem wschodnią i południową część Francyi. W Orleanie oglądałem pełny życia posąg dziewicy orleańskiej, co sama jedna Francję zbawiła. Zdało mi się widzieć to jej natchnienie, z jakim pobudzała lud francuski do boju, ten zapal, z jakim go do boju wiodła.

Z Orleanu pojechałem do *Bordeaux*. Nad brzegiem Garonny, która się w półksiężyc wygięła, po której żeglują tysiączne okręty, nad tą wspaniałą rzeką, w rozkosznej dolinie, w półksiężyc położyło się najpiękniejsze miasto we Francyi. Jadąc od strony Paryża, o parę mil widać już to wspaniałe miasto; zachwycający to widok, ale więcej jak ten widok, więcej jak wszystkie osobliwości tego miasta, zachwycił mnie pogrzeb, na który trafiłem wjeżdżając do *Bordeaux*. Był to pogrzeb arcybiskupa i kardynała *Cheverusa*, męża świętobliwego, miłosiernego, prawdziwego ojca ludu. Żył i umarł w ubóstwie, ale lud, ta dziatwa jego, sprawiła mu pogrzeb, jakiego żadne złoto nie kupi. Cały lud z miasta i z okolic był mu orszakiem pogrzebowym, westchnienie i płacz ludu były mu chórem pogrzebowym, a w synowskiej wdzięczności i rozrzewnieniu, lud nie wiedział, czy się ma za niego, czy do niego modlić.

Z *Bordeaux* popłynąłem Garonną ku *Pireneom*, gdzie są sławne i liczne siarczane wody, jedno niedaleko drugich. Kto chce się leczyć na bole w kościach, a mianowicie na rany w bitwach odniesione, ten jedzie do *Barèges*, tam najwięcej widać wojskowych; kto chory na piersi jedzie do *Eaux Bonnes*, tam najwięcej młodych osób co przełaziły swe zdrowie; kto mniej słaby jedzie do *Saint Sauveur*, do *Cauterets*, do *Bagnères de Louchon*; a kto chce się bawić, jedzie do *Bagnères de Bigorre*, miasta najznacniejszego i najpiękniej położonego, w wyższych *Pireneach*, sławnego też kopalnią marmurów.

Po kolei zwiedziłem wszystkie te wody, i wszystkie cenniejsze miejsca gór *Pirenejskich*, po których piałem się na tamtejszych konikach, co się tak drapią po górach, jak

muchy po ścianach, a tak śmiało chodzą wążutkami ścieżkami ponad ogromne przepaście, jak gdyby tam były wysokie murowane i poduszkami wykładane poręcze; a tu spojrzawszy w przepaść, to się aż w głowie zakręci. Piękne są te góry, a najpiękniejsze, kiedy się z nich wyjedzie; bo nam mieszkańcom równin duszno w górach, zdaje się, żeśmy zamknięci. Zwykle doszedłszy do wierzchołka jednej góry, traci się widok doliny ożywiającej jej stopy, a widzi się wokół siebie góry wyższe, za temi jeszcze wyższe; a kiedy po trudach nieodpłaconych dojdzie się do szczytu najwyższej góry, otaczające pomniejsze góry zasłaniają widok; czuje się jakąś czczość, jakieś przykre oderwanie od żyjącego świata, a do tego wiatr i zimno; schodzi się co prędzej, a na widok pierwszej zielonej łąki co tam na dole, oko rozweselone spędza dopiero posepność z czoła i swoją weselość do myśli podaje. Takie to są podobno wszystkie wysokości i wielkości świata tego. Piękne tu góry, ale jakieś ciasne, i nie tak ożywione jak góry w Szwajcaryi; u spodu nie mają takich rozkosznych dolin, po skałach nie mają tak obfitych wodospadów, po wierzchołkach nie mają tak poważnej siwizny: wszakże kto je obaczy nie pożałuje, niech jednak tam jadąc nie spodziewa się ludu sprytnego i strojnego, mieszkań wygodnych i pięknych, i wszelkiej obfitości tak jak w Szwajcaryi. Ale też za to, wyrwawszy się z *Pireneów*, miło pohulać po rozkosznych płaszczynach południowej Francyi, umilonych najłagodniejszym powietrzem, uposażonych wszelkiem bogactwem ziemi, ubranych w winnice, drzewa figowe, oliwne, pomarańczowe, w granaty i w palmy.

Hulając po tej rozkosznej krainie, podróżny ma na widoku albo góry *Pirenejskie*, albo morze Śródziemne, albo Alpy południowe; a co krok prawie słowna rzeka, albo kanał jaki; co krok jakiś wspaniały zabytek starożytności rzymskich. Czem są dzisiejsze widowiska nasze w porównaniu z owymi rzymskimi szrankami, w których się na igrzyska lud zgromadzał, a w których nie ledwie miasto zam-

knąćby się dało. A co to za trwałość budowy. Szranki stojące w środku miasta *Nîmes*, są prawie nieuszkodzone, chociaż przez dwadzieścia wieków może, stoją bez nakrycia; a jaka zachwycająca wspaniałość i kształtność tego olbrzymiego gmachu. Zewnątrz jest to podłużne koło złożone z ogromnych łuków dwupiętrowych, poddzielanych pięknymi słupami i nic więcej; wewnątrz ten sam okrąg, spływa stopniami ku środkowi, a tam dziedziniec, na którym odbywały się konne i piesze gonitwy i zapasy; na tych stopniach zasiadali widzowie; stopnie te są na łukach, po pod które wokoło obchodzić można, wygodne schody prowadzą na różne piętra tych stopni; najniższe piętro było mieszkaniem zwierząt przeznaczonych do igrzysk; we wszystkich słupach wierzchnich są wydrążenia, z których powiewały niegdyś orły rzymskie. Chodziłem po wszystkich stopniach ze dwie godziny, przenosząc się myślą w czasy wielkości rzymskiej; zamiast kręcących się tu teraz Francuzików, wyobrażałem sobie owych panów świata, w okazałych togach siedzących wspaniale tu na tym gmachu, co dziś jeszcze przy dzisiejszych, jak tron świata wygląda. Możeby i nie wierzono wielkości dawnych Rzymian, gdyby zwaliska ich gmachów, nie dawały o niej świadectwa. W wielu miejscach od owych czasów miasta porodziły się i pomarły, i ani śladu ich popiołów, a gmachy rzymskie jak stały tak stoją. Stoją jeszcze wodociągi w miejscach, w których dawno już powysychały źródła. Najslawniejszy z takich wodociągów jest przy moście Garu, (*pont de Gard*); prawie nienaruszony na trzypiętrowych niezmiernych łukach łączy dwie góry; chodziłem po wierzchołku tego wodociągu, którądy niegdyś płynął obfity strumień. Starożytności rzymskie, które widziałem w *Nîmes*, w *Arles*, i innych miejscach południowej Francji, jeszcze zaostrzyły we mnie ochotę widzenia samego Rzymu, do którego wiele innych ciągnie mnie pobudek; objechawszy niespodzianie już tyle świata, może też niebawem i tam będę.

Zwiedziłem całą południową Francję, aż do rozkoznego *Hyères*. Używałem prześlicznej pogody jesiennej i pięknych widoków; zwiedzałem wszystkie osobliwości, a co największa, jadłem przez parę miesięcy najwyborniejsze owoce, brzoskwinie, figi, a mianowicie winogrod. Choć tam kraj piękny, jednak wydał mi się cztery razy mniej piękny, jak sobie wyobrażałem, czytając kłamliwe opisy i przesadzone wykrzykniki podróżnych; a nigdzie takem się nie złapał na tej łatwowierności jak w *Hyères*, gdzie się spodziewałem owych obiecanych rozkosznych pomarańczowych gajów nad brzegiem morza. Myślę sobie, o! to będę rozkoszował, leżąc pod cieniem pomarańczowych drzew, na których razem i kwiat i owoc; więc będę oddychał wonnością kwiatu pomarańczowego, pragnienie gasić będę słodziutkimi pomarańczami, będę sobie spoglądać na morze, jak mnie morze zwabi, skoczę do morza; jak ów gaj zawabi wrócę do gaju, znowu jeść pomarańcze, wąchać kwiat pomarańczowy, leżeć i nic nie robić. Układ doskonały. Jadąc z Tulonu do *Hyères*, już ani zważam na piękną drogę pomiędzy rozmaite góry i skały, a tylko niecierpliwie wyglądam tego *Hyères*, tych gajów pomarańczowych. Jest *Hyères*! cieszę się jak dziecko cackiem, ale cóż, kiedy cacko stłuczone; gajów pomarańczowych niema! Były po ogrodach pomarańcze, ale zielone; musiałem jeść same figi. Odtąd jak czytam jakie opisy, albo słyszę jakie opowiadania, to mam zwyczaj to co czytam lub słyszę dzielić przez cztery,* i tak jeszcze częstokroć oszukałem się i bardzo, szczególnie w Monachium.

Niemcy gadają mi: to pan nie był w Monachium! wszak to nowy Rzym co do sztuk pięknych, nowy Londyn, co do okazałości, nowy Paryż co do zabawy, i każdy Bawarczyk to samo mi powtarza; a ja im powiadam, kiedy tam razem Rzym, Paryż i Londyn, to to musi być przynajmniej tak wielkie miasto jak pół Bawaryi. W 1837 r. odbywając podróż po Niemczech, wstępuję do tego Monachium; zastaję miasto niewielkie, niczego, ale tak mu da-

leko do wielkiego miasta, jak na Ukrainie małemu futorowi do tęgiej wsi. Monachium jeszcze niezagospodarowane, wszystko w niem dopiero pozaczynane, jak to bywa u nowego gospodarza, na małym gospodarstwie. Monachium tak wygląda przy Paryżu, jak nowy grosz przy starym dukacie, co znaczy, że nie cztery, ale sześćset razy mniej wart. Przyznać jednak należy dzisiejszemu królowi bawarskiemu, Ludwikowi, że stawiając kościoły, podnosząc miasto i strojąc je w rozliczne gmachy, wspierając sztuki, a przytem sam żyjąc skromnie, dowodzi, że choć kto mało ma, wiele może, byle chciał. Król bawarski może w tym względzie służyć za wzór i zasługuje na pochwałę.

Uważam, żem za daleko skoczył, z południowej Francji aż do Bawaryi i z 1836 do 1838 roku, ale wolno tak skakać, pisząc o cudzych krajach i o czasach co schodzą nam w cudzych krajach; bo te kraje mało nas obchodzą, a te czasy takie dziś jak wczoraj, jednostajne, wloką się w ciągłej tęsknocie; bo choć wiele pięknych miejsc widziałem, żadnego nie upodobałem sobie, nigdzie mieszkać nie chcę, a tylko chcę wracać do domu.

ROZDZIAŁ XIX.

Uroczystość drukarska w Moguncyi.

Opowiem tu wielką uroczystość drukarską, którą widziałem w Moguncyi w 1837 r. W czasie podróży mojej po Niemczech nadreńskich, pojechałem umyślnie do Moguncyi dla widzenia uroczystości postawienia pomnika Gutenbergu.

Wynalazca druku Jan Gutenberg urodził się w Moguncyi około r. 1408, a dopiero we cztery wieki stanął dla niego pierwszy pomnik w tem mieście. Ucisk jakiego Niemcy i Europa w ostatnich wiekach doznawały, brak wolności druku, bez której główne jego korzyści czuć się nie dają, są przyczyną tak wielkiego opóźnienia w oddaniu holdu człowiekowi, który przez swój wynalazek stał się dla wszystkich następnych pokoleń słońcem umiejętności i wolności. I dziś jeszcze Niemcy doznają ucisku, lecz wiedzą co to jest wolność, a na dowód, że wolności pragną i u siebie ją przeczuwają, Gutenbergowi pomnik stawiają. Takie jest znaczenie tej uroczystości, która jakkolwiek odbyła się głucho, jest wyrazem wielkiego postępu w umysłach Niemców, tem silniejszej zmiany, że jawnej, że zwycięskiej; ci bowiem co Niemców za leb trzymają, nie tylko że jej uprzedzić i wstrzymać nie zdołali, ale nadto czołem przed nią uderzyli. Władze austriackie i pruskie

byli drabami tej uroczystości, ale razem i mistrzami obrzędu być musiały.

Dnia 14 sierpnia 1837 roku cała załoga austriacka i pruska wyciągnęła się wzdłuż głównej ulicy, wzdłuż kościoła katedralnego i okrążyła rynek. O godzinie 8 z rana wysłannicy z rozmaitych miast, i cechy drukarzy i księgarzów, przystrojone w barwę miast swoich i z chorągwami swojemi, a nadto miejscowe władze miejskie i wojskowe, tudzież starszyzna załogi austriackiej i pruskiej, zgromadziły się w domu miejskim, stamtąd uroczystym pochodem pociągnęły do domu Gutenberga, a następnie przy odgłosie dział weszły do kościoła katedralnego. Na bożeństwo wspaniale ukończyło się o godzinie pół do jedenastej; i cały orszak przesunął się wzdłuż piechoty pruskiej i austriackiej, i przy odgłosie muzyki pułkowej, wśród głębokiego milczenia z odległych miejsc przybyłego ludu, upokorzonego bardzo przytomnością wojska ciemniejszych swoich, zawinął na rynek Gutenberga. Rynek ten w chwili obrzędu miał postać bardzo uroczystą. Połowa jego zastawiona ławami w półkole wznoszącemi się jedne nad drugie; ozdobiona herbami i chorągwami dwudziestu czterech miast, które pierwsze druku używać zaczęły. Tuż za ławami stał gmach widowiska, którego ganki były napelnione książkami niemieckimi. Ławy były napelnione osobami, które nań za swoje talary pospieszyły; między ławami a posągiem, było miejsce wolne: tuż przed posągiem stała tłocznia drukarska i olów przygotowany do odlewania głosek. Obok mownica. Druga strona rynku, wszystkie przyległe okna, dachy i wystawy wspanialej wieży kościoła katedralnego, napelnione ludem. Wszystko to w uroczystem milczeniu oczekiwało chwili obrzędu. Gdy już wszystko było na swoim miejscu, przyniesiono biblię drukowaną przez Gutenberga: chór z tysiąca osób zaśpiewał *Te Deum*, utworzone umyślnie na tę uroczystość przez Nejkoma, ucznia Hajdena. Pierwsza część tego śpiewu, bardzo szczęśliwie zakończona turkotem bębnow

i potrójnym wystrzałem z moździerza, uczyniła wielkie wrażenie. Po skończonym śpiewie, przydujący wstąpił na mownicę z mową przegładaną we Frankfurcie, niezmiernie długą, której nikt ani słyszał, ani słuchał, ani też przerywał: przy końcu mowy spadła zasłona, a z pod niej wynurzył się niecierpliwie wyglądany posąg Gutenberga, wykonany przez Torwaldsena. Okrzyk radości podniecany wystrzałami z moździerzy, rozlegał się długo w powietrzu, powtarzał się i słabiał, ale w tym okrzyku nie było słyhać żadnego wyrazu.

Po pierwszej mowie nastąpiła druga daleko lepsza, bo daleko krótsza; potem pieśń na cześć Gutenberga na śpiew *Got save the king*: potem odlewano głoski, składano je, drukowano niemi wierszyk na cześć Gutenberga i rozrzucono go pomiędzy lud. Mowy te i druki nie miały życia odpowiadającego wielkości święta narodowego. Znowu huk dział i znowu okrzyki. I wszystko rozeszło się w cisłości.

Po tym obchodzie nastąpiła wielka uczta, nazajutrz odbywały się wodne igrzyska na Renie; a wieczorem uroczysty pochód z pochodniami wokoło posągu Gutenberga, oświecenie miasta i uczta tańcząca. Następných dni odbywał się spór uczonych w domu Gutenberga, mający oznaczyć rok wynalazku druku; do którego to roku ma być odtąd zastosowany stułetni wielki obchód.

Kto będzie w okolicy Moguncyi, niech tam zajedzie dla widzenia pomnika Gutenberga¹⁾, bo bardzo piękny,

¹⁾ Posąg odlany ze spiżu, według wzoru Torwaldsena, ma dwanaście stóp wysokości. Gutenberg stoi ubrany w stroju swojego czasu, trzymając w prawem ręku pęk czcionek, w lewem biblię, pierwsze z kolei dzieło jakie wydrukował. Postawa jest z marmuru czerwonego z napisami łacińskimi i płaskorzeźbami ze spiżu. Napis naczelný jest następujący:

Joannem Gensfleisch de Gutenberg patricium Moguntin
aere per totam Europam collato posuerunt cives
MDCCCXXXVII.

a kto będzie już w Moguncyi, niech się puści stamtąd statkiem parowym do Kolonii, bo to podróż bardzo piękna, a może najpiękniejsza w swoim rodzaju.

Odbywałem tę podróż w najmilszym towarzystwie. Dnia 9 września 1837 roku, właśnie rok temu, wyjechaliśmy przededniem z Wisbadenu do Moguncyi, gdzie o pół do 6 z rana, trzeba już być na statku. Noc piękna zapowiadała dzień piękny. Ren jak gdyby od chłodu jesiennej nocy, siebie i dalekie brzegi swoje, niby puchem lekkim, przykrył mgłą gęstą; ognista jutrzienka szkarlatem zapaliła pół nieba, a ogień ten zarumienił perłową białość mgły, obudził ją ze snu i mgła zaczęła się ruszać, niby poprawiać się na łożu, ale nie wstaje, a owszem tuli się coraz mocniej do łoża. Powoli, powoli, gdzieniegdzie z pod tej mgły wyrzało wyższe drzewo, albo wieża jaka; dalek wydzierały się jej tu i owdzie ludzkie mieszkania; nakoniec przed promieniami słońca, jęła umykać to do Renu, to do nieba, i rozplynęła się w błękie wód Renu, i w błękie nieba, a wspaniałe słońce rozświeciło rozkoszną okolicę, młodą i świeżą wdziękiem poranku. Taki piękny poranek, taka mgła, takie słońce bywało mi niegdyś w Hübniku. Tylko tam po Bohu pływałem czółnem albo małą łódką, tu parowym statkiem; tu nad krętymi brzegami Renu góry i skały i łąki, a po tych górach winnice, po tych skałach rozwaliny zamków obronnych, z których

Z drugiej strony znajdują się takie wiersze:

Artem quae Graecos latuit latuitque Latinos
Germani solers extudit ingenium.

Nunc quidquid veteres sapiunt sapiuntque recentes
Non sibi sed populis omnibus id sapiunt.

Z dwóch plaskorzeźb, jedna wystawia Gutenberga siedzącego za stołem i pokazującego czcionki zdumionemu Faustowi, druga wyobraża pomocnika odbijającego arkusz. Arkusze jeszcze białe są pod tłocznia, inne dopiero odbite, rozwieszone są nad nią: Gutenberg oparty na tłoczni wpatruje się uważnie w drukowane arkusze.

rozlewało się więcej ucisku jak obrony, po tych łąkach rozkoszne wsie i miasta; a tam po krętych brzegach Bohu, skały góry i łąki, a po tych skałach gdzieniegdzie chatka rybaka, a całą jej obroną pies wierny, a po tych górach bujne zboża, albo las bujny, a po tych łąkach wsie powabne, gdzieniegdzie chatka mielnika, a wszędzie bujają rozkoszne stada i trzody. Każdy kraj ma swoje piękności, ale swój najpiękniejszy; i choć Ren okazałszy, ale mi Boh miłszy. Płynąc po Renie myślałem o Bohu, patrząc na zwaliska zamków nadreńskich, myślałem o chatkach pocziwych wieśniaków naszych. A tymczasem z pędem wody statek się szybko unosił, coraz cudniejsze obrazy brzegów nadreńskich wesoło zamieszkałych, wyrwały się oczom naszym, a ta szybka ich zmiana, jeszcze im wdzięku dodawała. Minęliśmy Johannisberg i Ridesheim, sławne winem; Sen-Goar sławny położeniem, Koblenz sławny warownią, którą Prusacy nasrożyli się na Ren, widać, że czują, że ich stąd wypędzą: minęliśmy Bonn, sławne uniwersytetem i powabne położeniem, i już wyslizgnęliśmy się w okolicę płaską, nad którą z daleka panuje starożytne miasto Kolonia, co się rozrzuciło po obu brzegach Renu. Jeszcze daleko do zachodu słońca, a my już oglądamy obie strony miasta. W Kolonii jest kilkanaście starożytnych kościołów z rozmaitych wieków; że Kolonia była dawniej miastem bardzo ważnem, dowodzi tego katedra kolonńska, nieskończona, bo wojny i rozliczne przemiany ostatnich wieków, przerwały to arcydzieło budowy gotyckiej. Dotąd tylko część kościoła, zajmująca ledwo trzecią część zaczętej długości, jest ukończona, a i w tej części wewnątrz i zewnątrz jest tyle okazałości i przepychu, że kościół ten do najpiękniejszych na świecie jest policzony. Największą osobliwością wewnątrz kościoła, jest przepysznej roboty srebrna kaplica za wielkim ołtarzem, gdzie w złocistych trumnach błyszczących drogimi kamieniami, spoczywają ciała świętych TRZECH KRÓLÓW.

Wracalem do Wisbadenu. Noc była pogodna, księżyc jasny i pełny królował na niebie jak gdyby słońce, i tak gorąco jak gdyby pod słońcem; wiatr jeszcze nie był spędził dziennego skwaru; duszno jakby wśród lata; aż raptem listki drzew przydrożnych zaszeptały o deszczu, i deszcz rzęsimy i nagły zaszumiał; księżyc przeglądał się w każdej kropli deszczu, a promienie jego przebiwszy się przez te krople, w dwóch tęczach nocnych spoczęły na niebie. Pierwszy raz tęczę w nocy widziałem, piękniejsza tęcza dniowa, tęcza na tle nocy wygląda jak blady rumieniec na gasnącem licu, a bladością swoją, tak jak księżyc, nastroja serce do smutku, a myśl do dumania.

ROZDZIAŁ XX.

Ostateczna myśl kapłaństwa.

Dopiero teraz spostrzegłem, że wspominam o wszystkim, nawet o rzeczach mniej ciekawych i ważnych, a o Paryżu wcale nie. Bo w Paryżu mieszkając od lat siedmiu, takem się z nim oswoił, iż mi się zdaje, że niema w nim nic osobliwego, jak mi się też niegdyś zdawało, że na Ukrainie niema nic osobliwego; a jak sobie wspomnę na bujność tej krainy, na jej wdzięki, na pełność życia domowego wiejskiego, co obejmuje wszystkie chwile dnia, wszystkie dni w roku, to mi się zdaje, że w domu był mi raj. Może jak opuszczę Paryż, to mi jego wszystkie piękności staną na oko, i pomyślę może kiedy o chwilach, którem tu przepędził; ale ich nigdy nie pożałuję, za Paryżem nigdy nie zatęsknię. Mamże tęsknić za huczną zabawą tutejszą, która mię nigdy nie zajęła, nigdy nie ucieszyła; alboż mam tęsknić za tutejszą wydoskonaloną rozpustą, do której jeszcze się większym przejałem tu wstrętem: alboż zatęsknię za wrzawą paryską, która stęsknionym myślom pokoju nie daje? Alboż mam tęsknić za okazałością tutejszych pomników i gmachów, kiedy pomyślę sobie, że i te gmachy i cały Paryż, są tylko punktem na ziemi, a ta ziemia punktem niedostrzeżonym w przestworzu świata widzialnego, a ten przestwór widzialny mniej jak punktem w przestrzeni, której krańców nie dogoni ani

oko, ani myśl ludzka. Mamże tęsknić za okazałością Paryża, kiedy wszystko co widzę z dzieł Boskich, nieskończenie okazalsze od tego, na co przez wieki wysilały się rozum i praca ludzka?

Nieraz podobne myśli zasępiły samotną duszę moją, kiedy patrzałem przez okno na toczący się zbytek po ulicach Paryża. Nigdy nie pozazdrościłem tu nikomu, ani bogatych pojazdów, ani nawet dzielnych koni; a pamięć tego co straciłem, więcej mnie cieszyła, jak obecne bogactwo cieszy bogatych; czasem tylko brała mnie ochota zepchnąć z konia trefnisią paryskiego, co siedzi na koniu jak pies na płocie, i pokazać mu jak to u nas jeżdżą; ale i ta myśl płocha i próżna uleciała natychmiast, i znowu posępność oblekała duszę moją. Posępność tę rozpędzała czasem praca, zabawa nigdy. A na łatwości do zabawy, a nawet na pieniądzach do tego, nie brakło mi nigdy. W zimie trafiało mi się po dwa i trzy tańczące wieczory na dzień; idę na wieczór, zdaje się, że świetny, że pełny, ale dla mnie pusty; wracam do siebie smutniejszy jak wprzód; nazajutrz później wstaję, mniej pracuję, żałuję że czas straciłem, a wieczorem znowu idę między gwar ludzki w nadziei, że się rozerwę, że spotkam co dla serca mego, dla duszy mojej, i znowu tylko spotykałem rozrywkę dla oczów, i znowum żałowałem czasu, trudu; a odpocząwszy znowu szedłem w świat nie wiedzieć poco: taka to słabość ludzka.

Nie lubiłem płatnych zabaw zgrai paryskiej, bo tam rozpusta; a takich zabaw mianowicie w czasie zapustu, w Paryżu bez liku, a zaczynają się o północy. Motłoch ciśnie się tam aby gawronić, młodzież aby niby to użyć świata póki służą lata, a kobiety tak zwanego dobrego towarzystwa, dla kosztowania zakazanego owocu; a zakazuje go przyzwoitość, bo w zepsuciu dni naszych, u ludzi bez religii, jedynym jeszcze a bardzo miękkim wędziłem, przyzwoitość. Zbiegowiska te odbywają się pospolicie w gmachach widowisk błyszczących niepoliczonym

światłem i pozlota, napelnionych tłuszcza, co rzuciła o ziemię nie tylko niewinność i dobre obyczaje, ale nawet wszelką przyzwoitość; tłuszcza, co niezdolna czuć radości i wesołości czystej i niewinnej, puszcza się z zapamiętaniem na zabawy wrzące piekielnym zepsuciem. Nie miałem zwyczaju uczęszczać na te gorszące zbiegowiska; jednak pewnego razu wracając z wieczoru około 2 w nocy w towarzystwie kilku osób, dałem się namówić i poszedłem na jedno takie zbiegowisko, na które nie masz dzięki Bogu polskiego nazwania. Zachodzę, izba piękna, pięknie ustrojona, pięknie oświecona; muzyka ze stu muzykantów, a ledwo ją słyhać, taki hałas, taka wrzawa; a wszystko kręci się szalonym tańcem, aż mi się w głowie zakręciło. Usiadłem na wyniesieniu i patrzę zasmucony na to poniżenie, do jakiego ludzie przez rozpustę sami się wtracają: a *maseczka* obok mnie siedząca, mówi mi:

— Coś nie zdaje się, żebyś się bardzo bawił?

— Wcale się nie bawię.

— A pocoś tu przyszedł?

— Bo mi powiedziano, że tu bardzo wesoło.

— A kiedy ci nie wesoło, czegoż tu siedzisz?

— Siedzę, bo chciałem poznać, co to świat paryski wesołością nazywa, nabrać już wiecznej odrazy od tej wesołości waszej, co więcej podobna do szału piekielnego, jak do ludzkiej zabawy. Patrz pani, jak tamci w księżych ubiorach hulają jak potępieńcy; patrz, jak te tam kobiety nawpół nagie, a jakby na pośmiewisko z krzyżami na szyi, jak gdyby piekielnice szaleją w gorszących płasach. Patrz pani, jak cała tam hurma porwana wirem szału, pędzi się wokoło w kozich skokach, tylko im rogi przyczepić, a istne szatany. Patrz pani na to wszystko razem, czy to nie obraz piekła. Do czego by to tu przyszło, gdyby jeszcze drabowie nie wyganiaли co chwila najrozpuśtniejszych. Czy pani bawisz się, patrząc na takie zdrożności?

— Nie, ja także się nudzę, nie byłam tu nigdy, ale mnie tu przyprowadziły przyjaciółki moje.

— Niechże tu pani z niemi zostanie, a ja już tego mam dosyć, żegnam panią.

— Niechże mię pan z sobą wyprowadzi.

— A przyjaciółki?

— Odeszły mię, to niech zostaną.

Wyprowadziłem tedy tę panią, powóz zaszedł, pojechała; może już tu nie wróci, tak jak i ja nie wrócę. Otóż to tłumne paryskie zabawy. A panie wielkiego świata przychodzą patrzeć na te niecności; nie jedną poznałem, nikomu o tem nie mówiłem, ale wiem com sobie o niej pomyślał; zasłoniła twarz i myśli, że jej tu Bóg nie widzi; a może nieszczęsna chciała się tylko przed ludźmi zasłonić, i nie dba o to, że ją Bóg widzi! A paryska młodzież wielkiego świata nie tylko z uciechą patrzy na to zgorszenie, ale sama do niego przyczyniając się, tępi w sobie wszelkie uczucie niewinności i cnoty.

Albo proszę pójść na paryskie widowiska: ileż to stamtąd rozlewa się najszpetniejszego zepsucia na Francją i na świat cały. Dzisiejszym pisarzom francuskim, nie idzie o cnotę ale o oklaski, i gorzej jak o to, bo o pieniądze; oni nie piszą, żeby obyczaje poprawiać, ale piszą, żeby obyczajom podobać się; a więc muszą owe obyczaje jeszcze w złem wyprzedzać; złe dogania gorsze, a mistrz swoje gorsze pędzi coraz naprzód i brnie z niem aż w piekło. Na widowisku *St. Martin*, ksiądz zapisuje duszę dyabłu, niestanne mordy i zbrodnie najwyuzdańsze, które jeszcze widzom przez myśl nie przeszły, występują tam jedne po drugich, aby rozdrażnić stępione czucie. Na wielkiej *operze* kardynał klęka przed żydem, po kościołach rzezie, upiory zakonnie występują w lubieżnych tańcach i t. p. Po innych widowiskach przedstawiają najwyszukańsze ku złemu wybiegi, pletą najbezczelniejsze sprośności, najnie-skromniejsze dwuznaczniki, a widzowie i słuchacze radzi śmieją się, wynoszą je na ulice, roznoszą po domach, po Francyi, po świecie. Są widowiska i takich najwięcej, na których niema ani jednego utworu, któryby nie gorszył,

a na tych widowiskach przedstawiają je codziennie i co dzień pełno. Na takie widowiska niektóre matunie córek nie prowadzą, ale same ciągną jak słomki, jak gdyby to im wolno było szukać zepsucia; a córeczki wzdychają, żeby prędko pójść za męża i używać tej wolności, której matuniom zazdroszczą. Takie to widowiska w Paryżu, a jest ich ze dwadzieścia. Cóż powiedzieć o pomniejszych widowiskach, których pełno co dzień po ulicach, a w święto po polach Elizejskich. I to uciecha i to weselość ludu paryskiego; dziękuję za nią i nigdy jej sobie nie życzę. Biada Francyi! jeśli się w niej nie zjawi nowy jaki mocarz myśli, co światłem swoim zawabi na drogę cnoty i dobrego smaku, co olbrzymią potęgą swoją pogrzebie w błocie paryskiem owe mózgi, które się w niem wyległy.

Przestałem bywać na tych nieszczęsnych widowiskach, skorom je poznał, a są takie, o których wiedząc naprzód jakie są, nigdy nie byłem. Ale za to ulubioną moją rozrywką była *opera* włoska; tam szkoła muzyki i dobrego smaku; tam arcysztukmistrze nie tylko że są najlepszymi śpiewakami, ale nadto są to ludzie ze wszechmiar godni, jak gdyby ich uświęciła szlachetna sztuka; tam, to prawda i uczucie jaśnieją w tysiącznych barwach. Ile razy byłem na *operze* włoskiej, zawsze wyszedłem z niej z dobrą myślą, z rozczulonem sercem, a brzmienie dźwięków najcudowniejszego śpiewu, rozgłosem pamięci łagodnie przygrywało duszy mojej. O śpiewakach *opery* włoskiej w Paryżu, prawie tak miło wspominam, jak o słowikach z nad Bohu. Pierwszy raz słysząc tę *operę*, tak byłem zachwycony, że nazajutrz spotkawszy Rubiniego, jej najcelniejszego śpiewaka, któremu niemasz, a pewnie i nie było równego na świecie, rzekłem do niego: śpiew twój nadludzki, czy też i mowa taka. Rubini pojął uczucie moje, wdzięcznie je przyjął i odtąd polubiłem go tem bardziej, że widząc go w domowem pożyciu, poznałem jego szlachetność i poczciwość, uprzejmość i słodycz, dobry smak i najpiękniejszą duszę; a te wszystkie przymioty

splywają w śpiew jego, co strumieniem niebieskich dźwięków wlewa się do duszy słuchaczy.

Druga taka muzyczna dusza ze skrzydłami poezyi wleciała w ciało jak pajęczyna, i przez to ciało widać ją jak przez pajęczynę; i to się nazywa Szopen (*Chopin*). Jeszcze go dzieckiem zaznał w Warszawie, a zaraz mówiłem, że nie masz mu równego na świecie i zgadłem; Szopen wywinął lot swój nad wszystkich, powiedział sobie, będę poetą muzykiem i tak się stało; i nikt nie zgadnie, czy więcej u niego muzyki w poezyi, czy poezyi w muzyce. Przy tem wszystkiem tyle uczucia, że jak siądzie do klawicymbału, to słuchacza zaprowadzi myślą aż do domu. To też jak mi już smutek dokuczy, idę do Szopena; jak spojrzę na niego, to mi już weselej, bo i on tęskny, i oba pocieszamy się w tęsknotach naszych. Przywołim sobie na pamięć dawne czasy, a jak już z nich wybrnąć nie mogę, on siada do klawicymbału, ja gaszę świecę. Słaby blask ognia od kominka igra cieniem Szopena, jak blask pamięci igra cieniem przeszłości; daleki hałas ulicy czasem zawyje jak burza, czasem zaszumi jak wodosпад, i cicho, a Szopen jakby czarowną mocą, zaczarowawszy swój klawicymbał, spędziwszy weń wszystkie dźwięki i wszystkie głosy, każe mu śpiewać poezyą swoją i tak śpiewa, nie wiem jak długo, bom zawsze o czasie zapominał; śpiewa i przeszłe szczęście i tęsknotę i trwogi tego świata, i radości niebieskie; wrywa mi podwójne i potrójne westchnienia, wywoła nie jedną łzę z oka; duszę rozburzy i znów uspokoi, wdzięcznem brzmieniem niby poszeptem guślarza, przygoi rany serca, i błogo na duszy, i uczucie pokoju owładnie na dobrą chwilę, odprowadzi mnie do domu, towarzyszy w modlitwie, i strzeże snu mego. Śni mi się o domu, i w tem złudzeniu przebudzam się; aż tu przeraźliwe krzyki przekupek zamiast szczebiotania ptasząt, hałas powozów zamiast szumu rzeki, a zamiast rosy, błoto.

Napatrzyłem się na Paryż w różnych czasach świetności jego. W czasie zapust, na każdej niemal ulicy, tłumne wieczorynki, powozy pilnując noc całą, żeby taniec nie wymknął się z ciasnych pokoiów, wyciągną się długim węzłem po całej ulicy; w czasie ostatków Francuzi wysypują się wszyscy na ulice gawronić i pędzić za błaznami miejskimi, co na uciechę ludu poprzywdziwiali dziwaczne stroje. W czasie ostatnich dni wielkiego tygodnia, kiedy u nas idą z pokłonem do grobu Zbawiciela, cały Paryż wychodzi i wyjeżdża na *Long Champs*, to jest na przejażdżkę po polach Elizejskich, i wtedy występuje w nowych powozach, w nowych strojach, a ze starą próżnością. W czasie imienin króla Ludwika Filipa, i w czasie świąt lipcowych, cały Paryż wyciąga się wzdłuż *bulwaru* w mundurze gwardyi narodowej; potem wałęsa się przez trzy dni po ulicach, wieczorem moknie na deszczu, a patrzy na sztuczne ognie, a w kilka dni potem, toczy się do Wersalu dla widzenia wielkich wodotrysków. Napatrzyłem się na Paryż w tych wszystkich przemianach, alem go nigdy tak świetnym nie widział, jak w czasie uroczystości, któremi obchodzono ślub następcy tronu, księcia Orleanu.

Ludwik Filip chcąc zaćmić blaskiem korony francuskiej oczy księżniczki niemieckiej, rozwinął przed nią całą świetność, na jaką stolica Francyi kwitnącej bogactwem i pokojem, zdobyć się mogła. Ślub księcia Orleanu odbył się w zamku Fonteneblowskim, gdzie tyle pamiątek sławy królów francuskich, gdzie po komnatach chodzi się jak gdyby po pomnikach dziejów francuskich; każda tam izba przypomina inny wiek, inną świetność; każda ozdobiona podług cechy i smaku swojego wieku. Stamtąd odwieziono księżniczkę Orleanu poza Paryż, do Wersalu, i tylko z daleka mogła widzieć miasto jak morze, szarzejące starością i powagą swoją, a w środku miasta dwie czarne wieże kościoła Najświętszej Panny; z jednej strony miasta okazały Panteon, co miał być kościołem świętej Genowefy,

opiekunki Paryża, a dziś poświęcony próżności ludzkiej, stoi mniej użyteczny jak pustka; z drugiej strony miasta wspaniałą bramę, którą Napoleon zaczął na cześć wojny, a Filip skończył na cześć pokoju, którą Napoleon byłby wprowadzał do Paryża zwycięskie wojska, a Filip wprowadził przyszłą królową, synową swoją. Musiała też księżna Orleanu, bo to ma być pocziwa osoba, spojrzeć ze wzruszeniem na miasto umarłych, co się wznosi poważnie nad miastem żywych, na ów cmentarz *Père la Chaise*, sławny pięknnością, a tem sławniejszy, że już dziesięć Paryżów pogrzebał; i może widok cmentarza, chociaż nie miły szczęśliwym tego świata, nie zmieszał pokoju jej duszy; albo może dworacy od smutnego widoku odwrócili jej oczy, co w owych dniach wesela miały tylko patrzeć na wielkość tego świata. Dopiero z Wersalu, pokazawszy tam księżnie Orleanu zabytki rozpusty królów francuskich, pokazawszy jej, jak dla zmazania tej rozpusty gmachy królewskie oddał na użytek narodu; Filip mądry, wspaniałym pochodem wprowadził do stolicy synową swoją.

Filip wjeżdżał o godzinie 4, a już od południa wszystko było gotowe na jego przyjęcie. Przy bramie urzędnicy co go witać mieli; wokoło bramy po jednej stronie żwawe wojsko bojowe, po drugiej piękna gwardya narodowa paryska; od bramy potrójnym szeregiem pociągnęły się te wojska przez całe pola Elizejskie, przez obszar Ludwika XV, na którym dziś Luksor, przez cały ogród tuleryjski, aż do zamku. Lud strojny, niepoliczony, zapelniał całą przestrzeń od bramy do zamku.

Stałem w ogrodzie na wyniesieniu, a czekając owego wjazdu królewskiego, bawiłem się wspaniałym widokiem tej strony Paryża, ozdobionej najpiękniejszymi gmachami, najokazalszym wjazdem na świecie, ożywionej w tej chwili ruchem snującego się ludu, cieszącego się tem, że zobaczy coś nowego. Około godziny 4, przy gmachu *invalidów*, którego złotą wieżę widać z owego miejsca, zagrzymiały działa, i wystrzał po wystrzale szedł tak długo, jak orszak kró-

lewski od bramy do zamku, to jest blisko pół godziny. Orszak ten zabłyszczał przy bramie i spuszczał się powoli po długiej a szerokiej ulicy Pól Elizejskich, wytkniętej wśród ludu potrójnym szeregiem wojska, nad którym powiewały trójbarwne znamiona, a wysokie i rozłożyste drzewa piękną zielonością wieńczyły lud, orszak i wojsko, i umładzały cały ten obraz pokoju i szczęścia.

Przed orszakiem, na koniach błyszczących złocistymi rzędami i oponami, postępowali naprzód jacyś giermkowie, od stóp do głów w złoto przybrani; za nimi kilka oddziałów wyborowej jazdy i lekkich huzarów, i poważnych kiryśników, i zwinnych strzelców i najpowabniejszych oku ulanów; za nimi król z synami, otoczony licznymi jenerałami; za nimi dopiero kolasa otwarta kształtu łodzi, ciągniona ośmiu białymi końmi, a w niej królowa Francuzów, królowa Belgów, dwie księżniczki francuskie, księżna Orleanu i jej macocha; za tą kolasą oddział gwardyi narodowej konnej w pięknych mundurach ulańskich; za tym oddziałem szło kilka innych wspaniałych powozów królewskich i księcia Orleanu, a w nich panie dworskie a każdy powóz oddzielony konnicą gwardyi narodowej, a wyborowe szwadrony rozmaitej jazdy, jak otwierały tak i zamykały ten orszak, jaśniejący blaskiem królewskiej świetności.

Orszak posuwał się stępą, a wszędzie lud witał z rozrzewnieniem swojego króla i rodzinę jego. Król i cała rodzina była rozradowana szczęściem swoim dnia tego i owem serdecznem przyjęciem ludu. I mnie rozrzewniło szczęście, chociaż nie moje; i jakżeż nie miało rozrzewnić, kiedy obok mnie na rękach matki wyniesiona w górę dziecina na widok ulanów, bijąc radośnie rączkami swemi, wołała:

— Mamo, mamo! Patrzaj... Polacy, Polacy!

Po owym sławnym wjeździe Paryż w ciągłej uroczystości dni kilkanaście świetniał igrzyskami, ogniami, ucztami i rozlicznymi widowiskami; a ta świetność prze-

nosiła się z mieszkańcami stolicy z jednego miejsca na drugie.

W Wersalu uroczyste otwarcie muzeum; w Paryżu uczty u dworu i w mieście, a pomiędzy wszystkimi najświetniejsza była uczta, którą miasto Paryż dało dla księżnej Orleanu. Ta uczta kosztowała około miliona franków. Dziedziniec starożytnego miejskiego domu przerobiono na główną izbę tej uczty, a wszystkie inne izby gmachu tego przybrano wspaniale, a każdą inaczej. Jedna błyszczała złotem, jaśniała królewskimi ozdobami i przepychem, w tej był tron obszerny dla całej rodziny królewskiej; druga ubrana w świeże kwiaty, a obfity w środku stojący wodotrysk rzeźwił otaczające kwiaty i bronił je od skwaru rześistego światła; inna w samych posągach i marmurach; w tamtej oglądają dary ofiarowane przez miasto księżnie Orleanu; z innej znowu spojrzawszy przez okno, widać precudnie udany rodzinny dom i ogród tej księżnej; a we wszystkich izbach tak tłumno, że trudno się ruszyć, we wszystkich huczna muzyka i niby tańcuja.

Król i królowa patrzą ojcowiskiem okiem, jak dziatwa ich tańczy. Królowi wygodnie, ale tłum dusi się w ścisku, aż dopiero jak król poszedł z rodziną oglądać inne izby i kłaniać się całemu strojnemu tłumowi i od całego tłumu odbierać ukłony, ja zasiadłem sobie z naszemi Polkami na tronie królewskim i tak jak król patrzałem na świetną izbę i jeszcze świetniejsze zgromadzenie. Patrzałem na piękności paryskie we dwadzieścia stopni wokoło ustawione, jak kwiaty w kwiatarni, a każda błyszczy jasnością strojów i jako może jasnością wdzieków. W środku izby błyszczą mundury i stroje dworskie, a w środek tłumu powciskały się tańczące pary, co nie znać, czy tańczą, czy chodzą; stoja w miejscu, a na znak, że żyją i nie śpią, przestępują z nogi na nogę, i to francuski taniec. U góry świec zdaje się tyle, co gwiazd na niebie i pobłyskują złotem i szkiełkami, jak brylantami, powietrze tak pełne światła, że aż drży jasnością.

Dźwięki muzyki pasują się ze szmerem tłumu i wpadają z szumem w wir jego. Szelest, gwar, hałas, wrzawa, wre w powietrzu, szumi w uszach; przepych, tłum, jasność, migoce w oczach, nęci do siebie, jak światło ćmę nęci; a człowiek odurzony tem wszystkim, nie zważa na ścisk i gorąco, i z tą podwójną męczarnią pasuje się, dopóki mu sił starczy — i to zabawa.

Pomiędzy tysiącami piękności oczy moje błakały się, jak po lesie. Błakałem się po izbach, a od wiru każdej izby, aż mi się w głowie zakręciło. Spostrzegam otwarte okno, spieszę zachwycić zimnego powietrza, aż widzę jasność niezwykłą, i ujrzałem cały gmach miejski, jakby w zwierciadle: a to naprzeciw gmachu naszego drugi gmach podobny z gazowego ognia, z taką samą wystawą, z temiż ozdobami, rozświecił daleką przestrzeń; przy tem świetle gwardya miejska i narodowa, piesza i konna, w nieporządku spoczywając, wyobrażała cudny obraz jakiegoś zaczarowanego rycerstwa. Widok ten zajął mnie więcej, jak uczta cała; a i ten widok stracił swą wartość, skorom spojrział na pyszny księżyc, co srebrnem światłem swoim naśmiewając się z miedzianego światła ludzkiego, przeglądał się w Sekwanie, pokazał jej dziesięć mostów i czarnymi cieniami odznaczył ciosane jej wybrzeża, jej wyspy zamurowane czarnymi gmachami, a nad tymi gmachami jeszcze czarniejsze dwie wieże starożytnej świątyni. Przed sobą miałem poważną posepność nocy, za sobą i obok siebie ponętą wesołość najświetniejszej uczty; ale posepność nocy lepiej wtórowała posepności duszy mojej. Wyszedłem, wstydząc się sam przed sobą, że się wybierał na tę ucztę z wielką ciekawością, z oczekiwaniem wielkiej radości.

Paryż zawsze świetny; grzmia powozy, wezbrany zbytek pyszni się błyszczącą próżnością swoją, rozkosze wielkiego miasta cisną się do bogaczów próżniaków, a ja na rozweselone tłumy paryskie patrzę, jakby na chmurę drobnych muszek widzę jak się kręcą, słyszę jak brzę-

czą, a nie wiem gdzie i poco lecą. I w tym tłumie paryskim jestem samotny, bo inna myśl moja, jak jego, inna wiara, inne pożądanie duszy i serca.

Siedm lat przewędrowałem już po obcych krajach, a w żadnym nie przyszła mi ochota zamieszkać.

Nieraz jak wspomnę sobie na matkę, na brata i na siostry, i na przyjaciół moich, a nie wiem, co się tam z nimi dzieje; świat mi nie miły, cały świat mnie boli, lzy cisną się do oczów, westchnienia skolatanym piersiom odetchnąć nie dają; a taka tęsknota obejmuje serce moje, naciska duszę moją, że już, już upadam!

Dopiero jak myśl wzniesie się ku Bogu, kolana przed nim uklękna, z błaganiem o powołanie kapłańskie, gorąca modlitwa suszy lzę żalu i boleści, miłość Boska napelnia rozum mój wiarą i nadzieją, i znowu w mej duszy błyszczy myśl święta, jaśniej pogoda, i znowu serce się raduje.

Paryż, dnia 2 października 1838 r.



SPIS ROZDZIAŁOW.

	Str.
I. Pierwszy lat dziesiątek	3
II. Szkoły w Winnicy	11
III. Rok w domu	29
IV. Akademia w Krakowie	42
V. Uniwersytet w Warszawie	61
VI. Powrót do domu	68
VII. Podróż na Kaukaz	74
VIII. Jubileusz w Granowie	96
IX. Ślub siostry	101
X. Szarańcza i polowania	115
XI. Niezwykłe postacie	128
XII. Kamieniec	134
XIII. Berdyczów	142
XIV. Kijów i Krzemieniec	153
XV. Pierwsza myśl kapłaństwa	159
XVI. Podróż do Szwajcaryi	162
XVII. Podróż do Anglii	174
XVIII. Podróż po Belgii, Francji i Niemczech	187
XIX. Uroczystość drukarska w Moguncyi	193
XX. Ostateczna myśl kapłaństwa	199